ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 01 (216) STYCZEŃ 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

> TAJEMNICE LUBIĄŻA
BLISKIE ROZWIĄZANIA
– CZY NASTĄPI PRZEŁOM?

> SEKRET MOGIŁY POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH Z SZEWA

ZAMEK GRODNO
– PIERWSZE PRACE, PIERWSZE ZNALEZISKA

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

● do poszukiwania złota ● na warunki atmosferyczne ● odporny na wodoszczelny do 3m ● podwodny ● wodoszczelny

GARRETT METAL DETECTORS www.garrett.com

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS

Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

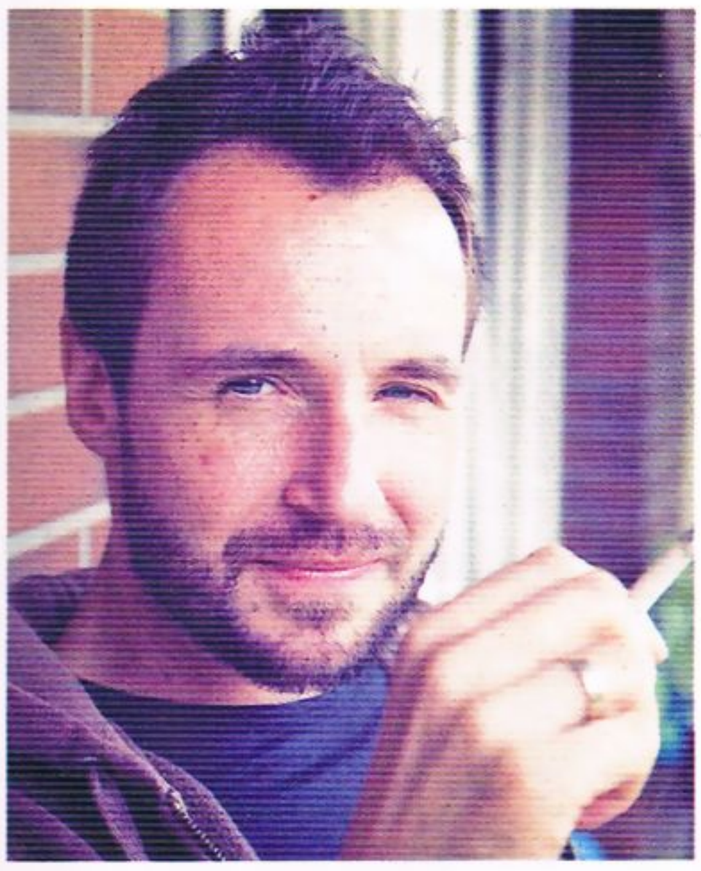

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Dyskusje prowadzone wśród archeologów o poszukiwaczach i wśród poszukiwaczy o archeologach, przypominają żywo dyskusje Polaków o dzisiejszej polityce. Gdy spotkają się dwaj zwolennicy jednej z opcji, radośnie utwierdzają się we własnych poglądach. Uznają je za uniwersalne i jednocześnie marginalizują racje strony przeciwnej. Konwersacje tego typu kończą się obopólnym zadowoleniem interlokutorów. Satysfakcja jest na tyle wystarczająca, by uznać ewentualny kontakt i konfrontację z oponentami za całkowicie pozbawione sensu. Przecież wiadomo, jaki będzie tego efekt... W rezultacie wszyscy jesteśmy w martwym punkcie. Szkoda. Oby w nowym roku się to zmieniło.

Zmieniając nieco nastrój, polecam gorąco lekturę niniejszego wydania „Odkrywcy", tradycyjnie wypełnionego fascynującymi artykułami, a szczególnie relację z naszych badań na terenie pełnego tajemnic zamku Grodno. Z tą majestatycznie górująca nad Zagórzem Śląskim budowlą związanych jest mnóstwo historii, legend o skarbach, sekretnych przejściach i tunelach. Wszystkie tropy będziemy systematycznie weryfikować, prowadząc jednocześnie zaawansowane prace archeologiczne. Zaczęliśmy od jednej z piwnic, i w trakcie pojawiło się kilka niezwykle emocjonujących momentów. Jakich? Szczegółów dowiedzą się Państwo z artykułu Łukasza Orlickiego, kilka stron dalej.

Z kolei nasi dwaj autorzy, Romuald Owczarek oraz Marek Michalski jakiś czas temu, niezależnie od siebie, rozpoczęli zaawansowane kwerendy archiwalne dotyczące wojennej historii klasztoru w Lubiążu. Dotarli do zupełnie nowych i nieznanych dotąd źródeł, które prezentują na naszych łamach. Po cichu liczę, że być może wkrótce uda się przy okazji dopowiedzieć coś o najsłynniejszej, lecz oczywiście wciąż nieodkrytej, choć intensywnie poszukiwanej, fabryce podziemnej. To oczywiście tylko niewielka część tematów, które dla Państwa przygotowaliśmy. Kolejne są równie fascynujące.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: zdjęcie zamku Grodno, Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAGUJĄCY:
REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło
KONSULTANCI
Michał Banaś
• Geologia.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

STYCZEŃ 2017

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 ZAMEK GRODNO. TAJEMNICE „IZBY TORTUR”
ŁUKASZ ORLICKI

12 KOŚCI ROZRZUCONE
RADEK BICZAK

16 KWATERA „HEDWIG” FIRMY TELEFUNKEN W LUBIĄŻU
ROMUALD OWCZAREK

22 LUBIĄŻ MNIEJ NIEZNANY. CZĘŚĆ 2
MAREK MICHALSKI

KULISY HISTORII

28 BREDA – NAJCIĘŻSZA BROŃ ZRZUCONA DLA AK. CZĘŚĆ 1
MICHAŁ CZACHAROWSKI

34 SZPITAL LEŚNY „665”. PARTYZANCKIE OBIEKTY PUSZCZY SOLSKIEJ. CZĘŚĆ 2
JANUSZ SKOWROŃSKI
WSPÓŁPRACA: MAREK SKRZYŃSKI

42 ZAPOMNIANA WAŁBRZYSKA DEFILADA
RADOSŁAW SZEWCZYK

48 BOMBARDOWANIA STETTINA
LESZEK ADAMCZEWSKI

KOLEKCJONERSTWO

56 WŚRÓD MORDERCZEGO ZIMNA
TOMASZ BIENEK

FORTYFIKACJE

62 TWIERDZA POZNAŃ I POCZĄTKI MIOTACZY OGNIA
ARTUR JACOLIK

FELIETON

70 ZWIERZYNA ŁOWNA
RADEK BICZAK

KSIĘGARNIA „ODKRYWCY”

71 NOWOŚCI STYCZNIA

12 XII 2016. ZIELONA GÓRA. KONFERENCJA „KIERUNKI ROZWOJU POLSKIEJ REGIONALISTYKI"

JEDNA JASKÓŁKA WIOSNY NIE CZYNI

Konferencja organizowana w Zielonej Górze przez Lubuską Grupę Eksploracyjną „Nadodrze" ma charakter cykliczny. W swej oficjalnej formule pozytywnie łamie utarty schemat integracyjnych zlotów bądź zjazdów poszukiwaczy. Program ukazał jak wielowymiarowe i interdyscyplinarne są obecnie prowadzone poszukiwania, zarówno w ujęciu archeologicznym, historycznym, ale również i zaadaptowane na potrzeby regionalistyki. To na wskroś pozytywny wizerunek i bez wątpienia właściwy kierunek, w jakim może zmierzać szeroko dziś pojęta eksploracja. Świadczy to bez wątpienia o systematycznym wzroście świadomości i dojrzałości części środowiska, gotowego na kontynuowanie niezbędnego, ale i konstruktywnego dialogu z archeologami, urzędami konserwatorskimi i instytucjami odpowiedzialnymi za ochronę dziedzictwa narodowego i opieką nad zabytkami. Jednak do tanga trzeba dwojga. Wola współpracy musi być obustronna. Próby mniej lub bardziej skuteczne prowadzone są od dawna, ich efekt jest jednak niesatysfakcjonujący żadnej ze stron. Obecnie wydaje się, że sytuacja jest krytyczna. Uczestnicząc w kilku ubiegłorocznych konferencjach archeologicznych, odnoszę wrażenie, że głównym problemem nie tylko współczesnej archeologii… jest działalność poszukiwaczy. Głównymi zaś przestępstwami popełnianymi przeciwko zabytkom są… nielegalne poszukiwania. Tym samym środowiskowa patologia arbitralnie zdefiniowana została jako stan faktyczny. Argumentami są policyjne statystyki, poparte zatrważającymi danymi Narodowego Instytutu Dziedzictwa oraz poszczególnych urzędów konserwatorskich. Bezsprzecznie nielegalnie prowadzone poszukiwania stanowią jeden z licznych czynników, lecz czy główny? To dyskusja czysto akademicka, bowiem wciąż środowisko poszukiwaczy nie ma własnej reprezentacji , mogącej przeciwstawić merytoryczne argumenty w swojej obronie. Dlatego też warto by w podobnej formule organizować więcej tego typu spotkań na terenie większej ilości województw. Tylko w taki bowiem sposób głos środowiska poszukiwaczy będzie mógł być słyszalny. <

Piotr Maszkowski

REKLAMA

NASZE BADANIA WSPIERA:
HELIKON-TEX.com

ZAMEK GRODNO TAJEMNICE „IZBY TORTUR”

ŁUKASZ ORLICKI

Kilkanaście miesięcy temu postanowiliśmy zmierzyć się z legendami otaczającymi twierdzę położoną na szczycie góry Choina. Większość z tych różnorodnych opowieści dotyczy istnienia pod zamkiem Grodno (niem. Kynsburg) nieznanych pomieszczeń, ukrytych piwnic oraz systemu tuneli. Inne opowiadają o zakopanych skarbach i słynnych „depozytach” ukrywanych pod koniec II wojny światowej. Najsłynniejsza z legend, spopularyzowana i wielokrotnie opisywana przez red. Joannę Lamparską, pozostaje zwieńczeniem marzeń każdego poszukiwacza. Oparta na przesłanych na początku lat 90. do redakcji „Słowa Polskiego” listach tajemniczego „von Schrecka” dotyczyła historii ukrycia przez oddział SS cennego ładunku. Miał on zostać złożony w zamkowych podziemiach, do których wejścia zostały zaminowane, wysadzone i zamaskowane. Historia ta, choć rozpalała umysły głównie w latach 90., do dziś ma swoich gorących zwolenników. Podobnie trwałą legendą pozostaje sprawa ukrycia na zamku dzieł sztuki z polecenia prof. Grundmanna – dolnośląskiego konserwatora zabytków. Choć analiza dokumentów wskazuje, że skrytka znajdowała się w innym budynku – pałacu położonym poniżej zamku – to nikt nie może przecież wykluczyć, że część tego depozytu mogła trafić ostatecznie na sam zamek Grodno. Kolejną z legend tworzą relacje dotyczące podziemnego przejścia bądź tunelu, który miał wieść poza mury >>>

fot. Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu

NASZE BADANIA WSPIERA:
HELIKON-TEX.com

Więcej zdjęć z akcji na FB Odkrywcy: galeria Zamek Grodno 2016

fot. Grzegorz Góra

fot. Grzegorz Góra, Andrzej Daczkowski

>>> twierdzy, a nawet, jak twierdzi jeden z regionalnych badaczy historii Łukasz Kazek, docierać nad jezioro Lubachowskie. Na ślady tych historii można natknąć się nawet w archiwach. W materiałach słynnego Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych znajduje się notatka o istnieniu pod zamkiem zamurowanych piwnic i tuneli, w których miały zostać jakoby ukryte różne przedmioty, m.in. cenne dywany, wykwintne likiery i stare wina.

Powyższe historie rozpalały i rozpalają do dziś wyobraźnię pasjonatów tajemnic historii. Jednak zmierzenie się z nimi wymaga sporego hartu ducha – co się stanie, gdy wszystkie okażą się jedynie barwnymi legendami? Na szczęście w ich cieniu można wyjaśnić wiele innych niejasności związanych z okresem rozbudowy poszczególnych partii zamku, a nawet pokusić się o odnalezienie śladów pierwszego założenia obronnego – domniemanego zamku Bolka I.

Projekt badawczy miesięcznika „Odkrywca" rozpoczęty został drobiazgowymi badaniami bezinwazyjnymi przeprowadzonymi przez nas w kwietniu 2016 roku. Uzyskane wyniki były bardzo intrygujące i pozwoliły nam wskazać miejsca, w których należało przeprowadzić sondażowe badania archeologiczne. Wśród nich znalazły się przede wszystkim piwnice „sali tortur" oraz dziedziniec zamku, pod którym zidentyfikowaliśmy silne skupisko metalu, jedno z podziemnych przejść i prawdopodobne ślady fundamentów starszego założenia zamkowego.

TV ECHO24 (film oglądaj od 37:15 min), Piotr Maszkowski o poszukiwaniach

W grudniu 2016 roku przystąpiliśmy ostatecznie do weryfikacji wyników. Z racji warunków pogodowych i pory roku skoncentrowaliśmy się na pomieszczeniach wewnątrz zamku, a konkretnie, nazywaną obecnie z racji stałej wystawy katowskich narzędzi, „izbą tortur".

Gdy wiosną 2016 roku przeciągnęliśmy antenę georadaru „Odkrywcy" po ceglanej posadzce w zamkowych piwnicach, dla naszego specjalisty z zakresu badań bezinwazyjnych, dr. Wiesława Nawrockiego, wydawało się jasne, że mamy w tym przypadku do czynienia z tzw. „rozluź- >>>

NASZE BADANIA WSPIERA:
HELIKON-TEX.com

TVN24 – (film: 1:02 min) oraz informacja tekstowa o poszukiwaniach

>>> nieniem podłoża". „Mogło ono powstać" – jak pisał w sprawozdaniu z prac – „w trakcie budowy zamku na skutek zasypania naturalnej deniwelacji terenu lub zasypania np. nieznanego, podziemnego przejścia lub pomieszczenia". Aby zweryfikować te wyniki, należało zdemontować ceglaną posadzkę i przeprowadzić sondażowy wykop. W ciągu kilku godzin mogliśmy jasno stwierdzić, że w tym przypadku pierwsza z proponowanych interpretacji jest właściwa. Kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią znajdowała się skała, którą zasypano ziemią, by wyrównać podłoże. Wg badań historycznych największa rozbudowa zamku została przeprowadzona przez przez sekretarza wrocławskiego biskupa Matthiasa von Logau (zwanego czasem w polskich opracowaniach Maciejem z Łagowa). Rozbudowa zamku i usytuowanie w tym miejscu piwnicy, w której się znajdowali- >>>

Ekipa miesięcznika „Odkrywca" znalazła pod posadzką w tzw. sali tortur metalowe rączki, fragmenty klucza, destrukty drewna. Pośród strzępów skrzyneczki znaleziono też nieczytelny i zniszczony fragment kliszy fotograficznej. Czy to ślady pozostałości depozytu ukrytego w zamku?

NASZE BADANIA WSPIERA:
HELIKON-TEX.com

ZAMEK GRODNO

>>> śmy, przeprowadzono najprawdopodobniej właśnie za jego rządów w połowie XVI wieku. W trakcie naszych prac szczególną uwagę przykładaliśmy do wydatowania okresu, w którym powstały te pomieszczenia. Ostatecznie w poszczególnych warstwach wykopu udało się nam odnaleźć kilka charakterystycznych artefaktów – ręcznie kutych gwoździ oraz fragmentów ceramiki z epoki nowożytnej, do których w wierzchniej warstwie dołączyły szklane odłamki. Dzięki temu rezultatowi mogliśmy prześledzić etapy rozbudowy zamku, począwszy od chwili, gdy w XVI wieku na skale usypano klepisko, które w XIX wieku zostało przykryte ceglaną posadzką. Inne wyniki czekały nas w centralnej części „izby tortur". Drugie z wytypowanych miejsc nie zostało wybrane na podstawie wyników georadaru. Niewielki fragment podłogi pomiędzy głównymi filarami wyraźnie wyglądał na zmieniony. W dokumentacji zamkowej nie pozostał jednak żaden ślad wskazujący na prowadzenie tu np. prac remontowych. Nie udało się również usłyszeć żadnej zadowalającej nas relacji z ust najstarszych mieszkańców i pracowników zamku. Pozostawało zdemontować podłogę.

Po zdjęciu posadzki szybko natknęliśmy się na ślady inne od zwykłych budowlanych pozostałości, były to pierwsze fragmenty tajemniczego przedmiotu. Metalowe rączki, fragmenty klucza, destrukty drewna oraz wyraźny obrys przedmiotu w ziemnym profilu wskazywały, że mogły to być pozostałości jakiegoś rodzaju skrzyneczki bądź kasetki. Została prawdopodobnie ukryta, a następnie wyciągnięta, zapewne

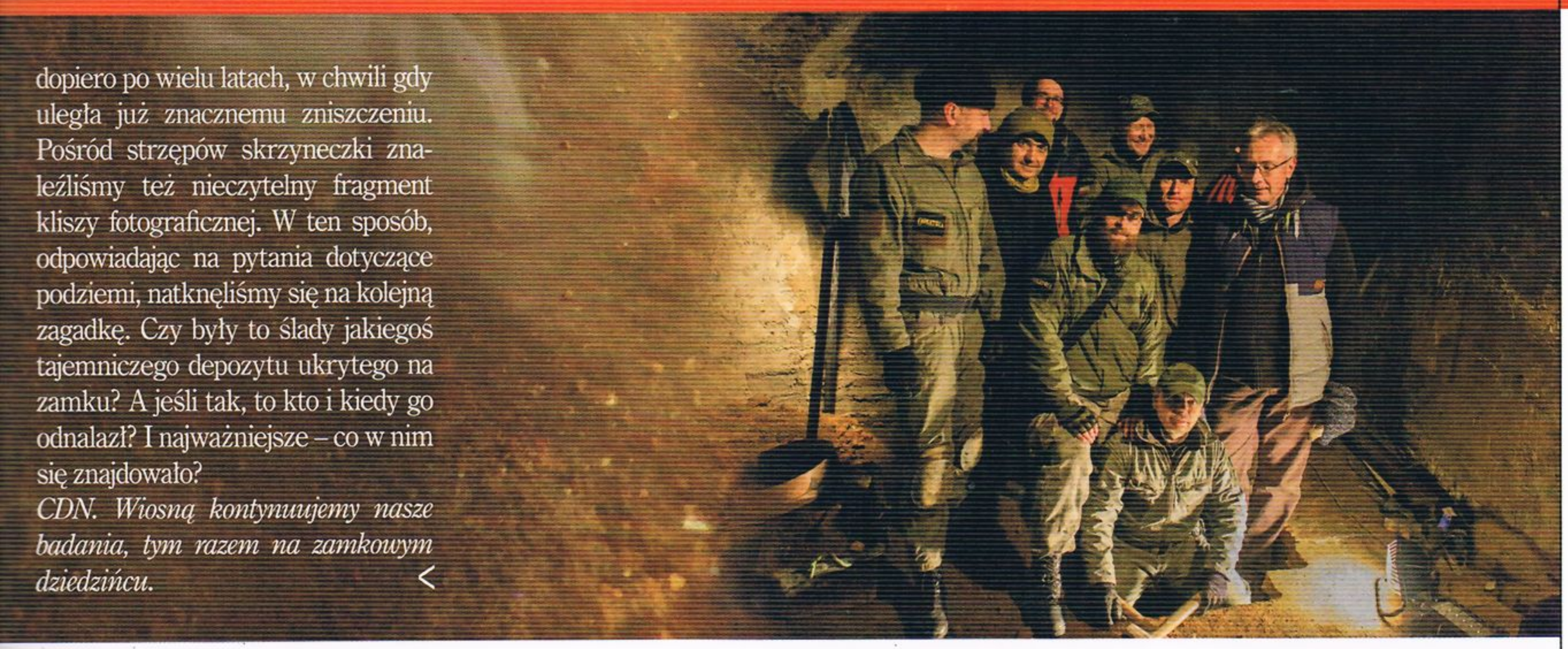

dopiero po wielu latach, w chwili gdy uległa już znacznemu zniszczeniu. Pośród strzępów skrzyneczki znaleźliśmy też nieczytelny fragment kliszy fotograficznej. W ten sposób, odpowiadając na pytania dotyczące podziemi, natknęliśmy się na kolejną zagadkę. Czy były to ślady jakiegoś tajemniczego depozytu ukrytego na zamku? A jeśli tak, to kto i kiedy go odnalazł? I najważniejsze – co w nim się znajdowało?

CDN. Wiosną kontynuujemy nasze badania, tym razem na zamkowym dziedzińcu. <

900 LAT HISTORII

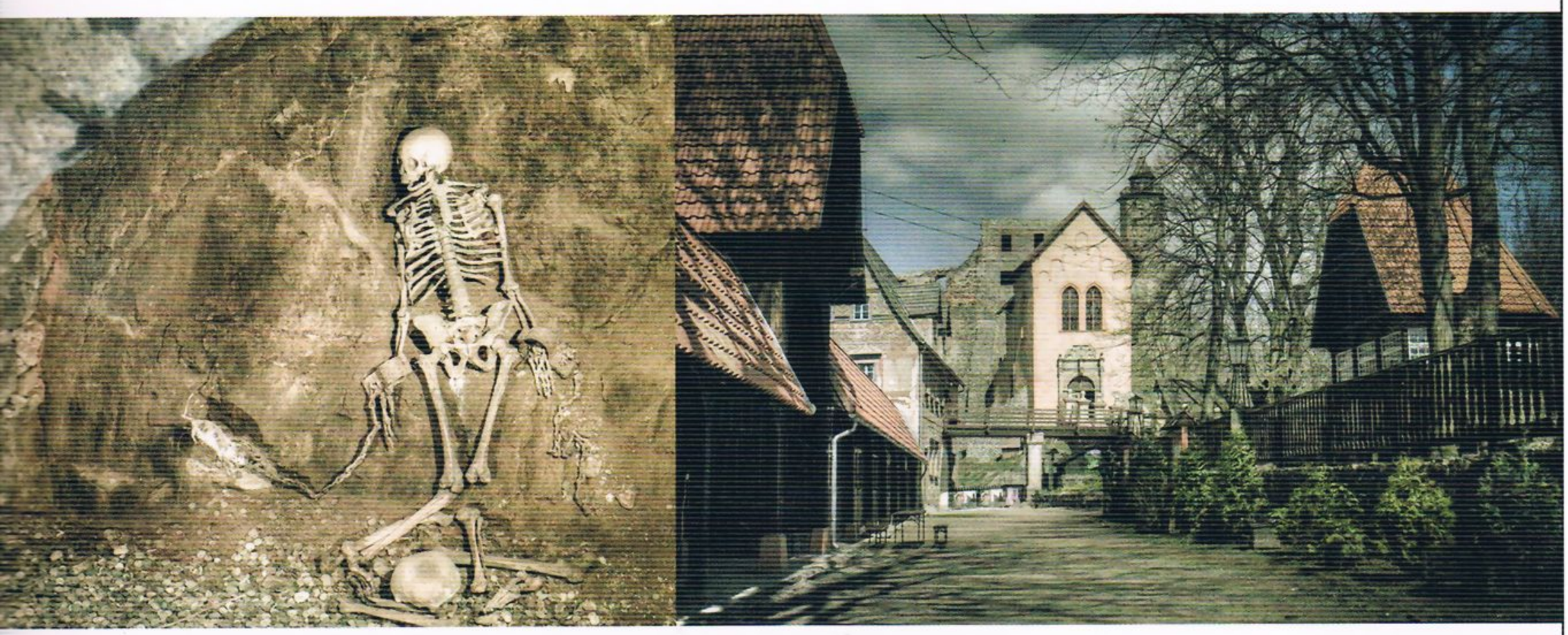

fot. Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu, Grzegorz Góra

ZAMEK MOŻNA ZWIEDZAĆ SAMODZIELNIE BĄDŹ Z PRZEWODNIKIEM (WLICZONY W CENĘ BILETU). WEJŚCIA Z PRZEWODNIKIEM ODBYWAJĄ SIĘ O PEŁNEJ GODZINIE. CZAS ZWIEDZANIA WYNOSI OK. 60 MINUT.) Obiekt czynny jest codziennie:

a) od października do kwietnia: od poniedziałku do piątku od 9:00 do 17:00, ostatnie wejście o 16:00; w soboty, niedziele i święta od 9:00 do 18:00, ostatnie wejście o 17:00.

b) od maja do września: od poniedziałku do piątku od 9:00 do 18:00, ostatnie wejście o 17:00; w soboty, niedziele i święta od 9:00 do 19:00, ostatnie wejście o 18:00.

Obiekt jest nieczynny w Niedzielę Wielkanocną, 1 XI i 24-25 XII.

CENY BILETÓW.

a) normalny – 15 zł, ulgowy – 12 zł,

b) bilet łączony Zamek Grodno + Sztolnie Walimskie: normalny – 25 zł, ulgowy – 20 zł. Bilet łączony jest ważny 10 dni od dnia zakupu,

c) bilety nocnego zwiedzania:

– grupy powyżej 20 osób – 20 zł/osoba – grupy do 20 osób – 25 zł /osoba.

Nocne zwiedzanie realizowane jest dla grup min. 10-osobowych po wcześniejszej rezerwacji.

ZAMEK GRODNO POŁOŻONY JEST NA GÓRZE CHOINA. Samochód najlepiej zostawić pod górą, gdzie znajdują się darmowe parkingi. Przejście od parkingu na szczyt góry zajmuje około 10-15 min.

KONTAKT

Wzgórze Zamkowe, 58-321 Zagórze Śląskie, tel. 74 845 33 60, tel. kom. 723 973 354
www.zamekgrodno.pl,
www.facebook/zamekgrodno,
e-mail: biuro@zamekgrodno.pl.

Od stycznia 2009 r. właścicielem Zamku Grodno jest Gmina Walim, która powierzyła zarządzanie obiektem Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu.

ZAMEK GRODNO
FILM Z LOTU PTAKA
(2:18 MIN)

POSZUKIWACZE HISTORII

KOŚCI ROZRZUCONE

RADEK BICZAK

Mogiła – ostatni ślad potyczki z 22 listopada 1830 roku.

„POSZUKIWACZE HISTORII" – OGLĄDAJ W POLSAT PLAY W KAŻDY WTOREK O 21.30.

PLAY POLSAT

Razem z Olafem Popkiewiczem mieliśmy już najróżniejsze tematy, na kanwie których powstawały kolejne odcinki programu „Poszukiwacze historii". Jak zwykle bywa z poszukiwaniami, niektóre tematy są ciekawsze, inne mniej. Do części trudno kogokolwiek z osób decydujących o programie przekonać. Jednak kiedy Olaf zdobył informację, że w leżącej na Kujawach miejscowości Szewo jest do sprawdzenia mogiła Powstańców Styczniowych – zabrzmiało to ciekawie, ponieważ nie złożyło się, żebyśmy z wykrywaczami podążali tropem tych wydarzeń.

Pozornie sprawa była prosta – burmistrz Lubienia Kujawskiego, pan Marek Wiliński, poprosił nas o zweryfikowanie miejscowej legendy. W niewielkim lasku w Szewie jest mogiła, w której mają spoczywać Powstańcy Styczniowi. Przy lokalnej drodze postawiono nawet tablicę informującą o krwawej potyczce, która miała miejsce 22 listopada 1830 roku

(równo 10 miesięcy po wybuchu powstania). Powstańcy zostali zaproszeni do folwarku na uroczystą kolację, o której od donosicieli dowiedzieli się Rosjanie i postanowili wpaść z niezbyt pokojową wizytą. Powstańcy, chroniąc gościnny dom, uciekali polami, a że noc była ciemna, to raczej nie doszło do strzelaniny, tylko w konnej szarży ścigano uciekinierów. Sześciu zginęło, a Rosjanie zapłacili za to stratą oficera. Dlaczego zostali pogrzebani w lesie? Na cmentarzu nie było szans – zarówno ksiądz, jak i miejscowa ludność mogła spotkać się z reperkusjami ze strony zaborców. Miejsce jest dobrze znane, ponieważ ktoś kiedyś posadził w narożnikach mogiły cztery kasztany. Pojawia się pytanie, czego właściwie szukać, skoro temat jest oczywisty? Otóż nie do końca. Nie było wiadomo, czy Powstańcy nie zostali w którymś momencie ekshumowani i przeniesieni na cmentarz. Sprawy nie ułatwiły dwie zawieruchy wojenne, które przez Kujawy przetoczyły się w XX wieku. Dodatkowo zagadnienie zagmatwała informacja, że w czasie I wojny światowej również doszło do potyczki, w trakcie której zginęli żołnierze i zostali pochowani w tej samej mogile. Jedynym sposobem weryfikacji tego, kto jest pogrzebany w Szewie, był wykop archeologiczny i nadzieja, że przy poległych znajdą się przedmioty pozwalające na datowanie...

Olaf wykombinował nieźle – zaprosił panią antropolog, Iwonę Teul, oraz kilku kolegów, którzy zajęli się mogiłą. Ja poszwendałem się po polach, nie znajdując nic ciekawego prócz jednej monetki z czasów powstania, ale to zbyt mało do weryfikacji. Ruszyłem dopytać regionalistów i miejscowych mieszkańców z nadzieją na dodatkowe informacje – może ksiądz będzie wiedział o potencjalnej ekshumacji – ot, dochodzenie historyczne.

Trafiłem do właścicielki pól, która pozwoliła nam grzebać na swoim terenie, i tu spotkała mnie pierwsza konsternacja. Pani Urszula Barańska, która wiedziała o mogile i starała się ją upamiętniać, złapała kiedyś „poszukiwaczy" chodzących z wykrywaczami w okolicy mogiły. Zareagowała dość ostro, bo bez jej zgody wałęsali się po jej własności. Nie wiadomo, czy się wystraszyli, czy dla zamknięcia tematu przekazali jej kilka znalezionych przedmiotów, m.in. kieszonkowy zegarek, popularną cebulę i monetki – ewidentnie pochodzące z okresu powstania. Pani Ula nie kryła oburzenia i nazwała rzecz po imieniu: „to były hieny cmentarne, bo jak inaczej można nazwać ludzi, którzy rozkopują grób?". Fakt. Z całą sympatią dla poszukiwaczy, jest delikatna różnica znaleźć żołnierza w przypadkowym dołku, fragmencie okopu czy ziemiance, a wkopać się w mogiłę, w dodatku ludzi, którzy walczyli o wolną Polskę. Nie chodzi tu o żaden patos, tylko robi się przykro, że z takimi szumowinami są utożsamiani poszukiwacze. Jeżeli ktoś rozkopuje groby na cmentarzu czy plądruje grobowce, to jest poszukiwaczem skarbów, czy po prostu okrada zwłoki?

Odnalezione szczątki Powstańców Styczniowych.

Brzozowy krzyż – partyzancki symbol.

Po tej przykrej rozmowie poszedłem zajrzeć do Olafa, który kopał sobie grób. Niestety, właściwie wszystko się potwierdziło. To, co wygrzebali razem z panią antropolog, nijak się miało do normalnego pochówku. Kości przemieszane bez ładu i składu. Czaszki zaledwie dwie. Ani jednego pochówku, który miałby cechy anatomiczne pogrzebanego człowieka. Totalny śmietnik. W znaleziskach też zamieszanie – naboje z pierwszej wojny światowej, carski guzik, ołowiana kulka z pistoletu czarnoprochowego (wskazująca na okres powstania styczniowego), na głębokości dwóch metrów jakieś niezidentyfikowane resztki ekwipunku skórzanego z przyklejonymi liśćmi z drzew, które opadły, ale nie zgniły... Jedna z odkopanych czaszek miała ślad po cięciu szablą z zakrzywioną głownią, co wskazuje na nocną pogoń kawalerii i jej ofiarę. Czyli jednak powstańcy, gdzieś wmieszani w I wojnę światową...

Nie mieliśmy zamiaru ekshumacyjnego. Nie mieliśmy miejsca, gdzie można przenieść szczątki, ani zgód, których pozyskanie jest trudniejsze niż pozwolenie od konserwatora na poszukiwania. Chcieliśmy zweryfikować legendę, ale pojawiła się myśl, że sprofanowaną mogiłę warto uhonorować nowym krzyżem i poświęceniem przez księdza. Burmistrz załatwił krzyż, ksiądz odmówił modlitwę, kości zostały złożone. Jednak w międzyczasie wyskoczył jeszcze jeden dysonans. Spotkałem się z regionalistą, panem Piotrem Umińskim, który miał sporo wiedzieć o Powstańcach z Szewa. Wiedział, że oddziałem powstańczym dowodził rosyjski dezerter pułkownik Syrewicz, że rosyjskie media podały informacje, że zginęło pięćdziesięciu Powstańców, a nie sześciu i że... nie powinniśmy zatknąć w mogile krzyża. Trochę zbił nas z pantałyku. Doszło do >>>

Olaf Popkiewicz na pierwszym planie, w tle sprawdzana mogiła.

>>> jakiegoś dziwnego konfliktu interesów. Burmistrz chciał sprawdzić mogiłę i uhonorować krzyżem, pan Piotr pokazał nam gotowy projekt pomnika, który zamierza tam postawić, ba, ma już poszczególne elementy, ale jak widać „burmistrz gra pod siebie". Sytuacja konfliktowa, gdzie poczuliśmy się z całą ekipą telewizyjną wykorzystywani do lokalnych konfliktów. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Zwariować można. Nie dość, że pseudoposzukiwacze plądrują mogilę, to jeszcze trafiamy w środek konfliktu lokalnego i kłótni co lepsze: brzozowy krzyż czy pomnik? Wiadomo, lepsze to, co ja wymyśliłem! Dopiero po zakończeniu realizacji, rozmawiając z reżyserem „Poszukiwaczy historii" wyartykułowałem, że zostaliśmy wykorzystani do jakichś prywatnych celów i, jak to w polityce, diabli wiedzą kto ma racje. Reżysera, Rafała Czaplińskiego, też to ruszyło. Zadzwonił zarówno do burmistrza jak i pana Piotra. Jak to w życiu – jedna strona nie wiedziała o poczynaniach drugiej. Postawiony krzyż zostanie na miejscu do momentu, kiedy zamontują tam pomnik. Wszystko rozeszło się po kościach, chociaż jest to druga niezbyt przyjemna strona realizacji takich programów telewizyjnych.

Reasumując: udało się zweryfikować opowieści. Dzięki temu, że wylądowaliśmy w Szewie, pewne fakty znalazły potwierdzenie. Ludzie, którzy interesowali się grobem, zostają docenieni przez sąsiadów. Pamięć o poległych Powstańcach zostanie uczczona. Można by nieskromnie powiedzieć, że z naszej strony była to dobra robota. Cieniem się kładzie postawa „poszukiwaczy". Podobno, chociaż może to plotka, „poszukiwaczy" z pewnego stowarzyszenia. Co ukradli z grobu? Klamrę od pasa? Monetki? Może przerdzewiałą kosę chłopską? Wiedzą pewnie sami sprawcy, którzy tylko teoretycznie pozostają nieznani. Polecam obejrzeć (jeśli ktoś nie widział), odcinek „Poszukiwaczy historii" o Powstańcach Styczniowych. Dla mnie były to poszukiwania interesujące, ale nacechowane, niestety, niesmakiem. <

Radek Biczak
Prowadzący program telewizyjny „Poszukiwacze historii".

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Pasjonująca lektura dla wszystkich chcących zamek Czocha poznać bliżej. Dla tych, którzy mieli już okazję go odwiedzić, ale również dla tych, którzy w jego gościnne i zagadkowe mury dopiero pragną zawitać.

Replika

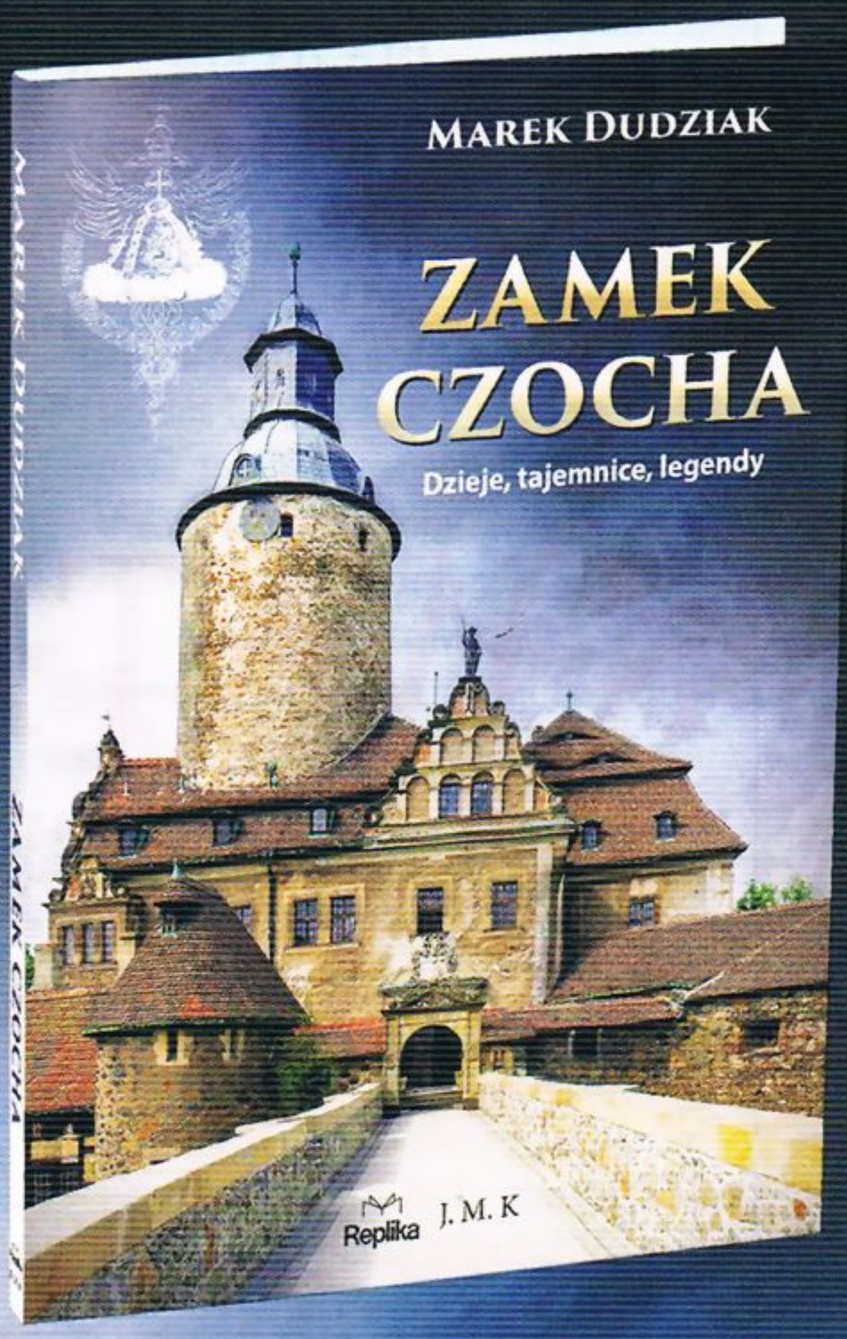

Książka już w sprzedaży!

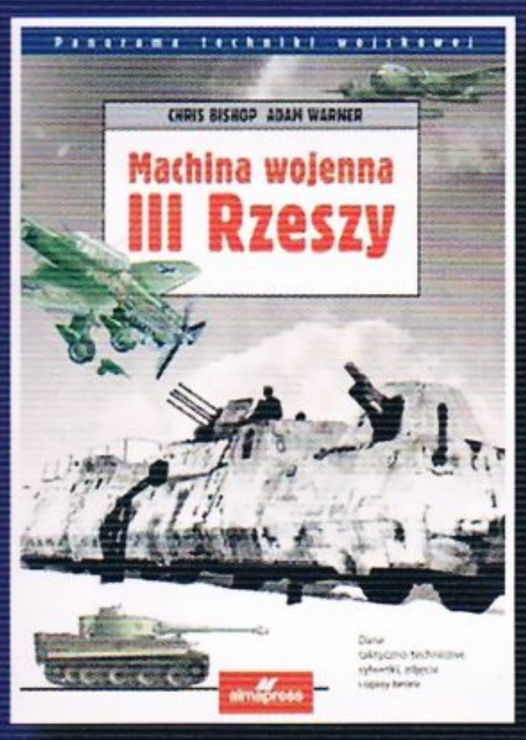

Polecamy także m.in.:

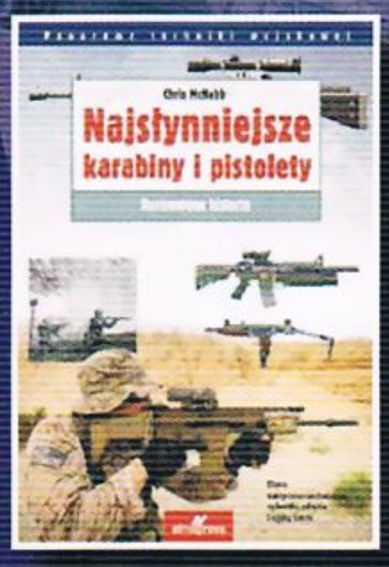

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

W MEDIACH POWSTAŁY O WOJENNYCH LOSACH KLASZTORU W LUBIĄŻU NIEZLICZONE ILOŚCI PUBLIKACJI. RÓWNIEŻ ,,ODKRYWCA" WIELOKROTNIE PORUSZAŁ TEN TEMAT. Z TYM WIĘKSZĄ PRZYJEMNOŚCIĄ ZAPOWIADAMY CYKL ARTYKUŁÓW, KTÓRE UKAZUJĄ LUBIĄŻ NA NOWO, TYM RAZEM W ŚWIETLE NOWYCH NIEMIECKICH DOKUMENTÓW ARCHIWALNYCH.

KWATERA ,,HEDWIG"
FIRMY TELEFUNKEN W LUBIĄŻU

ROMUALD OWCZAREK

W numerze „Odkrywcy" 11 (214) 2016 r. ukazana została próba nadrobienia przez niemieckich naukowców straconego czasu w tzw. wojnie w eterze. Rywalizacja w zakresie technologii radiolokacyjnej miała swoje miejsce również na Dolnym Śląsku. Wynikało to między innymi ze zniszczenia części głównych zakładów firmy Telefunken 1 marca 1943 r. w Berlinie - Zehlendorf. Niezbędna była dyslokacja produkcji oraz prac badawczych poza stolicę III Rzeszy. Znalezienie bezpiecznych miejsc należało do zadań inspekcji zbrojeniowych działających przy okręgach wojskowych.

Wyjazdy specjalistów Telefunkena na Dolny Śląsk

W kanonach strategii przenoszenia produkcji zbrojeniowej poza główne ośrodki przemysłowe III Rzeszy Dolny Śląsk w latach 1943-44 uznawany był za tereny wyjątkowo bezpieczne i mało zagrożone nalotami alianckich bombowców. Również i firma Telefunken poprosiła o wskazanie miejsc, gdzie mogłaby przenieść filie swoich placówek.

W tym przypadku misja była szczególnie tajna, bowiem chodziło o realizację zadań wskazanych przez powołany pod koniec lutego 1943 r. Zespół Roboczy „Rotterdam" ds. zbudowania nowego systemu radarowego działającego na falach centymetrowych.

Inspekcja Zbrojeniowa działająca przy Okręgu Wojskowym we Wrocławiu (Breslau VIIIa) zaproponowała lokalizacje w Legnicy i w Lubiążu. Dzięki ocalałym dziennikom IZ, dowiadujemy się, że już 12 marca 1943 r. delegacja z firmy Telefunken wraz z gauleiterem Dolnego Śląska Karlem Hankem wizytowała Lubiąż[1]. Zarząd Telefunkena potrzebował ok. 12 000 m² powierzchni na dwa cele: ośrodek badawczo-rozwojowy oraz obiekt, w którym można byłoby zakwaterować ponad 800-osobową załogę. Wszystko miało wyglądać normalnie. Należało zatem gdzieś mieszkać, pracować, wypoczywać itd. Obejrzano więc dokładnie klasztor i obiekty lazaretu wojskowego na terenie byłego szpitala psychiatrycznego. To była wyjątkowo atrakcyjna oferta z dala od miast, w których w pierwszej kolejności rekwirowano hale produkcyjne, głównie z branży włókienniczej. Delegacja Telefunkena była bardzo zadowolona, więc gauleiter K. Hanke mógł tylko powiadomić Berlin, że zadanie zostało wykonane. Ostatecznie Telefunken otrzymał zgodę na:

a) 8 200 m² powierzchni użytkowej na terenie klasztoru – (kod: Heinrich),

b) 4 000 m² powierzchni użytkowej na terenie szpitala wojskowego (kod: Hedwig)[2].

W archiwum firmy Telefunken najbardziej tajne placówki w korespondencji wewnętrznej

miały swoje kryptonimy. Jeśli ktoś uważa, że w archiwum wystarczy poprosić o Lubiąż (Leubus), to jest w dużym błędzie. Bez znajomości kodów obiektów czy poszczególnych laboratoriów trudno w ogóle poruszać się wśród blisko 7 200 teczek archiwalnych. Niniejszy artykuł poświęcam „Hedwig", która pełniła funkcję zaplecza socjalnego dla ośrodka badawczo-rozwojowego w klasztorze, który dla potrzeb korespondencji zewnętrznej nazwano Schlesische Werkstätten Dr. Fürstenau & Co., G.m.b.H. (oryginalna nazwa), zaś w korespondencji wewnętrznej – kod „Heinrich". Jeśli więc pismo z centrali Telefunkena w Berlinie kierowano do Lubiąża, to nie pisano Leubus tylko... Heinrich!

Kwatera „Hedwig"

W czasie wojny szpital w Lubiążu pełnił różne funkcje (dla umysłowo chorych, miejsca leczenie rannych żołnierzy). W latach 1940-1942 mieścił się tu Reserve Lazaretti[3]. Dalej sytuacja się komplikuje, bowiem przyjmuje się, że funkcjonowało tu sanatorium dla żołnierzy.

Kwatera naukowców.

Sala koncertowa.

Kuchnia.

Lazaret wojskowy w Lubiążu.

W historii szpitala psychiatrycznego dzisiejszy dyrektor dr Jacek Kacalak prezentuje zdjęcie z opisem Lazarett i dwoma żołnierzami, ale brak jest konkretnej daty pochodzenia zdjęcia. Sam szpital obejmował blisko 30 budynków na obszarze 151,6 ha, zaś baza szpitalna liczyła ponad 1100 łóżek. Czy zatem podczas zajęcia przez Telefunken na swoje potrzeby obiektów szpitalnych mogła tu funkcjonować również jeszcze placówka-a'la sanatorium? Póki co – brak jest jednoznacznej odpowiedzi.

Skąd zatem pewność, że Telefunken zajął obiekty szpitalne? Koronny dowód znajduje się w archiwach Niemieckiego Muzeum Techniki w Berlinie. W tych zbiorach znajduje się unikalny album ze zdjęciami z 1944 r. o nazwie „Telefunken Kriegsbetrieb-Leubus"[4]. Sam album składa się z dwóch części, z której każda zaczyna się zdjęciem bramy wjazdowej do klasztoru oraz do szpitala, co niespodziewanie bardzo ułatwia lokalizację sfotografowanych obiektów. Jest to bardzo cenny dokument historyczny i mimo że był już wcześniej znany niewielkiej grupie badaczy, to pozostawał z nieznanych mi powodów w „ukryciu".

Zarząd Telefunkena po otrzymaniu decyzji o przydzieleniu obiektów w Lubiążu rozpoczął akcję przenoszenia maszyn i urządzeń naukowych, planując, że nowy ośrodek badawczo-rozwojowy powinien rozpocząć działalność najpóźniej na początku lipca 1943 r. W tym czasie też przystąpiono do działań logistycznych dotyczących przyjęcia pracowników, których postanowiono oddelegować z Berlina.

Kierownictwo kwatery

Najważniejszym zadaniem było zapewnienie warunków bezpieczeństwa, tajności prac, a potem warunków egzystencji w nowym miejscu pracy. Realizowane zadania były związane produkcją wojenną, więc trudno się dziwić,że nadzór nad wszystkim mu- >>>

www.odkrywca.pl

>>> siało pełnić wojsko, które do Lubiąża oddelegowało majora Schultheisa.

Zachował się niezwykle cenny dokument – komunikat Nr 2 z dnia 6 lipca 1943 r. (Hedwig – Bekanntmachung Nr 2), skierowany do pracowników, w którym informuje się o osobach odpowiedzialnych za poszczególne działy administracji obiektem (Organisation der Diensstelle für Gefolgschaftbetreuung „Diefüge”[5]):

„Kierownik: major Schultheis.
Zastępca: Feldwebel Dwenger.
Zakwaterowanie: Herr Schlag.
Wyżywienie: Herr Wilsch.
Obsługa pocztowa: Frau Lange.
Pranie odzieży: Fräulein Jendrian.
Obsługa techniczna: 2 elektryków, ślusarz, hydraulik, sprzątaczki”.

Sami zainteresowani mogli swoje sprawy zgłaszać w poniedziałki, wtorki, środy i piątki w godzinach 18.00-20.00, czyli po zakończeniu pracy w klasztorze.

Oddelegowanie pracowników do Lubiąża

Tryb oddelegowania pracowników z Berlina do Lubiąża poznać można na przykładzie mechanika Aloisa Strucka z wydziału EB 12, który 20 lipca 1943 r. otrzymał do domu pismo z kierownictwa Telefunkena, informujące o wyznaczeniu dla niego nowego miejsca pracy – Telefunken Betriebstätte in „Heinrich”[6] (!). Z tego pisma rodzina Strucka dowiedziała się...

TELEFUNKEN

GESELLSCHAFT FUR DRAHTLOSE TELEGRAPHIE M. B. H

Herrn
Alois S t r u c k,
EB 12

FERNSPRECHER
ORTSVERKEHR 840016
FERNVERKEHR 840017
POSTSCHECKKONTO
BERLIN NR. 18483
REICHSBANKGIROKONTO
BERLIN NR. 1/878
DRAHTANSCHRIFT
TELEFUNKEN BERLIN
FERNSCHREIBER 01 1429

CODES: ABC 5TH UND 6TH EDITION
ALPHA CODE, TEIL 1 UND 2 UND TE
ELEKTROTECHNIK · BENTLEY · BENTLEY'S
SECOND · MARCONI · MOSS
BANKKONTO: DEUTSCHE BAN
DEP.-KASSE O, BERLIN SW 68
BELLE-ALLIANCE-PLATZ 1
BANKKONTO: DRESDNER BANK
DEP.-KASSE 90, BERLIN SW 61
BELLE-ALLIANCE-STRASSE 107

BERLIN-ZEHLENDORF 1, VIERTER RING-OSTEWEG

IHRE ZEICHEN | IHRE NACHRICHT VOM | UNSERE ZEICHEN | TAG
BETREFF | FN/GA/~~Bitz/Al~~ RWa/Wi. | 20. Juli

Aus kriegsbedingten Gründen müssen wir einige Dienststellen von Telef
ken in auswärtige Orte auf Kriegsdauer verlegen. Auch Ihre Abteilung
wird von dieser Verlagerung betroffen. Infolgedessen werden Sie mit W
kung vom 28.7.43. nach einem Ort, den wir auf der Reiseanweisung nähe
bezeichnen, abgeordnet.

Diese Abordnung gilt vorläufig auf etwa 6 Monate. Sollten Sie über di
Zeit hinaus dort bleiben müssen, so erfolgt spätestens nach 6 Monaten
eine Versetzung auf Kriegsdauer an den neuen Ort.

1. Aufgrund besonderer Behördenvorschriften werden Sie einer neugegrü
deten Gesellschaft zugeteilt, über deren Zusammenhang mit Telefunke
strengste Verschwiegenheit zu bewahren ist. Sie unterstehen organis
torisch und disziplinär der Betriebsführung der neuen Gesellschaft.
In arbeitsrechtlicher Hinsicht gilt, wie wir Ihnen im Einvernehmen
mit den zuständigen Behörden mitteilen, die neue Gesellschaft als
Abteilung des Stammhauses.
2. Solange die Abordnung läuft, bleiben Sie Gfm. unseres Berliner Stam
betriebes. Die Anstellungsbedingungen, die bisher für Sie galten, s
ten unverändert weiter. Sie nehmen auch weiterhin an allen sozialen
Regelungen unseres Stammwerkes Berlin teil. Die Auszahlung Ihrer Be
züge erfolgt an dem neuen Ort, soweit nicht von Ihnen der Berliner
Lohn- oder Personalstelle gegenüber der Wunsch ausgesprochen wird,
einen Teil Ihrer Bezüge an Ihre Familie direkt auszuzahlen.
Für die Zeit der Abordnung zahlen wir die in unserer Reisekostenord
nung - Abschnitt F II - vorgesehenen Abordnungsgelder entsprechend I
rer Reisegruppe.
3. Nach Beendigung der Abordnung - der Zeitpunkt wird vom Reichstreuhä
der des Einsatzortes festgelegt - werden wir Sie in den neuen Betrie
aufgrund der bestehenden behördlichen Vorschriften versetzen müssen.
Von diesem Zeitpunkt an werden wir Ihre Anstellungsbedingungen den
örtlichen Tarifordnungen oder sonstigen Regelungen anpassen. Dabei
sind wir uns mit dem zuständigen Reichstreuhänder schon jetzt einig,
daß hinsichtlich der Lohn- oder Gehaltseinkommen durch die Einrei-
hung in die örtlichen Regelungen eine Schlechterung nicht eintreten
soll. Da, wo eine Verschlechterung eintreten würde, wird der Reichs-

Bearbeiter:
Postapparat Nr.

b.w.

TNF 26/19. 10000. 7. 41. M. – C/1494

„... że z powodu wojny Telefunken musi przenieść niektóre oddziały firmy w miejsca nie objęte jeszcze działaniami wojennymi. Również Pana wydział będzie przeniesiony. W związku z powyższym z dniem 28 lipca 1943 r. uda się Pan do miejscowości, która zostanie podana w dniu wyjazdu. Niniejsze oddelegowanie jest tymczasowe na okres 6 miesięcy, ale w przypadku niekorzystnej sytuacji wojennej, oddelegowanie będzie mogło być przedłużone o kolejne 6 miesięcy. Został Pan przydzielony do nowo powstałej spółki naszej firmy. W tej sprawie zobowiązany jest Pan przestrzegać tajemnicy służbowej. Na czas oddelegowania pozostaje Pan nadal pracownikiem berlińskiego zakładu Telefunken. Dotychczasowe warunki zatrudnienia i płacy pozostają bez zmian. Firma pokrywa koszty podróży na nowe miejsce pracy. Zapewniamy Panu zakwaterowanie oraz wyżywienie. Zgodnie ze zbiorowym układem pracy przysługuje Panu urlop. Oprócz urlopu – pracownikom żonatym przysługuje prawo odwiedzin rodziny 4 razy, zaś nieżonatym pracownikom – 2 razy w roku. Na podróże do rodzinnego domu przysługują 4 dni (niepłatne). Podróżować może Pan pociągiem – wagonem III klasy. Może Pan również, raz w miesiącu – w tzw. długi weekend, wyjechać do Berlina, ale na własny koszt. Rozumiemy, że zmiana miejsca jest pewną niedogodnością. Oznaczać to będzie ograniczoną możliwością kontaktów z rodziną, osobami bliskimi czy znajomymi. Wierzymy, że Pan rozumie, że to, co Pana dotknęło, jest koniecznością związaną z sytuacją wojenną i że będzie Pan wspierał realizację zadań, jakie mamy do wykonania”.

www.odkrywca.pl

Samo pismo jest szablonem dla wszystkich oddelegowywanych pracowników. Dopiero na samym końcu znajduje się ramka, w której wpisano Panu Struckowi nowe miejsce pracy: **Heinrich.**

Wyżywienie

Choć niektórzy uważają, że problem wyżywienia należy widzieć również w aspekcie morale pracowników, to uwarunkowania wojenne raczej skłaniają do innej refleksji. Pracownik delegowany z Berlina otrzymywał na piśmie lakoniczną informację: jedzenie będzie umiarkowane. Zachowało się kilka menu, więc warto podać trochę szczegółów.

Przede wszystkim menu zatwierdzał kierownik wyżywienia Herr Wilsch. Jadłospisy były dostarczane imiennie kadrze naukowej. Dotyczyło to obiadów i kolacji, które były spożywane w klasztorze. I tutaj mała niespodzianka. W jadłospisach była rubryka, czy dany obiad będzie spożywany wspólnie czy indywidualnie. Pikanterii dodaje fakt, że w trybie indywidualnym podawano takie potrawy mięsna jak: cielęcina, klops, mięso duszone czy pieczeń wieprzowa. Wspólne posiłki spożywane były w klasztornym refektarzu. Natomiast śniadanie należało zjeść przed pójściem do pracy w szpitalnej stołówce, która mieściła się nad pomieszczeniami kuchennymi. Wiele uwag zgłaszano do warunków sanitarnych, w jakich przewożone były posiłki ze szpitalnej kuchni do klasztoru. Z okien klasztoru nie raz obserwowano, jak kotły z jedzeniem przywożono na brudnych wózkach gospodarczych, które używano do innych prac gospodarczych, jak np. przewóz węgla. Były skargi na zbyt małe porcje żywnościowe, podawanie wody jako wywaru, itp., ale kłopoty aprowizacyjne, szczególnie w rejonie Lubiąża były codzienną szarą prozą życia. Naukowcy jeszcze jako tako sobie radzili, ponieważ często jeździli do centrali w Berlinie i stamtąd przywozili dodatkowy prowiant czy słodycze nie do zdobycia w malutkim Lubiążu.

Dla przykładu podam menu z dopiskiem dla dr Bausenharta z Laboratorium Anten z okresu 7-20 lutego 1944 r.[7]:

„Obiady: mięso duszone, kartofle, czerwona kapusta; gulasz z kuchni polowej, marchew, deser na słodko; pieczona cielęcina, kartofle, jarmuż; bulion wołowy z warzywami: zupa ziemniaczana z kiełbasą; pieczeń wieprzowa, kartofle, kiszona kapusta; pieczeń mięsna, kartofle i szpinak: kasza z musem jabłkowym; pieczeń cielęca, kartofle i deser: kluski na parze z wkładką mięsną; makaron z sosem pomidorowym, klops.

Na kolacje podawano: ziemniaki w mundurkach, biały ser, masło; ziemniaki puree okraszone słoniną i kiszona kapusta; grysik, mus jabłkowy, masło; zupa Lukullus, kiełbasa, masło; sałatka jajeczna, kiełbasa, masło/smalec; bulion z warzyw z makaronem, kiełbasa, smalec; sałatka ziemniaczana, ser, masło; zupy jarzynowe lub z kaszy".

Menu było bardzo zróżnicowane i w zasadzie w ciągu dwu tygodni nie powtórzyło się. Na mnie największe wrażenie zrobiła zupa Lukullus! Dopiero pomoc szwagierki z Bawarii pozwoliła poznać tajemnicę tej zupy, która do dziś sprzedawana jest w torebkach (z makaronem w kształcie gwiazdek).

Warto wspomnieć o pieczywie, bowiem i tutaj miało miejsce kuriozalne zdarzenie. Chleb zakupywano w kilku piekarniach. W trakcie jednej z kontroli niespodziewanie stwierdzono, że chleb z piekarni przy Wohlauerstrasse jest bardzo dobry i wykazywał jeszcze nadwagę[8].

Trudno pojąć, ale zamiast się cieszyć z dużych bochenków chleba, zarządzono postępowanie wyjaśniające. Ja też dorzucę swój kamyczek do tematu piekarni, bo jest to sprawa arcyciekawa. W archiwach zachowała się umowa dzierżawy pomiędzy Dr. Fürstenau a mistrzem piekarskim Hermannem Pfänderem, mającym swoją piekarnię przy Oderstarsse (ul. ks. Bolesława Wysokiego) 14 w Lubiążu[9]. Przedmiotem umowy była dzierżawa piekarni, budynków gospodarczych oraz jednego garażu. Umowa obowiązywała od 1 kwietnia 1944 r., przy czym miesięczny koszt dzierżawy wynosił 400 RM. Najemca zgodził się, by wyroby z piekarni nie były objęte publicznym handlem, lecz służyły wyłącznie do konsumpcji przez pracowników spółki Schlesische Werkstätten. W zasadzie można była podpisać umowę kupna na całość wyprodukowanego pieczywa, ale widocznie Dr. Fürstenau bardziej potrzebował piekarnię niż pieczywo. Rozwiązanie zagadki zapewne ukryte jest w § 2

Zdjęcie lotnicze terenu szpitala – 7.02.1945 r.

umowy, w którym znajduje się krótki zapis: Najemca uprawniony jest do montowania w pomieszczeniach piekarni własnych maszyn, stosownie do swoich potrzeb.

Rodzinie H. Pfändera udało się tylko wynegocjować zastrzeżenie, że będą mogli korzystać z pieca i wody w budynku piekarni dla potrzeb własnego gospodarstwa domowego. A to zmienia meritum sprawy. Wynika z tego, że chleb pieczono tu tylko dla pozoru. >>>

www.odkrywca.pl

>>> W międzyczasie zamontowano tu nieznane nam dziś urządzenia lub dodatkowe piece dla całkiem innych celów. Uważam, że należy to kojarzyć z pracami badawczymi prowadzonymi w klasztorze przy nowym detektorze krzemowym. Ciekawostką jest to, że trudno dzisiaj odnaleźć te obiekty.

Ochrona informacji niejawnych

Na terenie Lubiąża stopień tajności prac wzrastał z miesiąca na miesiąc. Pracownicy musieli być poddani coraz większej dyscyplinie, szczególnie w zakresie ochrony informacji niejawnych. W lutym 1944 r. Komisarz Wojskowy wydał w tej sprawie szczegółową instrukcję[10], w której zawarto m.in.:

Tajemnicze kanały

Skoro poruszony został temat tajemnic, to rodzi się pytanie, czy sam teren szpitala miał coś wspólnego z jakąś produkcją zbrojeniową? Terenowi eksploratorzy szczególnie zainteresowali się podziemnymi kanałami. Uważano, że mogły one być wykorzystywane jako dodatkowe wejścia do mitycznej podziemnej fabryki w Lubiążu. Poza jedną zasypaną studnią nic więcej w zasadzie nie znaleziono, ale teorie spiskowe zostały. Kłam wszystkiemu zadali Andrzej Kiejna i Małgorzata Wójtowicz, którzy w swojej książce o historii szpitala w Lubiążu napisali, czym naprawdę były te kanały: „... ogrzewanie dużych pawilonów, budynku z salą widowiskową, kuchni, pralni i pawilonu lekarskiego odbywało się za pomocą centralnego ogrzewania parowego, natomiast pawilon zakaźny i dom wiejski dla mężczyzn miały własne wymienniki ciepła.... W domach dla chorych na gruźlicę były piece kaflowe. Para była wytwarzana w czterech wielkich kotłach o pojemności 93 m^3, używano jej również do napędzania dwóch prądnic wraz z dodatkowym agregatem w celu zasilania baterii akumulatorów. (...) Przewody parowe do ogrzewania i te dostar-

Śląskie Warsztaty
Dr. Fürstenau & Co.
GmbH

Heinrich 29.02.1944 r.

Komisarz Wojskowy
Schm./Th.

POUFNOŚĆ INFORMACJI NIEJAWNYCH

A. PODSTAWOWE INFORMACJE
1/ z informacjami niejawnymi związane są dokumenty, druki, mapy, plany, rysunki, kserokopie każdego rodzaju, które dla bezpieczeństwa III Rzeszy, zwłaszcza jej interesów obronnych, które nie mogą być poznane przez służby obcego wywiadu,
2/ wszystkie dokumenty będące w dyspozycji zakładu lub wytworzone podczas jego funkcjonowania traktowane są jako informacje niejawne i muszą być tak przechowywane, przetwarzane, przekazywane, przesyłane i zniszczone tylko przez osoby upoważnione do dostępu do informacji niejawnych.

Utratę informacji niejawnych należy natychmiast zgłaszać do komisarza wojskowego.

3/ informacje niejawne ze względu na swoja poufność klasyfikuje się jako:
– tajne (geheim – g),
– ściśle tajne (Geheim Komandosache – Kdos).

OPRACOWYWANIE DOKUMENTÓW Z INFORMACJĄ O KLAUZULI NIEJAWNOŚCI ,,TAJNE" (GEHEIM) STOSUJE SIĘ PRZY ZACHOWANIU PONIŻSZYCH ZASADY:
1/ obiekt musi być zaliczony do tajnych zakładów,
(nadużywanie tej zasady jest karalne),
2/ ujawnienie tych wiadomości szkodziłoby bezpieczeństwu funkcjonowania zakładu,
3/ dokumenty przechowywane są pod bezpiecznym zamknięciem i wysyłane w trybie
zwykłym (w czasie wojny nie było konieczne wysyłanie w podwójnej kopercie).

OPRACOWYWANIE DOKUMENTÓW Z INFORMACJĄ O KLAUZULI ,,ŚCIŚLE TAJNE" (GEHEIM KOMMANDOSACHE) wykonuje się przy zachowaniu poniższych zasad:
1/ obiekt musi być zaliczony do tajnych zakładów,
2/ informacje przekazywane są wyznaczonej osobie, z rąk do rąk – w podwójnej
kopercie oraz za pokwitowaniem,
3/ przewóz ściśle tajnych dokumentów może odbywać się kurierem lub przez zaufaną osobę,
4/ w przypadku wysyłki dokumentu pocztą należy przesyłkę nadawać jako list wartościowy o wartości co najmniej 1000 marek,
5/ dokumenty ,,ściśle tajne" muszą być przechowywane w sejfie pancernym (wyjątkowo w szafce metalowej),
6/ naruszenie powyższych zasad będzie surowo karane.

C. NISZCZENIE DOKUMENTÓW NIEJAWNYCH
1/ w przypadku utraty poufności przez dany dokument, należy zgłosić go do zniszczenia.

Dokumenty gromadzone są w segregatorach odrębnie dla klauzul: tajne i ściśle tajne.

Gdy segregatory będą pełne, należy je przygotować do końcowego zniszczenia,
2/ pozostałe dokumenty poufne powinny być niszczone w miejscu ich przechowywania.

W wykazie niszczonych dokumentów należy dokładnie wypełnić rubrykę ,,temat
dokumentu", unikając lakonicznych zapisów,
3/ dokumenty ze zdjętymi klauzulami: tajne i ściśle tajne należy zapakować w worki, które następnie powinny być zaplombowane i trzymane w bezpiecznym miejscu.
Następnie worki należy załadować na samochód i przewieźć do fabryki papieru w Zakrzowie (dziś dzielnica Wrocławia – przyp. autora.), gdzie zostaną zmielone w młynie fabrycznym!

www.odkrywca.pl

czające ciepłą wodę , jak również kable elektryczne i telefoniczne poprowadzono podziemnym kanałem łączącym poszczególne budynki[11]".

Czas relaksu

Sam teren szpitalny był jednym wielkim ogrodem pełnym tajemniczych alejek i terenów zielonych wykonanych podczas budowy tego szpitala na początku XX wieku. W samym centrum znajduje się do dziś okazały budynek z salą widowiskową, która w czasie wojny była miejscem licznych koncertów i odczytów, organizowanych szczególnie dla kadry naukowej.

Dylematy

W protokołach kontroli pracy kuchni z dnia 23.11 i 7.12.1943 r. jako nieprawidłowości wskazano:

– posiłki rozwożone są przez chorych (Kranken) w skandaliczny sposób, bowiem chorzy są brudni i fatalnie ubrani,

– stwierdzono, że 16.12.1943 r. więźniowie (Gefangen) otrzymali większe porcje jedzenia niż zwykli pracownicy[12].

Te lakoniczne informacje są bardzo ciekawe i nie do końca jeszcze zrozumiałe.

Autor składa podziękowania Panu Wacławowi Mazurowi z Lubiąża, członkom Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego za możliwość wykorzystania materiałów archiwalnych oraz dyrektorowi dr Jackowi Kacalakowi z Woj. Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lubiążu za zdjęcia, konsultacje, przekazane uwagi oraz pomoc udzieloną w poznawaniu roli szpitalnych pawilonów.

Romuald Owczarek

Protokoll Nr. 2

Kasino-Ausschußsitzung vom 16.9.1943 Beginn 20.30 Uhr, Haus 14.

Anwesend waren: Herr Dr. Fürstenau, " Denkes, " Dr.Bausenhart, " Pfeiffer, " Major Schultheiß, Herr Dr. Rothe, " Wilsch, " Springstein, " Blümner, " Herde

1.) Herr Dr. Rothe teilt mit, daß die Maurer,die Schwerarbeiterzulagen bekommen, diese jetzt auch im Essen erhalten.

2.) Ferner wird mitgeteilt, daß Herr Donalecz als zweiter Koch jetzt hier ist und evtl. sogar noch ein dritter Koch kommen soll.

3.) Erläutert Herr Dr. Fürstenau die Zusammenkunft mit den Herren vom Hauptwirtschaftsamt, Landrat, Kreisbauernschaft usw.
Es wird zunächst festgestellt, daß das Wort "Schwerarbeiterverpflegung" für uns nicht in seiner eigentlichen Bedeutung zutrifft, sondern daß die Verpflegung unserers Lagers ein Novum darstellt. Es sind dies Sonderzuteilungen vom Ernährungsamt Breslau, die nur dem Lager gegeben werden. Deshalb bleiben die Zuteilungen auch nicht konstant, denn es kann anstelle von Fleisch Gerichte wie Erbsen, weiße Bohnen usw. geben. Zu diesem Zweck wird von Herrn Wilsch und Herrn Dr. Fürstenau ein Wirtschaftsplan für das nächste Vierteljahr an das Ernährungsamt eingereicht. Ferner wurde von Herrn Dr. Fürstenau erreicht, daß für 4% der Belegschaft des Lagers Krankenkostzuteilung erfolgt.
Infolge der schlechten Beschaffenheit des Brotes wurde erreicht, daß das Lager Sonderzuteilungen an Weizenmehl erhält, ebenso ein Brotmehl mit anderem Mischverhältnis.
Ähnliches wurde betr. Gemüseversorgung erreicht durch bevorzugte Belieferung vom Gemüselieferanten und durch Anbauverträge bei der Landwirtschaft.
Vertraglich wurde ein Landwirtschaftsbetrieb von Seiten der Kreisbauernschaft bereits freigemacht.
Eine Sonderzuteilung von 8 Tonnen Heringen, 10 Ztr. Trockenkohl undeinigen Dosen Sardinen wurde für den Winter bereits eingelagert. Betreffs Gästeversorgung sollen auch hierfür bestimmte Zulagen erfolgen, wobei für die Meldung beim Wirtschaftsamt die Zahl der ausgegebenen Mittagessen angegeben werden soll.

4.) Herr Wilsch berichtet über die ersten 14 Tage der eigenen Verwaltung:
Dabei zeigt sich, daß viel zu viel Kartoffeln verbraucht werden. Dafür muß eine Lösung gefunden werden. In diesem Zusammenhang kam die Sprache auf die Einlagerung der Kartoffeln in Heinrich, während diese Frage für Hedwig durch die Kellereinlagerung und entsprechend Mieten gelöst ist. Diese Frage wird von Herrn Dr. Rothe und Herrn Dr. Fürstenau zusammen mit Herrn Wilsch geklärt.

5.) Herr Dr. Fürstenau und Herr Dr. Rothe machen den Vorschlag, durch Mundpropaganda zu verbreiten, daß die Schwerarbeiterzulagen in Zusatzlagerverpflegung umgewandelt werden.

6.) Herr Wilsch macht den Vorschlag, Eintopfessen auf die Karte zu setzen, in denen Fleisch eingeschnitten ist, ohne daß auf dem Speisezettel eine Gewichtsangabe erscheint, da beim Einkochen manchmal zu großer Gewichtsverlust auftritt, der zu Klagen Anlaß gibt.

b.w.

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

PRZYPISY

[1]BA/MA RW 21-10/4 Kriegstagebuch des Rüstung In VIIIa (I kwartał 1943 r.)
[2]SDTB Berlin sygn. a. I.2.060 C.05747
[3]Bestand Katalog-Samlung Feldpost www.museumsstiftung.de
[4]SDTB Berlin I.2.060 Telefunken -Kriegsbetrieb Leubus/Schlesien
[5]Skan dokumentu ze zbiorów Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego
[6]SDTB Berlin sygn. a. I.2.060 C.07796
[7]Skan dokumentów z 7-14 i 15-20.02.1944 r. ze zbiorów Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego.
[8]„Lubiąż nieznany- Problemy aprowizacyjne" Wacław Mazur Wiadomości 8/1998 .
[9]SDTB Berlin s.a. I.2.060 C.04160
[10]Skan dokumentu ze zbiorów Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego
[11]A.Kiejna, M.Wójtowicz, „Prowincjonalny Psychiatryczny Zakład Leczniczo-Opiekuńczy w Lubiążu 1830-1912", Wrocław 2002, s.76.
[12]Skany pism z kontroli kuchni ze zbiorów Wacława Mazura.

Skan dokumentu: zbiory W. Mazura

LUBIĄŻ MNIEJ

MAREK MICHALSKI

Przesłuchania niemieckiego jeńca wojennego dotyczące systemów radarowych na Śląsku.

Zgodnie z relacją (publikacja w poprzednim numerze „Odkrywcy") naszego młodego Ślązaka instalacja urządzeń miała miejsce w maju 1943 roku. Data ta mniej więcej pokrywa się z informacjami, które dotyczą wizytacji zabudowań klasztoru przez Karla Hankego oraz przedstawicieli firmy Telefunken w marcu tego samego roku. Czerwiec 1943 roku wymieniany jest w dokumentach niemieckich jako miesiąc wzmożonej działalności budowlanej na terenie klasztoru. Ten sam miesiąc podawany jest przez jeńca jako moment rozpoczęcia działalności ośrodka zlokalizowanego w Lubiążu. Pewną nowością jest przytoczenie nazw dwóch zespołów radarowych usytuowanych w pobliżu klasztoru. Jeniec wymienia nazwy dwóch znanych mu zespołów radarowych Gretchen II oraz Gretchen III. O ile nazwa zespołu Gretchen III była polskim badaczom znana, a jej lokalizacją jest rejon Zagórzyc, to nazwa zespołu Gretchen II nie pojawiła się dotychczas w polskich dokumentach. Zgodnie z zeznaniami jeńca zespół radarów Gretchen III znajdował się w okolicach Glinian, a zespół Gretchen II w rejonie Zagórzyc. Jest to warta odnotowania różnica w nazewnictwie i lokalizacji terenowej poszczególnych zespołów radarowych. Oczywiście nasze „źródło" mogło po prostu pomylić się w nazewnictwie poszczególnych zespołów radarowych, jednakże większość szczegółów znajduje potwierdzenie w innych relacjach. Dodatkowo warto zwrócić uwagę na trzy drewniane wieże, które zgodnie z zeznaniami zostały wybudowane i rozlokowane przy zespole radarowym zlokalizowanym w pobliżu wsi Zagórzyce. To samo dotyczy dużej drewnianej szopy zlokalizowanej na skraju lasu, a służącej, zgodnie z relacją, do przechowywania zestawów radarowych.

www.odkrywca.pl

CZĘŚĆ 2

NIEZNANY?

Umiejscowienie zespołów radarowych Gretchen II oraz Gretchen III względem opactwa Cystersów.

Niemieccy inżynierowie

Po raz pierwszy pojawia się informacja dotycząca bezpośrednio doktora Fürstenau, głównego dyrektora ośrodka w Lubiążu. Dowiadujemy się mianowicie, że był on „...starym członkiem partii...". Zapewne nie o liczbę wiosen naszego doktora tutaj chodzi. Z dużą dozą prawdopodobieństwa, graniczącą z pewnością możemy stwierdzić, że chodzi o partię NSDAP (Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników), organ „dość popularny" w tamtych czasach wśród niemieckich naukowców. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że w czasach utajniania wszystkiego zarówno niemiecka nazwa zakładów, „Schlesische Werkstätten dr Fürstenau GmbH", jak i nazwisko samego doktora, mogły być fikcyjne i służyć skomplikowaniu działań wywiadowczych sił sprzymierzonych. Obok znanego wszystkim doktora, o którym w dalszym ciągu niewiele jednak wiemy, pojawiają się trzy nowe dotychczas niepublikowane nazwiska niemieckich inżynierów. Niestety, tylko w przypadku nadinżyniera Zittricha udało się osiągnąć połowiczny sukces polegający na ustaleniu, że może chodzić o inżyniera Emila Zittricha, pracownika firmy Telefunken z Berlina, który w roku 1937 złożył wraz z drugim pracownikiem firmy Telefunken Karlem Wenzlem wniosek patentowy w amerykańskim urzędzie patentowym. Wniosek dotyczył elastycznych linii wysokich napięć z możliwością wykorzystania ich szczególnie w przypadku prądów wysokich częstotliwości. Brzmi znajomo? Skłaniamy się ku tezie, że jest to kolejne potwierdzenie wcześniejszych ustaleń polskich badaczy co do związków Lubiąża z wysokimi prądami i wysokimi częstotliwościami wykorzystywanymi w technice radarowej. W nawiązaniu do wydarzeń opisanych w raporcie, a związanych jednocześnie z działalnością dr Fürstenau, należy zwrócić uwagę na dość częste podróże służbowe wyżej wymienionego do Legnicy. Nie jesteśmy w stanie stuprocentowo wyjaśnić przyczyn tych wizyt, jednakże istnieją pewne podejrzenia wskazujące, że wizyty te mogły być związane z działalnością badawczą koncernu Telefunken oraz pracami doświadczalnymi prowadzonymi w Lubiążu. Pierwsze >>>

>>> możliwe rozwiązanie naszej zagadki to informacja o niemieckich samolotach, wyposażonych w radary zewnętrzne, mogących przylatywać w okolice Lubiąża z lotniska w Legnicy. Jak jasno wynika z raportu, zadaniem zespołów radarowych zlokalizowanych w Glinianach było namierzanie oraz śledzenie tychże przelatujących samolotów. Czy tylko namierzanie i śledzenie? A może była to kalibracja i testy techniczne wcześniej wytworzonych elementów na terenie klasztoru? Trudno dziś z całą pewnością wyjaśnić, skąd i czego dotyczyło sformułowanie jeńca „Rotterdam Gerät". Pewnym jest, że sformułowanie „Rotterdam" odnosiło się do niemieckiego programu, mającego na celu wyjaśnienie zasady działania angielskiego radaru naziemnego H2S montowanego w alianckich bombowcach, a zdobytego przez Niemców w lutym 1943 roku właśnie w pobliżu tego holenderskiego miasta. Niemieckie prace naukowe prowadzone były od marca 1943 roku pod kierownictwem Wolfganga Martini, jak również inżyniera Leo Brandta, którego grupa badawcza, „Arbeitsgemeinschaft Rotterdam (ASR)", spotkała się po raz pierwszy w biurach Telefunken zlokalizowanych w Berlinie. Istnieje zatem możliwość, że prace te, po zbombardowaniu centrali Telefunken w Berlinie, zostały przeniesione do Lubiąża. Gdy weźmiemy pod uwagę powyższe ustalenia, zrozumiałe staje się pytanie zadane jeńcowi przez oficera prowadzącego przesłuchanie, czy wie coś na temat środków radarowych przenoszonych drogą powietrzną. Z drugiej jednak strony jeniec dość dokładnie opisał naziemne urządzenie pod tą samą nazwą – „Rotterdam Gerät". Czy zatem mogła być to naziemna wersja radaru powstałego z kompilacji angielskiego wynalazku i prac rozwojowych prowadzonych przez Niemców? Na tym etapie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na wiele innych pytań. Wśród wielu nazwisk niemieckich naukowców przewijających się zarówno w historii związanej z Lubiążem jak i firmą Telefunken zwróciliśmy uwagę na nazwisko doktora Rothe, wymienianego w „Wojennych sekretach Lubiąża". Człowiek ten w historii związanej z Lubiążem występował jako kierownik nierozszyfrowanego z pełnej nazwy działu o kryptonimie LH. Doktor Horst Rothe, a później profesor, jeżeli oczywiście to ten sam człowiek, występuje wielokrotnie jako członek zespołu lub nawet jeden z kierowników wcześniej wymienionego zespołu „Arbeitsgemeinschaft Rotterdam". Współpracuje między innymi z Karlem Seilerem, Herbertem Matare oraz profesorem Paulem Ludwigiem Güntherem. Wszyscy pracowali nad stworzeniem detektorów krzemowych, >>>

fot. M. Sosnowski

DOKUMENT

ZAŁĄCZNIK A

Schlesische Werkstätte dr Fürstenau Leubus (Marzec 1944) [podana data dotyczy stanu faktycznego ośrodka w Lubiążu z marca 1944]

Opis oznaczeń na rysunku

Uwaga: Wszystkie budynki są konstrukcji kamiennej.

1. Budynek Główny: W budynku tym, którego frontowa ściana ma długość 200 m i składa się z 4 kondygnacji i jest zwieńczony dwoma na niebiesko pomalowanymi i zdobionymi wieżami o wysokości ok. 40 m od poziomu gruntu, mieści:

a) „Fürstensaal": sala wysoka na dwa piętra/kondygnacje. Część tej sali (oryginalnie refektarz klasztorny) jest zajmowana przez biuro konstrukcyjne (Konstructionbüro) wykorzystywane i zarządzane wspólnie przez pracowników firm Telefunken, Siemens oraz Halske z Berlina.

b) Abteilung Vogel: pomieszczenie, gdzie aparatura wytwarzana przez firmę Telefunken jest składana i montowana w zestawach radarowych.

c) Dział Doświadczalny (Versuchsabteilung): w tym miejscu znajduje się zainstalowana na stałe czasza małego Würzburga. Podzespoły elektryczne są podłączane do niej w celach testowych.

d) Abteilung Fessler: obróbka metalu w szczególności części z mosiądzu. W użyciu jest pewna liczba tokarek. Dział posiada również część magazynową, gdzie przechowywane są m.in: pręty mosiężne, blachy metalowe, przewody elektryczne, duże kable, itp.

e) Aparatura do testowania małych części elektrycznych.

f) Tajne laboratoria.

g) Biura różnych inżynierów.

h) Magazyn starej aparatury radarowej firmy Telefunken, często wykorzystywanej do budowy nowej aparatury.

2. Magazyn na wolnym powietrzu i obszar testowy dla zestawów radarowych. Konstrukcje stalowe, kabiny i ogólnie ujmując części nieelektryczne dostarczane są w to miejsce transportem samochodowym ze stacji kolejowej w Lubiążu. Technicy pracujący na zmianach dziennych oraz nocnych instalowali oraz testowali aparaturę elektryczną wcześniej montowaną w punkcie 1. Pięć do sześciu zestawów radarowych było zawsze składowanych w tym miejscu, a dodatkowo, przynajmniej do czasu wyjazdu jeńca. Przechowywana była również czasza do wielkiego Würzburga. Po skompletowaniu wszystkie zestawy wysyłane były do GRETCHEN III.

3. Biura pracowników.

4. Kościół klasztorny.

5. Garaż: 1 Opel Blitz, 1 Citroen, 1 duża ciężarówka nieznanego producenta, 1 Honomag, 2 osobowe samochody 8 motocykli. Ciężarówki zasilane są gazem drzewnym.

6. Magazyn benzyny dla transportu motorowego.

7. Kwatery: Zajmowane przez sześć lub siedem ukraińskich rodzin, które sprzątały warsztaty oraz czterech niemieckich kierowców ciężarówek.

8. Budynek biurowy: Biuro dyrektora zarządzającego doktora Fürstenau, biura przyjęcia oraz ekspedycji towarów.

9. Dział przyjęć i wysyłki: W tym miejscu rozpakowywane były komponenty elektryczne otrzymane koleją lub poprzez kuriera. Jedynymi elementami wysyłanymi z tego miejsca, przed wyjazdem jeńca, były towary uszkodzone.

10. Dawna Stajnia: Magazyn elementów elektrycznych, jeniec przypomina sobie tablice przełącznikowe (Siemens i Halske), rolki kabli (AEG) oraz różne inne komponenty (Telefunken, Siemens, Halske). Kineskopy były wysyłane bezpośrednio z działu wymienionego w pkt. 9 do stacji GRETCHEN II oraz GRETCHEN III.

11. Dawna Ujeżdżalnia: Warsztat naprawy i testowania radarów. Jednorazowo było tutaj umieszczonych około siedmiu lub ośmiu zestawów.

12. Warsztat naprawy i testów: podobne zastosowanie jak w pkt. 11.

13. Magazyn: Drewno do ciężarówek.

14. Kwatery: Straż zakładowa.

15. Wejście oraz wartownia: Tylko ten budynek był nowy.

www.odkrywca.pl

SCHLESISCHE WERKSTÄTTE DR. FÜRSTENAU, KLOSTER LEUBUS.

(From memory and not to scale)

NOTE: The more important buildings are cross-hatched.

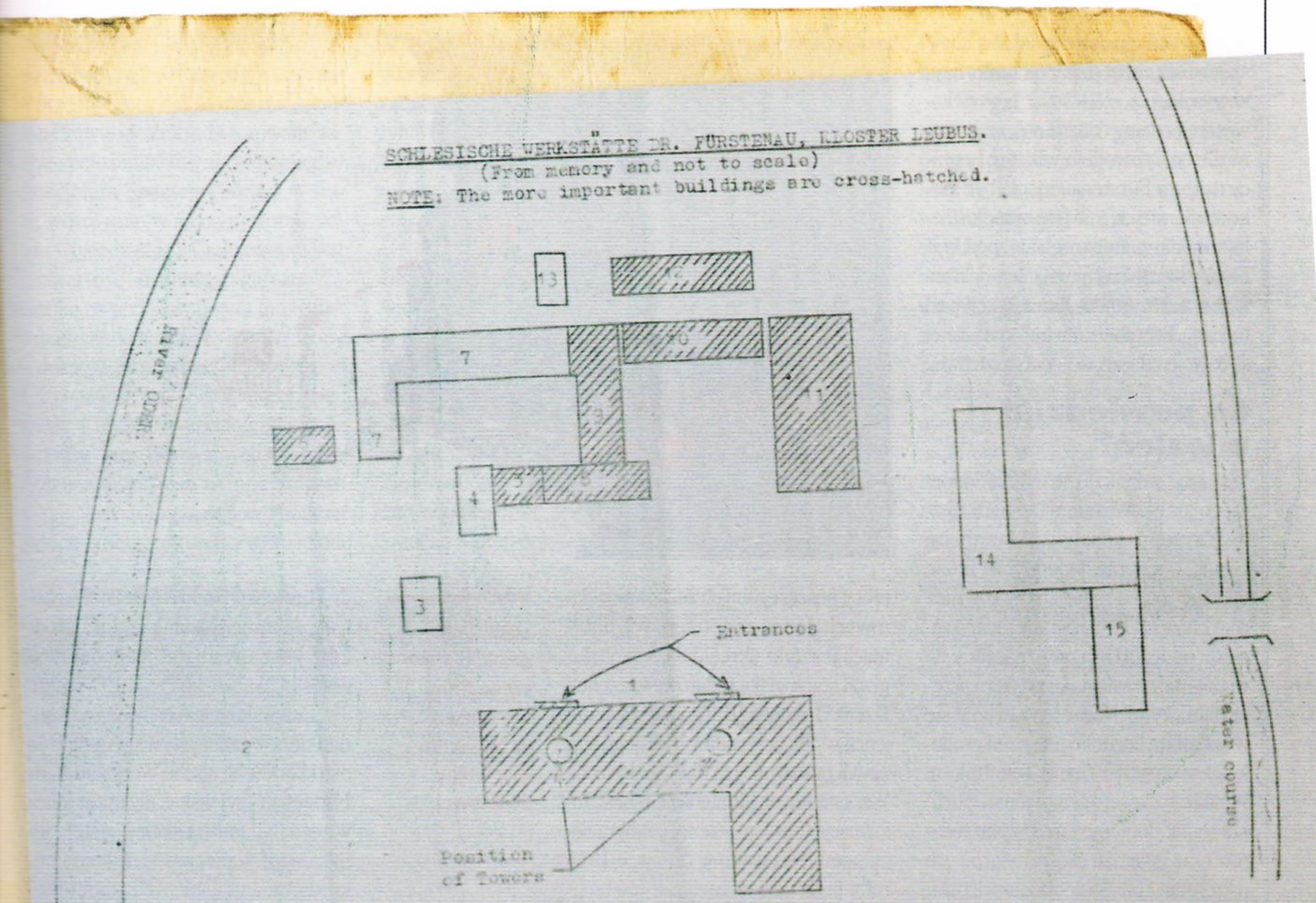

www.odkrywca.pl

>>> a sam profesor był dużej klasy specjalistą z dziedziny techniki/fizyki wysokiej częstotliwości. Jako ciekawostkę podamy dodatkowo, że innym możliwym powodem wizyt w Legnicy doktora Fürstenau mogło być ulokowanie w tym mieście ośrodka Telefunkena, zajmującego się, pod kierownictwem bliżej nie znanego doktora Hubera, rozwojem konstrukcji pod nazwą „Scheibenröhren" związanej z rozwojem łączności centymetrowej.

Co powiedział więzień?

Wracając jednak do zeznań niemieckiego jeńca. Wymienia w nich również system o nazwie „Mannheim Gerät" – najprawdopodobniej może chodzić tutaj o radar znany również jako FuMG41T – naziemny radar o zasięgu około 30 km przeznaczony do współpracy z bateriami artylerii przeciwlotniczymi. Radar ten zawierał się w szerokim portfolio urządzeń produkowanych przez firmę Telefunken. W dalszej części zeznań jeniec porusza temat dotyczący magazynu radarów oraz montażu części radarowych na terenie Hali Stulecia zlokalizowanej we Wrocławiu. Dodatkowo po raz pierwszy możemy dowiedzieć się, że na terenie klasztoru przebywały również rodziny ukraińskie, których zadaniem było utrzymanie porządku w warsztatach. Informuje również o przybliżonej liczbie osób przebywających na terenie zabudowań klasztornych. W oparciu o plany wydawania posiłków szacuje ich ilość na powyżej 900 osób. Liczba ta nie uwzględnia zarówno pacjentów szpitala psychiatrycznego, rodzin ukraińskich, jak również innych więźniów zakładu karnego w Wołowie świadczących pracę na rzecz firmy „Schlesische Werkstätten dr Fürstenau GmbH". W przybliżeniu liczba podawana przez jeńca zgodna jest z innymi źródłami. Interesująca jest również informacja o zakwaterowaniu pracowników cywilnych jak i wojskowych w zabudowaniach lubiąskiego szpitala psychiatrycznego. Dość dokładnie podane są, zasłyszane zapewne, informacje dotyczące terminów zainstalowania oraz pracy poszczególnych zespołów radarowych. Jedną z istotniejszych informacji jest fakt określenia, kto obsługiwał stanowiska radarowe Gretchen II oraz Gretchen III. Zgodnie z wiedzą jeńca w obu przypadkach obsługę stanowili pracownicy firmy „Schlesische Werkstätten dr Fürstenau GmbH". Informacja ta, w połączeniu z innym zeznaniem złożonym w czerwcu 1945 roku przez dawnego dyrektora technicznego, a od kwietnia 1944 szefa działu Elektro-Akustycznego firmy Telefunken – pana Locke, może przechylać szalę domysłów, czym był ośrodek w Lubiążu. Pan Locke w swoim zeznaniu jednoznacznie stwierdza, że pewne działy firmy Telefunken zostały ewakuowane z Berlina do różnych nowych lokalizacji. Zgodnie z jego zeznaniem dział badawczy (research department) firmy został przeniesiony właśnie do Lubiąża, skąd, przed nadejściem Rosjan, ewakuowany został do Bad Blankenburg w Turyngii. Powyższe fakty nie wykluczają jednakże istnienia zarówno w samym klasztorze jak i w jego okolicach zakładu wytwórczego/fabryki komponentów elektrycznych firmy Telefunken. Jednakże ten aspekt dociekań to już zupełnie inna historia.

Po wstępnej interpretacji części ogólnej raportu przejdziemy zatem do planu budynków poklasztornych wykorzystywanych na działalność ośrodka Schlesische Werkstätten dr Fürstenau GmbH. Tak jak i wcześniej zebrane zeznania, szkic ośrodka wykonany został na podstawie przesłuchania w styczniu 1945 roku.

Lokalizacje działu badawczego firmy Telefunken w czasie drugiej wojny światowej.

Bezdyskusyjnie największym budynkiem wykorzystywanym na cele ośrodka „Schlesische Werkstätten dr Fürstenau" był wskazany przez jeńca w zeznaniu Pałac Opata. Niestety jeniec nie zlokalizował na szkicu konkretnych, wymienionych przez niego podpunktów. Na szkicu zauważalnym jest brak umieszczenia samego klasztoru jak i kościoła Najświętszej Marii Panny (NMP). Jest to o tyle zaskakujące, że jeniec z dużą dokładnością umieścił inne, mniejsze budynki, łącznie z garażami, które znajdują się na terenie kompleksu. Czy mógł nie „zauważyć", kościoła NMP, umiejscawiając jednocześnie kościół Świętego Jakuba? Dlaczego, zaznaczając poprzez kreskowanie przeznaczenia poszczególnych budynków, nie uwzględnił kościoła oraz samego klasztoru? Jak zapewne zdążyłeś, drogi Czytelniku, zauważyć, kreskowanie miało na celu przyporządkowanie danego budynku do celów badawczo/produkcyjnych lub socjalno-bytowych.

Nowymi informacjami są dane dotyczące budynków zlokalizowanych poza głównym budynkiem klasztoru. Pomimo nieuwzględnienia skali możemy założyć, że biura personelu firmy „Schlesische Werkstätten dr Fürstenau" mogły mieścić się w dawnym

www.odkrywca.pl

browarze/piekarni. Zgodnie z zeznaniem budynek oznaczony numerem 7 przeznaczony był na cele mieszkalne. Prawie idealnie odwzorowane zostało położenie budynków pomiędzy kościołem Świętego Jakuba, a starą wozownią (w naszym tłumaczeniu – ujeżdżalnią). Ciekawostką jest „zawartość" firmowego garażu. Wisienką na przysłowiowym torcie jest umiejscowienie biur dyrektora firmy – doktora Fürstenau (lub osoby pod tym nazwiskiem występującej). Być może w tekście jenieckiego zeznania znawcy tematu wojennych tajemnic Lubiąża znajdą jeszcze inne ciekawe fakty. Nas bardzo zastanowił brak na szkicu budynku klasztoru, kościoła NMP, jak również określenie, które pojawia się odnośnie budynku oznaczonego na szkicu numerem 15: „... tylko ten budynek był nowy...". Czy autor zeznania miał na myśli tak zwany „budynek bramny"? A jeżeli nie, to czego dotyczy stwierdzenie?

Na tym etapie naszego małego śledztwa nie odpowiemy na to, jak i na wiele innych postawionych wcześniej w tekście pytań. Pragniemy w tym miejscu zakończyć opis przedmiotowego raportu. Z zamysłem pozostawiamy pewne obszary niewyjaśnione, jak również niedopowiedziane. Zapewne na wiele pytań moglibyśmy odpowiedzieć, analizując zdjęcie lotnicze z interesującego nas okresu. Prace poszukiwawcze nad pozyskaniem takowego wciąż jednak trwają.

Drogi Czytelniku, po przeczytaniu naszego tekstu pozostanie zapewne pewien niedosyt. Chcielibyśmy jednak spowodować, abyś sam, w rzeczywistości i na podstawie udostępnionych dokumentów, miał możliwość sprawdzenia jak piękny i w dalszym ciągu tajemniczy jest pocysterski klasztor zlokalizowany w Lubiążu.

Autor pragnie serdecznie podziękować Agnieszce Pradze oraz Adamowi Michalskiemu za ich wkład w redakcję artykułu, mając nadzieję, że nie „zamęczył na śmierć".

Marek Michalski
Autor artykułów historycznych i popularnonaukowych dotyczących okresu II wojny światowej, współpracownik IPN oraz Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince.

WYBRANE ŹRÓDŁA:

Protokoły przesłuchań członków zarządu Telefunken GmbH Arthur O. Bauer **„The German Wartime Struggle to catch up with Allied Power Magnetron Technology"**

JACEK.M.KOWALSKI, ROBERT. J. KUDELSKI, ZBIGNIEW REKUĆ **„Wojenne sekrety Lubiąża"**

KAI CHRISTIAN HANDEL **„Anfänge der Halbleiterforschung und entwicklung Dargestellt an den Biographien von vier deutschen Halbleiterpionieren"**

STRONY INTERNETOWE
www.sdtb.de
www.cdvandt.org
www.freepatentsonline.com

REKLAMA

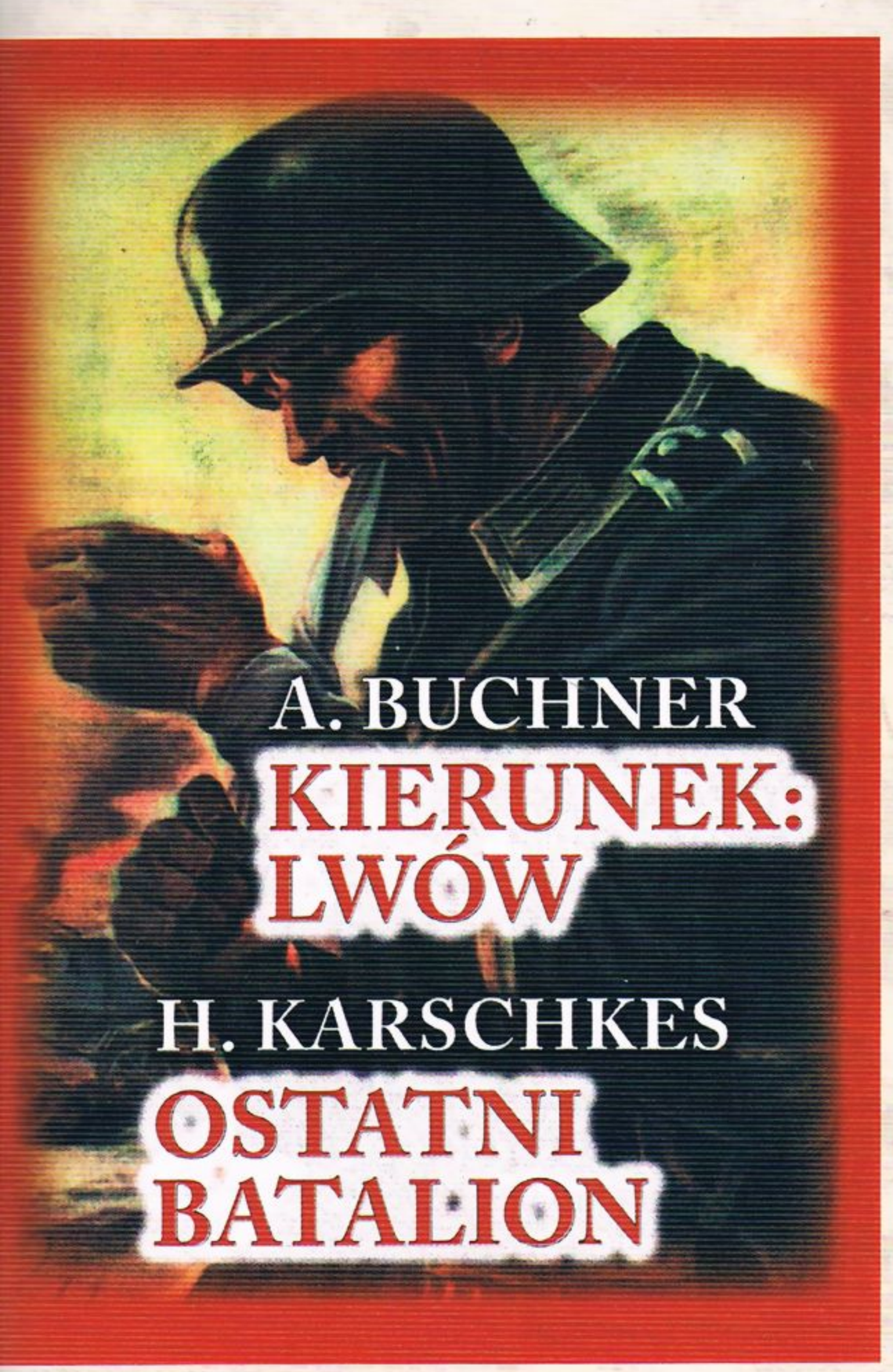

A. BUCHNER
KIERUNEK: LWÓW

H. KARSCHKES
OSTATNI BATALION

Wojna z niemieckiego punktu widzenia. Dwie opowieści, z początku i końca drugiej wojny światowej. Zbeletyryzowane historie, wojna postrzegana oczami prostych żołnierzy, walczących na pierwszej linii frontu.

„Kierunek: Lwów" – opowieść o działaniach niemieckiej 1 Dywizji Górskiej nacierającej od strony Popradu w kierunku Lwowa, z celem zdobycia miasta.

„Ostatni batalion" – opis walk jednego z ostatnich niemieckich oddziałów na Słowacji, walczącego w beznadziejnej sytuacji aż do kapitulacji Niemiec.

BREDA CZĘŚĆ 1 – NAJCIĘŻSZA BROŃ ZRZUCONA DLA AK

MICHAŁ CZACHAROWSKI

Same działko ważyło od 68,5 kg do 72 kg. Razem z trójnogiem ciężar wynosił 330 kg.

Przez ostatnią dekadę gorącego lipca 1944 r. przez teren Lubelszczyzny przetaczała się dosłownie i w przenośni „Burza". Było nią niewątpliwie przejście (niewielkiej części) wojsk dwóch największych w XX wieku armii świata. W tym starciu dwóch potęg brała również trzecia siła – Armia Krajowa, próbująca wywalczyć niepodległość Polsce. Po drugiej stronie Wisły, u podnóża Gór Świętokrzyskich, panował jeszcze wtedy względny spokój. Mimo zarządzenia pogotowia żołnierze AK chyba nie przewidywali, że nadchodzące wydarzenia nastąpią tak gwałtownie. Oddziały partyzanckie rozpoczęły koncentrację, prowadzono intensywne szkolenia, wzmożono patrole rozpoznawcze. Czuwały również cierpliwie placówki odbiorcze oczekujące na zapowiedziane masowe zrzuty uzbrojenia.

Placówka „Goździk"

Jedną z nich o nazwie „Goździk" umiejscowiono 9 kilometrów na północny wschód od stacji kolejowej Ćmielów między wsiami Duranów i Teofilów, niespełna 13 km na zachód od Wisły. 21 lipca po odsłuchaniu polskiej

www.odkrywca.pl

audycji w BBC wiedziano, że tej nocy nad „Goździkiem" pojawią się brytyjskie samoloty. Wcześniej ustalonym hasłem do pogotowia dla placówki była jedna z pieśni ludowych, którą zagrano na końcu audycji. Zaalarmowana załoga „Goździka" gorączkowo przygotowywały się do odebrania zrzutu. Obawiano się przede wszystkim dużego nasycenia okolicy niemieckimi jednostkami, których ruch zwiększał się wraz przybliżaniem się frontu. Klucząc między nimi, kilkuosobowa obsługa placówki z trudem dotarła na wyznaczone miejsce zrzutu. Niemal na miejscu, we wsi Duranów, stacjonował oddział partyzancki por. Kazimierza Olchowika „Zawiszy" należący do Obwodu AK Opatów. Oddział ten miał osłaniać całą operacje zrzutowo-odbiorczą. O godz. 23 w na południowym krańcu placówki, który stanowiła ściana lasu, zatrzymały się zaprzęgi konne z okolicznych wsi mające przewieźć zrzut w bezpieczne miejsce. Po północy usłyszano głuche dudnienie silników nadlatujących maszyn, po czym błyskawicznie wyłożono świetlny znak, ułożony z latarek, mający ułatwić lotnikom nawigację i zrzut. Tym razem na świętokrzyskim niebie pojawiły się dwa czterosilnikowe Liberatory z polskiej 1586 Eskadry Specjalnego Przeznaczenia. Samoloty dokonały zrzutu 24 zasobników i tyluż paczek w 5 nalotach, po czym pożegnały partyzantów miganiem świateł pozycyjnych. Cała operacja nie trwała więcej niż pół godziny. Zrzut, ku euforycznej niemal radości AK-owców, odebrano w całości. By nie zdradzić miejsca placówki odbiorczej oraz zabezpieczyć odebrany sprzęt, ostatnie nocne godziny przeznaczono na szybki odskok w bezpieczniejsze miejsce. Mimo jasnej księżycowej nocy partyzanci odczepili od zasobników fluorescencyjne krążki, które wcześniej miały ułatwić ich odnalezienie. Krążki te przyczepiano sobie do oporządzenia, by ułatwić wzajemną orientacje w trakcie forsownego marszu.

Po dotarciu do nowego miejsca biwaku, znajdującego się w gęstej sosnowej drągowinie, zarządzono całodniowy postój w celu odpoczynku i podziału odebranego zrzutu. Tam, niestety, doszło do samowolnego rozpakowania zasobników i paczek przez partyzantów oddziału osłonowego. Błyskawiczna i stanowcza reakcja Jana Pękalskiego „Borowego" koordynującego odbiór zrzutów w Obwodzie AK Opatów przyczyniła się do zwrotu prawie wszystkiej broni. Mimo tego precedensu oddziałowi „Zawiszy" przydzielono część zrzutu. W jednym z przekazanych zasobników miało znajdować się działko o kalibrze 20 mm. Na podstawie zebranych w artykule informacji można by śmiało zaryzykować stwierdzenie, że bronią o tym kalibrze mógł być Solothurn. Jednak dzięki zachowanym relacjom wiadomo, że była to inna broń. Jak relacjonuje Jan Pękalski „Borowy": „Już tam, w lesie sierż. »Jeleń« (sierż. Jan Śledź) nie wytrzymał i wyjął działko z kontenera, nastawił go i dokładnie przestudiował załączoną instrukcję". To właśnie z jej treści (i najprawdopodobniej z tabliczek znamionowych) dowiedziano się, że jest to Breda. Przesłana instrukcja była oryginalną włoską książką obsługi broni, do której dołączono odręczne polskie tłumaczenie.

Włoscy oficerowie obserwują skuteczność prowadzenia ognia z 20 mm Bredy. W 1941 r., kiedy zrobiono tę fotografię, właściwości tej broni pozwalały na skuteczne zwalczanie niemal wszystkich alianckich pojazdów opancerzonych, jakimi dysponowali na terenie Afryki Północnej.

Konstrukcja Bredy umożliwiała szybkie złożenie trójnogu do pozycji marszowej, co pozwalało na transport broni zarówno samochodem, jak i przez wykorzystanie zwierząt pociągowych.

Wraz z Bredą zrzucono również amunicję. Nie wiadomo jednak czy w zasobniku, czy w paczce o oznaczeniu AmPancN, jak to miało miejsce w przypadku Solothurnów. Na temat ilości amunicji zachowały się dwie wzmianki. Pierwsza informuje, że zrzucono 48 szt. amunicji w 8 podajnikach, druga, którą podaje cytowany wcześniej Jan Pękalski „Borowy", wskazuje na liczbę 200 szt.

Po zapoznaniu się z budową i obsługą Bredy niewątpliwie natychmiast zdecydowano o jego obsadzie. Dowódcą działka został podchor. Grzegorz Lipiński „Gryf", a celowniczym kpr. Edmund Szaban „Szatan" z Opatowa, który niedługo później samodzielnie pełnił te dwie funkcje jednocześnie. Jako broń zespołowa Breda wymagała jednak większej obsady. O ile do prowadzenia ognia wystarczało 3 ludzi na czele z celowniczym, o tyle do sprawnej zmiany stanowiska (działka posiadającego koła) potrzebnych było co najmniej 5 żołnierzy. W literaturze podawana liczba ludzi w działonie waha się od 4 do 6.

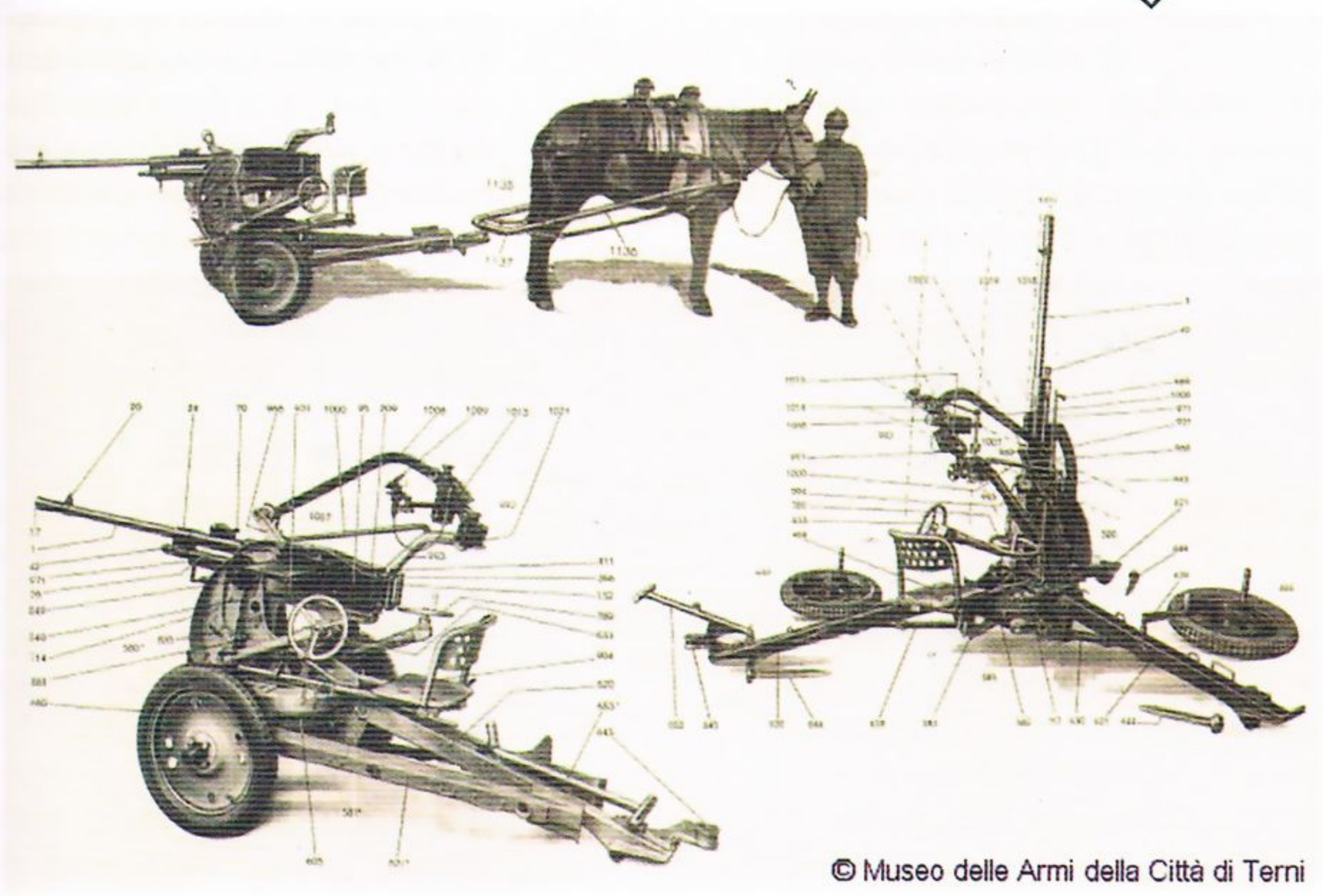

© Museo delle Armi della Città di Terni

Historia powstania i konstrukcja

Warto w tym miejscu przytoczyć historię powstania tej konstrukcji i jej podstawowe parametry >>>

Koniec lipca 1941 r. – australijscy żołnierze broniący twierdzy Tobruk zdobyczną Bredą.

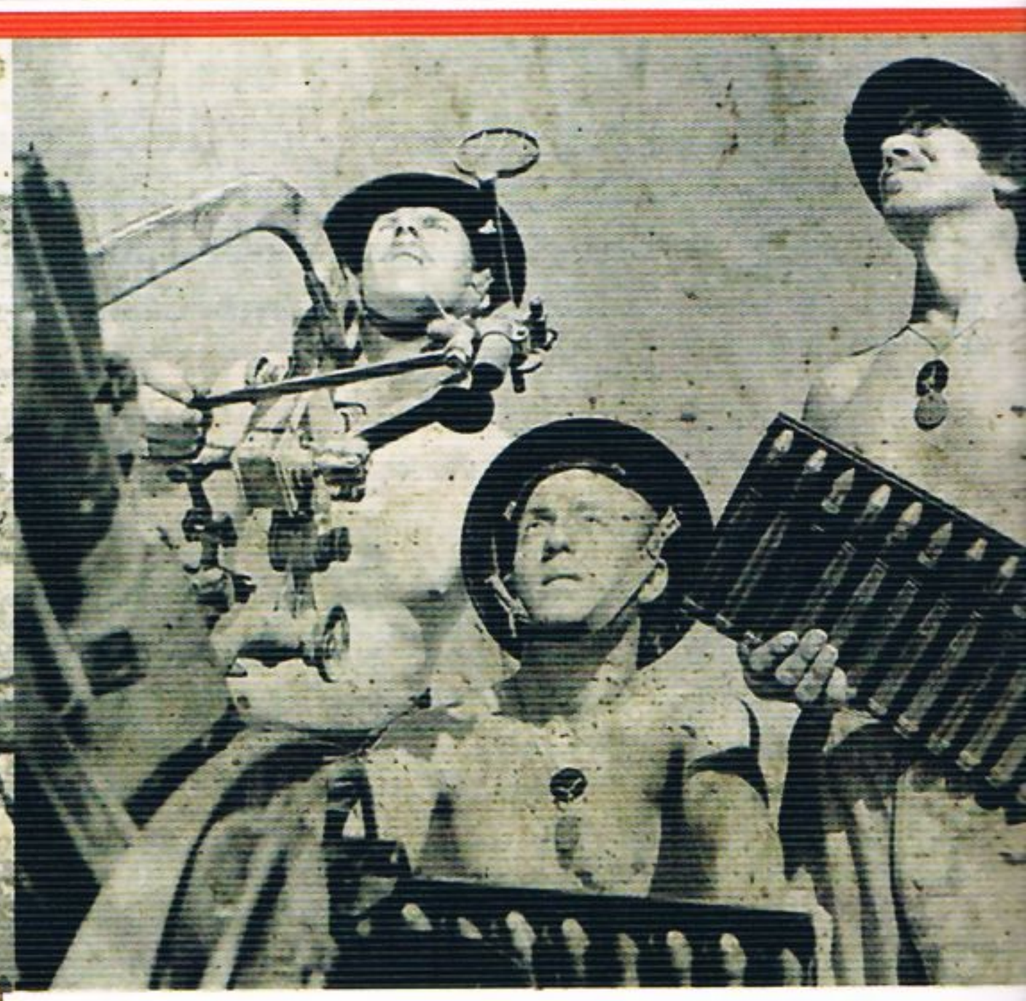

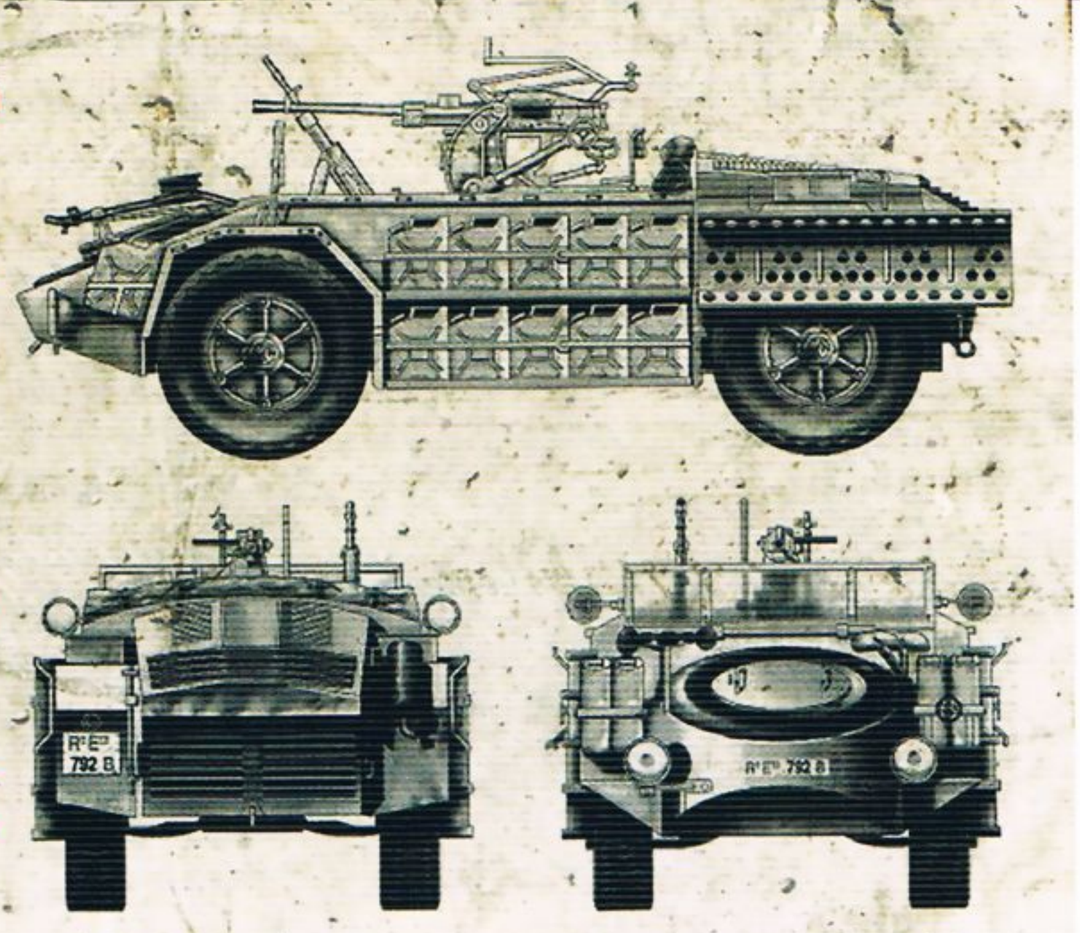

Na pierwszym planie włoska Breda na stanowisku obronnym gdzieś na Pustyni Libijskiej. Na drugim planie wspierający działon samochód pancerny AB 41 wyposażony w to samo 20 mm działko Breda.

Niezawodny włoski samochód rozpoznawczy Fiat-SPA AS42 „Sahariana" uzbrojony w 20 mm Bredę. Opcjonalnie w pojeździe tym montowano również ppanc. karabin Solothurn S-18/1000 lub ppanc. działo 47/32 mod. 35 o kalibrze 47 mm również produkcji zakładów zbrojeniowych Breda.

>>> taktyczno-techniczne, które musiał znaleźć się również w instrukcji, jaką odebrali partyzanci. Breda była działkiem automatycznym o kalibrze 20 mm. Była to broń uniwersalna, zarówno o zastosowaniu przeciwlotniczym, jak i przeznaczona do zwalczania lekko opancerzonych celów. Producentem broni była włoska firma Società Italiana Ernesto Breda per Costruzioni Meccaniche zwana potocznie Breda. Ten koncern przemysłowy, mimo że specjalizował się w produkcji maszyn (lokomotywy, samochody, samoloty) na rynek cywilny, był też wiodącym zakładem zbrojeniowym Italii. Twórcą jak i jej właścicielem był włoski przemysłowiec i finansista Erneto Breda, od którego nazywane były produkowane tam pojazdy, samoloty oraz rodzaje broni. Konstrukcja Bredy, mimo że na pierwszy rzut oka niewiele na to wskazuje, ma wiele wspólnego z Solothurnem. Przede wszystkim te dwa rodzaje broni zostały opracowane i skonstruowane przez dublujące się nawzajem, bądź zmieniające się z czasem biura konstruktorskie niemieckiej firmy „matki" Rheinmetall AG i jej szwajcarskiej spółki „córki" Waffenfabrik Solothurn AG. Przyszła Breda była konstrukcją paralelną do morskiego działka przeciwlotniczego 2 cm MG C/30 skonstruowanego dla Reichsmarine (później Kriegsmarine) przez Rheinmetall AG, które dzięki swym świetnym parametrom technicznym i niezawodności zostało szybko zaadoptowane przez wojska lądowe jako Flak 30 (Flugabwehrkanone 30). Przy jego projektowaniu większość rozwiązań zaczerpnięto jednak z morskiego 20 mm działka przeciwlotniczego Solothurn ST-5. Tu historia jeszcze bardziej się zapętla. Najciekawszym dla tematu jest fakt, że projekt działka 2 cm MG C/30 został odsprzedany przez Rheinmetall AG swojej spółce „córce" Waffenfabrik Solothurn AG. Firma ta natomiast sprzedała licencję produkcyjną działka 2 cm MG C/30 Ernestowi Bredzie, którego biuro konstrukcyjne po najprawdopodobniej niewielu zmianach stworzyło w 1932 r. pierwszy prototyp „Bredy". Historia konstrukcji Bredy w nawiązaniu do Solothurnów nasuwa skojarzenie do przysłowia „wyjątek potwierdza regułę". W masie kilkudziesięciu odebranych przez AK Solothurnów znalazła się najprawdopodobniej jedna Breda, z tym że obie konstrukcje są autorstwa tych samych biur konstruktorskich i zakładów zbrojeniowych, nie licząc masy innych podobieństw i zbieżności.

Wersje Bred

Produkcje Bredy o pełnej włoskiej nazwie Cannone-Mitragliera da 20/65 modello 35 (Breda) rozpoczęto w 1934 r., a jej pierwsze egzemplarze weszły do uzbrojenia włoskiej armii w 1935 r. Ponadto powstały jeszcze dwie wersje działka Breda. Mod. 1939 i Mod. 1940 różniące się przed wszystkim pod-

www.odkrywca.pl

stawą i przeznaczeniem. Model 39 był wersją przeznaczoną do stacjonarnych stanowisk obronnych, natomiast Mod. 40 był typowym działkiem morskim, które znalazło się na uzbrojeniu niemal wszystkich okrętów Regia Marina. Do września 1942 r. na stanie włoskiej armii znajdowało się 2442 szt. Mod. 35 i 326 szt. Mod. 39. Przez kolejny rok wyprodukowano we Włoszech aż 9000 sztuk tej broni. Chrzest bojowy Breda przeszła podczas wojny domowej w Hiszpanii. Tam sprawdziła się jako świetna broń przeciwpancerna używana z powodzeniem nawet przeciwko tak grubo opancerzonym czołgom radzieckim jak T-26s. W Hiszpanii dokonano też kilku eksperymentalnych konwersji uzbrojenia niemieckich czołgów PzKpfw I oraz włoskich tankietek Carro Veloce (CV-35), w których zamontowano działko 20 mm Bredy. W przypadku tych ostatnich Włosi wykorzystali doświadczenia hiszpańskiej wojny domowej, produkując kilkaset sztuk tankietek o nazwie L3 cc (controcarro – pol. przeciwpancerny) uzbrojonych w działka 20 mm. Tyle że nie były to Bredy, lecz opisywane we wcześniejszych częściach stricte przeciwpancerne Solothurny S 18/1000, lepiej nadające się do tego przeznaczenia. Szybko też broń ta okazała się przydatna jako pokładowe uzbrojenie montowane w całej rodzinie włoskich samochodów wojskowych. Nie sposób też nie wspomnieć, że stanowiła również broń główną we włoskich czołgach typu L 6/40 oraz samochodach pancernych AB 40 , 41 i 43. W czasie II wojny światowej Bredy jako broń zdobyczna były dla aliantów wyjątkowo cennym łupem przez cały okres walk w Afryce i śródziemnomorskim teatrze działań wojennych. W wyniku operacji Compass zakończonej w lutym 1941 r. Brytyjczycy zdobyli setki 20 mm Bred, które szybko zasiliły ich lekka artylerię. Stanowiły dużą część obrony przeciwlotniczej oblężonego Tobruku, jak i baz morskich afrykańskich wybrzeży Morza Śródziemnego. Ich duże ilości umożliwiły na przezbrojenie wielu brytyjskich samochodów pancernych Marmon-Herrington Mk II. Weszły również do uzbrojenia m.in. 2 i 3 Australijskiego Lekkiego Pułku Przeciwlotniczego, 4 Brygady Przeciwlotniczej oraz 106 Pułku Hussarów Lancashire. Używali je również powszechnie (razem ze zdobycznymi Solothurnami) żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Bardzo szybko przezbrojono lub dozbrojono w nie jako lekką broń przeciwlotniczą kilka okrętów Royal Navy i Royal Australian Navy. Bredy ze względu na swą niezawodność w najtrudniejszych pustynnych warunkach stały się etatowym uzbrojeniem włoskich i brytyjskich specjalnych zmotoryzowanych oddziałów rozpoznawczych. Zwiadowcy włoscy zorganizowani w Compagnie auto-avio sahariane (zmotoryzowano-lotnicze kompanie saharyjskie) montowali je na niezawodnych pustynnych pojazdach terenowych Fiat-SPA AS42 „Sahariana" oraz Fiat-SPA AS43 „Camionetta Desertica". Natomiast elitarna brytyjska specjalna pustynna jednostka dalekiego rozpoznania (Long Range Desert Group) uzbrajała w Bredy przede wszystkim terenowe ciężarówki Chevrolet 1533X2 30cwt. W bezkresnych piaskach Sahary patrole obu wymieniony wyżej jednostek wzajemnie na siebie „polowały". Nierzadko dochodziło wtedy do pojedynków artyleryjskich między brytyjskimi i włoskimi Bredami, którym wtórowały również instalowane na „Saharianach" Solothurny S 18/1000.

Zmierzch Bred

Również dla Niemców Bredy stanowiły „łakomy kąsek". Zarówno w trakcie walk w Afryce Północnej jak i po kapitulacji Włoch, przejęli znaczną ilość działek i wprowadzili do użycia niemal we wszystkich rodzajach wojsk pod nazwą 2 cm FlaK Breda, 2 cm FlaK-282(i), lub 2 cm MG 282 (i). Uruchomili też, pod własną kontrolą, dalszą produkcję (wraz z innym włoskim 20 mm działkiem przeciwlotniczym o prostszej konstrukcji o nazwie Cannone-Mitragliera da 20/77 „Scotti"), która w latach 1943-44 zamknęła się w liczbie ok. 2600 szt. Jeszcze w styczniu 1945 r. Luftwaffe posiadała na stanie 469 szt. Za pośrednictwem III Rzeszy w posiadaniu Bred znalazły się armie państw sojuszniczych, takich jak m.in. Słowa- >>>

REKLAMA

>>> cja. O niezawodności Bred niech świadczy również fakt używania tej broni w różnych, często skrajnych i ekstremalnych strefach klimatycznych. W strefie polarnej używała ich armia fińska, która zakupiła we Włoszech 92 szt. tej broni. Pierwsze egzemplarze dotarły na front fińsko-radziecki w lutym 1940 r. Jeszcze w 1985 r. na stanie fińskiej armii znajdowało się 76 szt., które ostatecznie zostały wycofane z magazynów w ciągu kolejnej dekady. Duża ilość włoskich 20 mm działek przeciwlotniczych Breda i Scotti brała udział zarówno w Chińskiej wojnie domowej jak i w wojnie japońsko-chińskiej. Bredy zasilił również arsenały armii państw Ameryki Środkowej i Południowej m.in. Dominikany i Ekwadoru. W większych lub mniejszych ilościach wykorzystywano je w licznych lokalnych konfliktach zbrojnych na całym świecie na długo po zakończeniu II wojny światowej. Zaznaczyć trzeba, że skuteczność w wykorzystaniu tego rodzaju uzbrojenia z czasem spadła. O ile pierwsze lata II wojny światowej były okresem „świetności" w wykorzystaniu artylerii o kalibrze 20 mm, o tyle w kolejnych jej właściwości w zwalczaniu pojazdów i samolotów mocno się zdewaluowały. Przyczyną tego stanu rzeczy było coraz potężniejsze opancerzenie jednych i drugich, a w konkretnym przypadku średnich i ciężkich bombowców coraz wyższy pułap, z którego mogły skutecznie operować poza zasięgiem lekkiej artylerii przeciwlotniczej.

Dane techniczne

Długość całkowita działka to 2031 mm. Długość lufy L/65 wynosiła 1300 mm. Dane o wadze samej broni z różnych źródeł zamykają liczby w przedziale od 68,5 kg do 72 kg. W odróżnieniu od Solothurna, Breda ze względu na zastosowanie przeciwlotnicze w wersji podstawowej musiała mieć podstawę stabilizującą ograniczająca wibracje, co siłą rzeczy zwiększało jej masę. Podstawę stanowiło łoże dolne oparte na rozkładanym trójnogu. Razem z trójnogiem działko ważyło 330 kg. Nie był to duży ciężar w porównaniu z innymi konstrukcjami tego typu, jednak wymagał wiele wysiłku kilku ludzi przy szybkiej zmianie stanowiska. Do transportu trójnóg składano, łącząc końcówki wąsów (z których środkowy pełnił funkcje haka holowniczego) razem oraz montując do łoża dolnego dwa koła. Złożone do pozycji marszowej działko ważyło 370 kg i było przystosowane do holowania zarówno przez pojazdy kołowe jak i zwierzęta pociągowe jednak do prędkości nie przekraczającej 20 km/h. Zastosowanie przeciwlotnicze wymagało wykorzystania wielu dodatkowych elementów konstrukcyjnych zwiększających masę. Dodać musiano przede wszystkim mechanizm kierunkowy i podniesieniowy (obsługiwany dwoma pokrętłami przez celowniczego) umożliwiający ostrzał okrężny o pełnym zakresie 360° i kącie podniesienia od -10° do +80°, a w późniejszej wersji nawet do 90°. Do tego samego celu działko zostało wyposażone w optyczne przyrządy celownicze przystosowane do strzelań przeciwlotniczych, które skalibrowano do prowadzenia ognia na odległości od 0 do 3000 m do celów poruszających się z prędkością do 550 km/h.

Celownik optyczny umieszczony był na długim teleskopowym ramieniu (przymocowanym do łoża górnego), dzięki czemu niezależnie od kąta podniesienia lufy znajdował się na wysokości twarzy celowniczego. W połączeniu z dodanym siedziskiem pozwalało to na prowadzenie ognia w miarę

Na pierwszym zdjęciu powyżej wymiana wystrzelonych łusek na nowe naboje. Na drugim zdjęciu powyżej stanowisko obronne z Bredą.

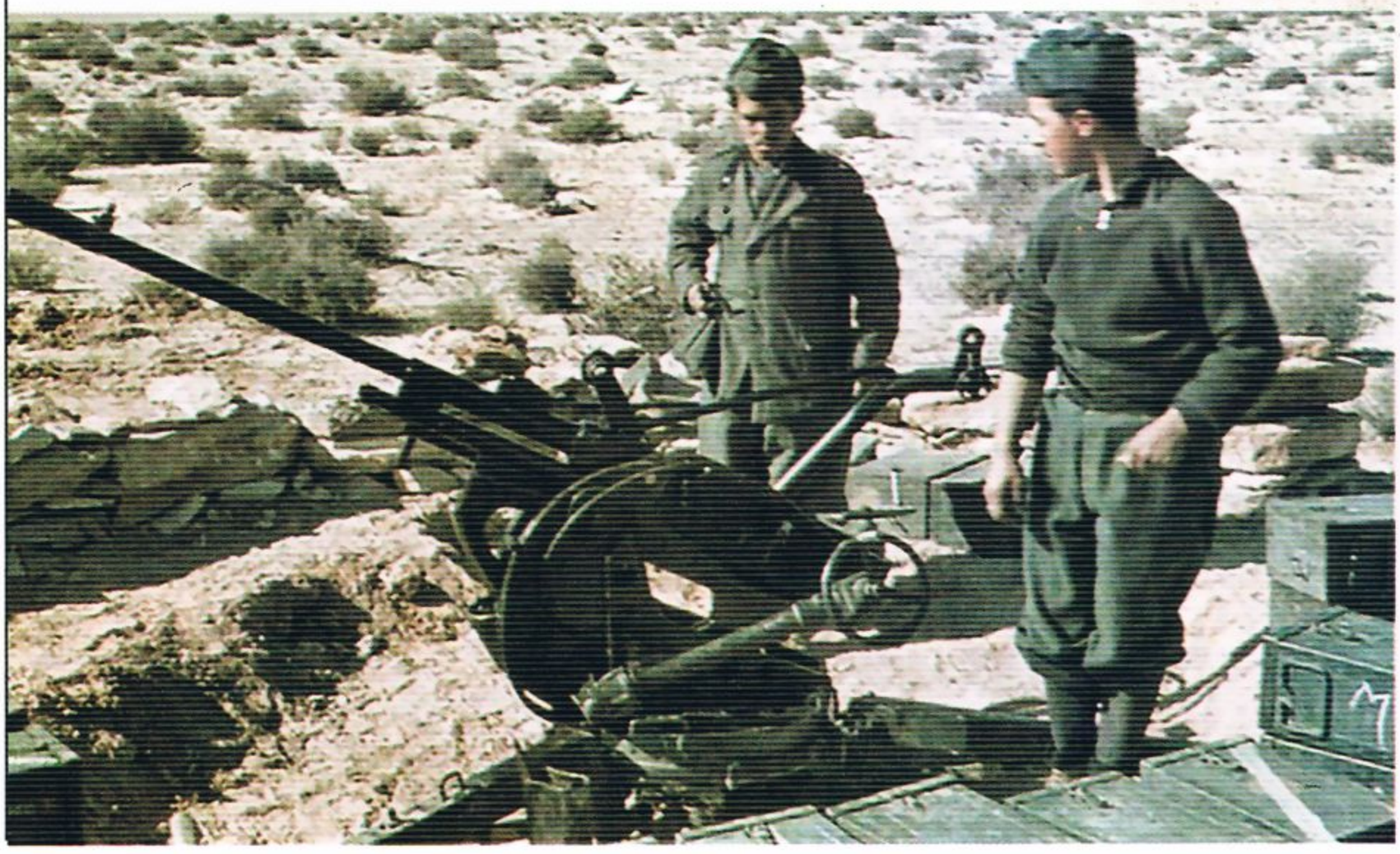

www.odkrywca.pl

komfortowej pozycji. Oprócz tego działko posiadało również mechaniczne przyrządy celownicze. Maksymalny zasięg broni wynosił do 5 500 m. Górny pułap ostrzału podawany jest w źródłach w przedziale od 2400 do 2700 m. Prędkość początkowa wystrzelonego pocisku wynosiła od 830-850 m na sekundę. Szybkostrzelność wynosiła od 220 do 240 pocisków na minutę. Praktyczna to ok. 150 pocisków na minutę. Skuteczność penetracji pancerza ustawionego pionowo przy użyciu niemal identycznej amunicji co używanej w Solothurnach przedstawiała się następująco: z 10 m, 100 m, 500 m, 1000 m, 1500 m i 2000 m przebijał pancerz o grubości odpowiednio 45 mm, 41 mm, 29 mm, 20 mm, 13 mm i 7 mm.

Do zasilania Bredy nie używano magazynków. Służyły do tego podajniki 8 lub 12 nabojowe. Podajniki odróżnieniu od magazynków (np. w Solothurnie) dawały pewną wygodę, zapewniały, porządek wokół stanowiska bojowego, ponieważ łuski po wystrzelonych nabojach nie były wrzucane przez mechanizm z wnętrza komory zamkowej, lecz ponownie, automatycznie umieszczane z powrotem w podajniku. Breda, podobnie jak Solothurn oraz większość niemieckich działek kal. 20 mm, używała doskonałej amunicji 20×138mmB zwanej również Long Solothurn produkowanej w wielu wersjach i celach przeznaczenia. Podane wyżej dane taktyczno-techniczne na pewno w całości nie dotyczą zrzutowego działka odebranego na placówce „Goździk". Według relacji Breda została zrzucona z trójnogiem jednak bez zespołu jezdnego – kół. Dla przypomnienia jest to waga 330 kg. Stawia to Bredę na pierwszym miejscu, jako najcięższy rodzaj uzbrojenia zrzucony dla Armii Krajowej. I tu zagadka: jak sprzęt tego wagomiaru mógł zmieścić się w standardowych zasobnikach bądź paczkach (których gabaryty można było jedynie w niewielkim zakresie zmieniać).

Wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek informacje na temat Solothurnów i Bred, prosimy o kontakt z autorem tekstu:
czacharowskim@gmail.com <

Michał Czacharowski
Absolwent historii KUL, regionalista Puszczy Solskiej i Roztocza, turysta i biegacz.

REKLAMA

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

PARTYZANCKIE OBIEKTY PUSZCZY SOLSKIEJ CZ. 2

SZPITAL LEŚNY „665"

JANUSZ SKOWROŃSKI
WSPÓŁPRACA:
MAREK SKRZYŃSKI

Obiekt był zamaskowany przed niemieckim lotnictwem zwiadowczym koroną jodły przechodzącej… przez środek sali chorych.

Już w kwietniu 1944 roku decyzją komendanta Obwodu Biłgorajskiego AK kpt. „Orszy" (Józefa Gniewkowskiego) powierzono ppor. „Radwanowi" organizację szpitala leśnego z prawdziwego zdarzenia. Otrzymał on kryptonim „665", dokładnie taki, jaki posiadał Obwód Biłgorajski Armii Krajowej. Szpital ten stanowił samodzielną jednostkę organizacyjną, umieszczoną w głębi Puszczy Solskiej, w baraku poniemieckim. W maju zakończono prace organizacyjne i szpital, dość dobrze wyposażony, rozpoczął normalną pracę. Tak – w skrócony sposób – można dowiedzieć się o początkach tego największego szpitala partyzanckiego w polskich lasach podczas II wojny światowej. Jak zwykle w takich przypadkach „diabeł tkwi w szczegółach", a te są tu bardzo istotne i ważne. Prześledźmy od początku, jak to rzeczywiście było.

Trójka z ZWZ

W roku 1937 trójka przyjaciół zdała egzamin konkursowy do Szkoły Podchorążych Sanitarnych (SPS) w Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie. Tym samym zostali immatrykulowani jako studenci Wydziału Lekar-

skiego Uniwersytetu Warszawskiego im. Józefa Piłsudskiego. Do wybuchu wojny Tadeusz Błachuta, Lucjan Kopeć i Zbigniew Krynicki zdążyli ukończyć po dwa lata studiów lekarskich. Później był udział w kampanii wrześniowej, rozbicie oddziałów pod Równem, ucieczka z niewoli sowieckiej i powrót do Warszawy, następnie praca w byłej SPS, gdzie zorganizowano Szpital Wojskowo-Jeniecki dla żołnierzy Wojska Polskiego. Już wczesną jesienią 1939 roku w szpitalu powstają pierwsze komórki organizacyjne ruchu oporu, mające na celu nasłuch i kolportaż wiadomości radiowych, zbieranie i zabezpieczanie broni, szkolenie wojskowe i zawodowe. W tym też czasie zostają zaprzysiężeni do jednej z „trójek" SZP (późniejszego ZWZ). Jeszcze krótki epizod z pracą w Szpitalu Ujazdowskim, kolumnach sanitarno-dezynfekcyjnych i wiosną 1941 roku nieudana próba wyprawy do Wojska Polskiego we Francji. Wyjazd na umówiony kontakt do Nowego Targu, gdzie po kilku dniach wyczekiwania nadchodzi wiadomość, że grupa poprzednio przechodzących przez granicę została w górach rozbita przez straż niemiecką, a przewodnik grupy zabity. Powrót do Warszawy i dalsza praca w kolumnach dezynfekcyjno-sanitarnych umożliwia przetrwanie. Cały czas prowadzą działalność konspiracyjną w komórkach ZWZ. Przyjmują pseudonimy: „Radwan" (Kopeć), „Oldan" (Błachuta) i „Korab" (Krynicki).

Prawdziwy szpital... w lesie

Wiosną 1942 roku zmuszeni warunkami młodzi studenci medycyny wyjeżdżają na Zamojszczyznę do Biłgoraja. Tam początkowo podejmują dorywczą pracę, nie związaną z zawodem, którego się uczyli. Ówczesny dyrektor biłgorajskiego szpitala, doktor Stanisław Pojasek w swoich zapiskach „Pamiętniki – Okupacja, Konspiracja, Medycyna" wyjaśnia, co było dalej: „[do szpitala w Biłgoraju] przybyli trzej studenci (...) medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, podchorążowie Sanitarki Warszawskiej, którym udało się zbiec z niewoli. Byli to Kopeć Lucjan, Błachuta Tadeusz i Krynicki Zbigniew. Robili wywiad, czy nie udałoby się im coś skorzystać ze szpitala, dojeżdżając z miejsca pracy. Pierwszy pracował w młynie w Kuszach, drugi w Nadleśnictwie Huta Krzeszowska, a trzeci w jakimś przedsiębiorstwie pod Szczebrzeszynem. Wszyscy pracowali jako robotnicy. Ucieszyłem się nimi bardzo i powiedziałem, że dojeżdżać nie będą, tylko angażuję ich jako asystentów lekarskich szpitala za odpowiednim wynagrodzeniem, mieszkaniem i wyżywieniem."

Młodzi medycy skorzystali z tej możliwości zmiany pracy. Wiosną 1943 roku w szpitalu Biłgoraju doszło do pierwszego spotkania Lucjana Kopcia z zamelinowanym tu rannym „Wirem" Konradem Bartoszewskim. Rozwijający się ruch partyzancki na Zamojszczyźnie powodował, że trójka warszawskich przyjaciół związała się z ludźmi z lasu na dobre i złe. Co ciekawe, zaprzysiężeni lekarze AK byli potrzebni sądom partyzanckim do stwierdzenia zgonu po wykonaniu wyroku śmierci na konfidentach gestapo. Poprzedzał go proces zgodnie ze statutem Wojskowych Sądów Specjalnych, zatwierdzonym przez gen. W. Sikorskiego we wrześniu 1942 roku. Tak charakteryzował wojenną sytuację Lucjan Kopeć:

„Zwalczając Polskę Podziemną, Niemcy w bestialski sposób stosują odpowiedzialność zbiorową, rozstrzeliwując ludzi całkiem niewinnych. Wieś nienawidzi Niemców i żyje tylko myślą o odwecie. A w lasach biłgorajskich jest wolna ojczyzna żołnierza partyzanta. Działają tu organizacje terenowe oraz biwakują stale lub przejściowo oddziały partyzanckie „Groma", „Podkowy", „Sępa", „Norberta", „Lancy", „Jaskółki", „Antona", kompania specjalna „Woyny" i stałe obozy komendantów rejonów „Corda" i „Wira", spełniając rolę ośrodków szkoleniowych. Prócz tego znajdują się tu grupy AL i oddziały sowieckie. Oddziały partyzanckie w znacznej większości rekrutują się z chłopów z okolicznych wiosek i stosunkowo w niewielkiej ilości z elementu napływowego. Za stałym rozrostem organizacji terenowej i oddziałów partyzanckich oraz z rozszerzeniem ich zadań wzrastają również obowiązki służby zdrowia. Mimo funkcjonowania terenowej sieci sanitarnej z lekarzami rejonowymi, podoficerami sanitarnymi i patrolami sanitarnymi, dotychczasowe metody udzielania pomocy rannym z każdym dniem stawały się coraz mniej wystarczające. W praktyce pomocy udzielało się najczęściej w polu i zakonspirowanych izbach rannych, ciężej zaś rannych umieszczano w szpitalu powiatowym w Biłgoraju, gdzie przebywali pod fałszywymi nazwiskami i fikcyjnymi rozpoznaniami chorób. W pracy tej nieocenione usługi oddawał dyrektor szpitala dr Pojasek, ratując niejednego „bandytę" od śmierci, nie skąpiąc swych cennych wskazówek, intensywnie szkoląc w chirurgii mnie i moich kolegów, i nie krępując nas zajęciami szpitalnymi."

Podobną praktykę stosowano w innych szpitalach, choćby w kierowanym przez doktora Zyg- >>>

Skromny pomniczek w Puszczy Solskiej upamiętnia miejsce, gdzie znajdował się partyzancki szpital „665".

Partyzanci oddziału „Wira" zabrali Niemcom drewniany barak ze stacji Długi Kąt, który po rozłożeniu przewieziono furmankami w głąb Puszczy Solskiej. Posłużył za leśny szpital „665". Jego komendantem został ppor. lek. Lucjan Kopeć „Radwan".

fot. J.Skowroński, E. Buczek

www.odkrywca.pl

>>> munta Klukowskiego sąsiednim szpitalu w Szczebrzeszynie, w którym jeden z trójki przyjaciół, Tadeusz Błachuta, pracował przed przejściem do Biłgoraja. Na dłuższą metę takie leczenie „ofiar nieszczęśliwych wypadków" stawało się bardzo niebezpieczne, wobec nasilających się kontroli szpitali przez gestapo w poszukiwaniu rannych partyzantów. Coraz trudniejsze stawało się „zamelinowanie" rannego w szpitalu. Niemcy zaczęli dokładniej penetrować drogi wiodące do Biłgoraja, rewidować furmanki, legitymować ludzi, obserwować sam szpital. A długa podróż z odległego obozu nie zawsze wychodziła na zdrowie rannemu.

„Wówczas to – wspominał „Radwan" – powstała myśl zbudowania w lesie szpitala dającego rannemu możliwie najlepsze warunki leczenia i poczucie bezpieczeństwa znacznie większe, aniżeli w Biłgoraju, gdzie nieustannie groziło aresztowanie przez Gestapo ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami. W długich dyskusjach z kol. »Korabem« opracowaliśmy dokładny plan budowy szpitala leśnego. Liczyłem przy tym, że otrzymam aprobatę i poparcie przełożonych, którzy – jak mjr »Kalina« i kpt. »Orsza« – już na sobie doświadczyli znaczenia służby zdrowia."

Decyzję o utworzeniu nowego szpitala w lesie podjęto na początku maja 1944 roku. Przyspieszył ją fakt, że pięciu rannych partyzantów po akcji na stację kolejową w Suścu leżało w bunkrze „Wira" i wymagało stałej opieki lekarskiej. Zagęszczenie oddziałów partyzanckich w Puszczy Solskiej dawało podstawy przypuszczać, że rannych może przybyć. Bunkier „Wira" nie spełniał podstawowych wymagań sanitarnych, a transport rannych do biłgorajskiego szpitala stawał się niebezpieczny. Wówczas narodził się pomysł, aby zabrać Niemcom drewniany barak ze stacji Długi Kąt koło Józefowa i przewieźć go do lasu. Nim to nastąpiło, gromadzono niezbędne środki a nawet… żywy inwentarz. Skoro „lada dzień mieliśmy przystąpić do budowy szpitala, zacząłem przygotowywać sprzęt potrzebny do jego urządzenia wewnętrznego. Od majora »Kaliny« [Edward Markiewicz, szef Inspektoratu Zamojskiego AK] otrzymałem na ten cel subsydium w wysokości 20.000 zł., z rozdziału zrzutów

dostałem 40 koców, mundury dla sanitariuszek i 15 spadochronów" – wyliczał ppor. „Radwan". „Ppor. »Cord« ofiarował parę tęgich koni, ppor. »Wir« mleczną krowę. Taki był zawiązek gospodarstwa szpitalnego. Lekarstwa, materiał opatrunkowy i narzędzia były w obwodzie już dawno przygotowane. Bielizny operacyjnej, pościelowej i osobistej miała dostarczyć WSK [Wojskowa Służba Kobiet]. »Agnieszka« [Aniela Nowakówna] i »Halina« z dziewięcioma »WSK-aczkami« urządziwszy szwalnię we wsi Trzepietniak, zaczęły szyć dla nas bieliznę ze spadochronów. O sprzęt gospodarski byłem spokojny, kupi się go lub jakoś zdobędzie w Biłgoraju".

Miejsce na przyszły szpital wybrał ppor. „Radwan" z pomocą młodziutkiego partyzanta Czesława Bździucha ps. „Pilocik". Pochodził z pobliskiego Trzepietniaka i doskonale znał las. Pierwsza wyprawa po drewniany barak na stację kolejową w Długim Kącie była nieudana. Uczestniczyli w niej m.in. „Radwan", saper ppor. „Huk" (Stanisław Kowalski), „Nina" (Janina Roguska, szefowa pielęgniarek). Zabezpieczono furmanki chłopów z Aleksandrowa, gotowe do przewiezienia rozłożonych elementów baraku. Na przeszkodzie stanęła akcja oddziału „Wira", który tego samego dnia zaatakował i wysadził w powietrze pociąg z cukrem pod sąsiednią stacją Krasnobród. Zamiast baraku tego dnia do obozu przywieziono „6 metrów cukru" [600 kg].

Ze wspomnień komendanta szpitala: „Wśród wysmukłych jodeł i sosen na maszcie powiewała biało-czerwona flaga (...). Odległy o kilkanaście metrów szpital z widniejącym znakiem Czerwonego Krzyża ograniczał plac nabożeństwa. Około godz. 11 przybył kapelan i odprawił mszę polową (...)".

Dopiero kilka dni później barak „przywiózł przy pomocy aleksandrowiaków ppor. Huk, który jako saper kierował budową. Postawienie go w wybranym uprzednio miejscu, zrobienie łóżek, zbudowanie kuchni, magazynu, pomieszczenia dla personelu trwało kilka dni. Przydzielona drużyna kpr. »Żbika« pracowała z zapałem."

Ciekawie rozwiązano ukrycie leśnego szpitala. Był zamaskowany przed niemieckim lotnictwem zwiadowczym koroną jodły przechodzącej… przez środek sali chorych. Barak posiadał okna z szybami i ochronnymi siatkami, zabezpieczającymi przed komarami. Salę chorych wyposażono w łóżka z pościelą, półki, krzesełka a nawet aparat radiowy.

Salę operacyjną i opatrunkową – w stoły operacyjne o typie polowym. Narzędzia chirurgiczne, lekarstwa, materiały sanitarne, sterylizatory do gotowania narzędzi na prymusach oraz polowy autoklaw, pochodzący ze zrzutów, stanowiły także wyposażenie szpitala. Rękawic przy zabiegach operacyjnych używano rzadko, gdyż nie było suchej sterylizacji. Ręce myto w wodzie z amoniakiem i wycierano zephyrolem. Wśród zabiegów operacyjnych wykonywano usuwanie pocisków i odłamków z ran, nacinanie ropni, amputacje, laparotomie. W szpitalu przebywali ranni bez względu na przynależność organizacyjną czy zapatrywania polityczne. Wielu pochodziło z partyzantki radzieckiej. Opieką otaczano i leczono również okolicznych mieszkańców. Szpital „665" nie był wyposażony w pracownię analityczną ani stację przetaczania krwi. W czasie zabiegów operacyjnych stosowano jedynie płyny krwiozastępcze, np. pochodzący ze zrzutów Macrodex. Wstrząs zwalczano przetaczaniem dożylnym płynów krwiozastępczych, pojeniem i ogrzewaniem chorego oraz >>>

stosowaniem środków przeciwbólowych. Prowadzono krótkie historie choroby, książkę zabiegów i ewidencję chorych.

„Duży, stojący wśród drzew barak składał się z trzech izb: jednej przeznaczonej na salę zabiegową i dwóch dla rannych. Kilka okien z szybami, mimo rzucanych przez drzewa cieni, wpuszczało dostateczną ilość światła. Przed natrętnymi komarami chroniły założone w oknach siatki z gazy (…). Sala zabiegowa wyposażona była w stół, stolik na narzędzia, szafkę i kilka »zasobników« [ze zrzutów] wypełnionych lekarstwami, narzędziami i materiałem opatrunkowym i robiła choć surowe, lecz miłe wrażenie. W obu izbach dla chorych stanęło – na razie – 14 łóżek zasłanych jednakowymi, granatowymi kocami. Nad łóżkami półki na rzeczy pacjentów. Zamiast stolików służyły deseczki między łóżkami. Kilka krzeseł uzupełniało umeblowanie. Z zewnątrz barak był widoczny tylko z bliska. Obrzucony gałęziami jodłowymi zlewał się z otoczeniem przyległych drzew. Inne »budynki« jak kuchnia, magazyn, pomieszczenie dla personelu i stajnia były wykonane bardziej prowizorycznie i stały w pobliżu baraku. Duży stół otoczony wkopanymi w ziemię ławkami pod naturalnym dachem z koron drzew zastępował stylową jadalnię. Niedaleko kuchni wykopana studnia dostarczała wody. Przepływający w pobliżu potoczek spełniał rolę łazienki i pralni."

Dziś wiele zmieniło się od tamtego czasu i opis podporucznika „Radwana" nie za bardzo pasuje do terenu. Nie ma już potoczku ani śladu po „budynkach". Tuż obok są jeszcze resztki po drewnianej studni. A w zasadzie zarośnięte miejsce po niej.

„Około 20 maja szpital był gotów i mógł przyjąć rannych i chorych. Zostałem mianowany komendantem szpitala, »Biga« moim zastępcą. Dalszy personel składał się z 17 następujących osób: 3 sanitariuszki – »Nina«, »Danusia« i »Brzoza«. Personel administracyjny – »Halina" i »Stefcia«. Drużyna osłonowa kpr. »Żbika« (Władysław Drygaś) – czterech st. strzelców »Kruk« (Kazimierz Bernacki), »Czapla« (Tadeusz Studnicki), »Czajka« (Czesław Mazur) i »Wrzask« (Feliks Kołtun) oraz siedmiu strzelców »Pniaczek« (Jan Kołtun), »Bocian« (Cyprian Łyś), »Lis«, »Szyszka«, »Witek« (Marian Witkowski), »Szron« (Michał Maśko) i „Wolak« (Zygmunt Wolski)" – wymieniał we wspomnieniach dwa lata później skład osobowy szpitala „665" Lucjan Kopeć. Lekarza „Bigę" (Jerzego Filipa, z Rejonu Józefów) zastąpił wkrótce „Korab" (Zbigniew Krynicki), będący zastępcą „Radwana" aż do momentu likwidacji szpitala podczas operacji „Sturmwind II". Oprócz stałego personelu w szpitalu, który był jednocześnie ośrodkiem szkoleniowym dla służby zdrowia, przebywało kilka sanitariuszek na kursie praktycznym. Drużynę osłonową „665" stanowili absolwenci I-go (styczniowo-lutowego, 1944) kursu Szkoły Młodszych Dowódców Piechoty przy oddziale „Wira". Drużyna była doskonale uzbrojona, na wyposażeniu miała m.in. jeden karabin przeciwpancerny „Solothurn" [o tej broni bardzo dokładnie miesięcznik „Odkrywca" pisał w numerach 9 i 10 2016 r. – przyp. red.], dwa rkm-y, dwa lkm-y, steny i „szmajsery". Frontową ścianę szpitala oznaczono znakiem Czerwonego Krzyża.

Doktor med. Stanisław Pojasek (1898-1967) przyjął w 1943 roku do biłgorajskiego szpitala trójkę młodych studentów medycyny z Warszawy, co opisał we wspomnieniach (w zb. Muzeum Ziemi Biłgorajskiej). Lucjan Kopeć i Zbigniew Krynicki zajęli się organizacją szpitala leśnego „665" a Tadeusz Błachuta trafił do oddziałów partyzanckich.

Przenosiny

Choć w licznych opracowaniach o partyzantce w Puszczy Solskiej znaleźć można informację, że szpital leśny „665" powstał „w kwietniu 1944 roku w pobliżu obozu Wira i pod jego opieką" to faktyczne utworzenie właściwego szpitala należy datować dopiero na drugą połowę maja. W relacji sanitariuszki „Sarny" (Stefanii Nowak-Mirskiej, przytoczonej w poprzednim odcinku) znajdujemy potwierdzenie tej daty. Przydzielona od 30 IV 1944 roku do obozu „Wira", po kilku tygodniach mogła przenieść się około 1,5 kilometra dalej na północ, gdzie powstawał partyzancki szpital leśny. Między szpitalem a obozem „Wira" rozciągnięto linię telefoniczną. Podobnie w drugą stronę, w kierunku obozu „Woyny". 18-letnia „Sarna" tak zapamiętała szpitalną przeprowadzkę:

„Po przygotowaniu szpitala rozpoczęła się przeprowadzka z bunkra [»Wira«]. Podjechały furmanki wymoszczone słomą. Na każdą z nich ulokowało się po kilka osób i noga za nogą ruszyliśmy w kierunku szpitala. Było bardzo ciepło, był cudny maj. Chciało się żyć, ale szkopy nie dawali. Gdy dojechaliśmy na miejsce, już czekały na nas dziewczęta: Hanka »Brzoza«, Danka i Stasia »Palma«. W sumie łącznie z »Niną« (Janina Roguska) było nas 6. Lekarzy było 3: »Biga« (Jerzy Filip) , »Radwan« (Lucjan Kopeć) i »Korab« (Zbigniew Krynicki). Mieliśmy także bardzo dobrze wyposażony magazyn, którym kierowała Halina Wójcikówna. Powolutku ułożyliśmy chorych przy pomocy chłopców z obozu na łóżka. Na pierwszym łóżku, pod jednym z okien, leżał Piotr Rozwadowski z Zamościa. Miał postrzał w nerki. Kał wychodził mu bokiem – paskudna rana – ale się wylizał, po przewiezieniu do Biłgoraja. Obok niego leżał fryzjer z Tomaszowa Lubelskiego. Znałam go bardzo dobrze. Obie nogi miał w gipsie."

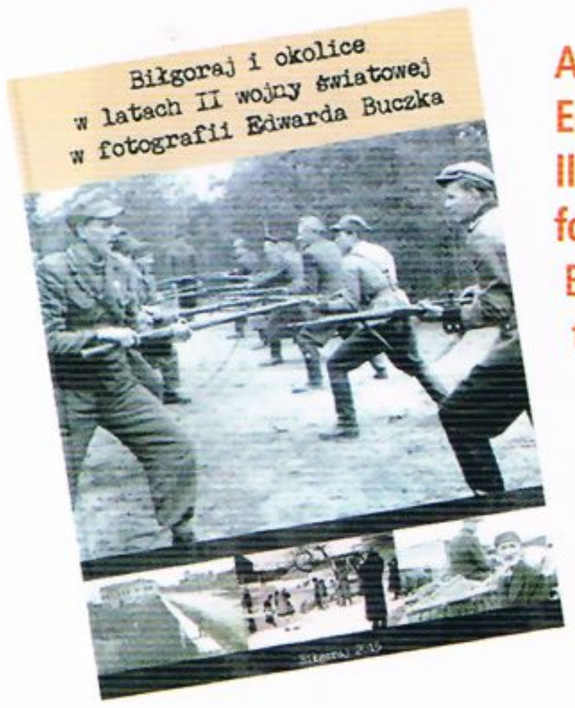

Album zawiera blisko dwieście zdjęć fotografa Edwarda Buczka (1908-1986), który w latach II wojny światowej w Biłgoraju miał swój zakład fotograficzny, był także zaprzysiężonym fotografem Biłgorajskiego Obwodu AK. Album prezentuje nie tylko Biłgoraj i okolice, pokazuje życie partyzantów – na wybranych fotografiach E. Buczka – zachowanych w w zbiorach Muzeum Ziemi Biłgorajskiej, gdzie można zakupić publikację.
Kontakt: tel. www.muzeumbilgoraj.pl
tel. 84 686 27 33

www.odkrywca.pl

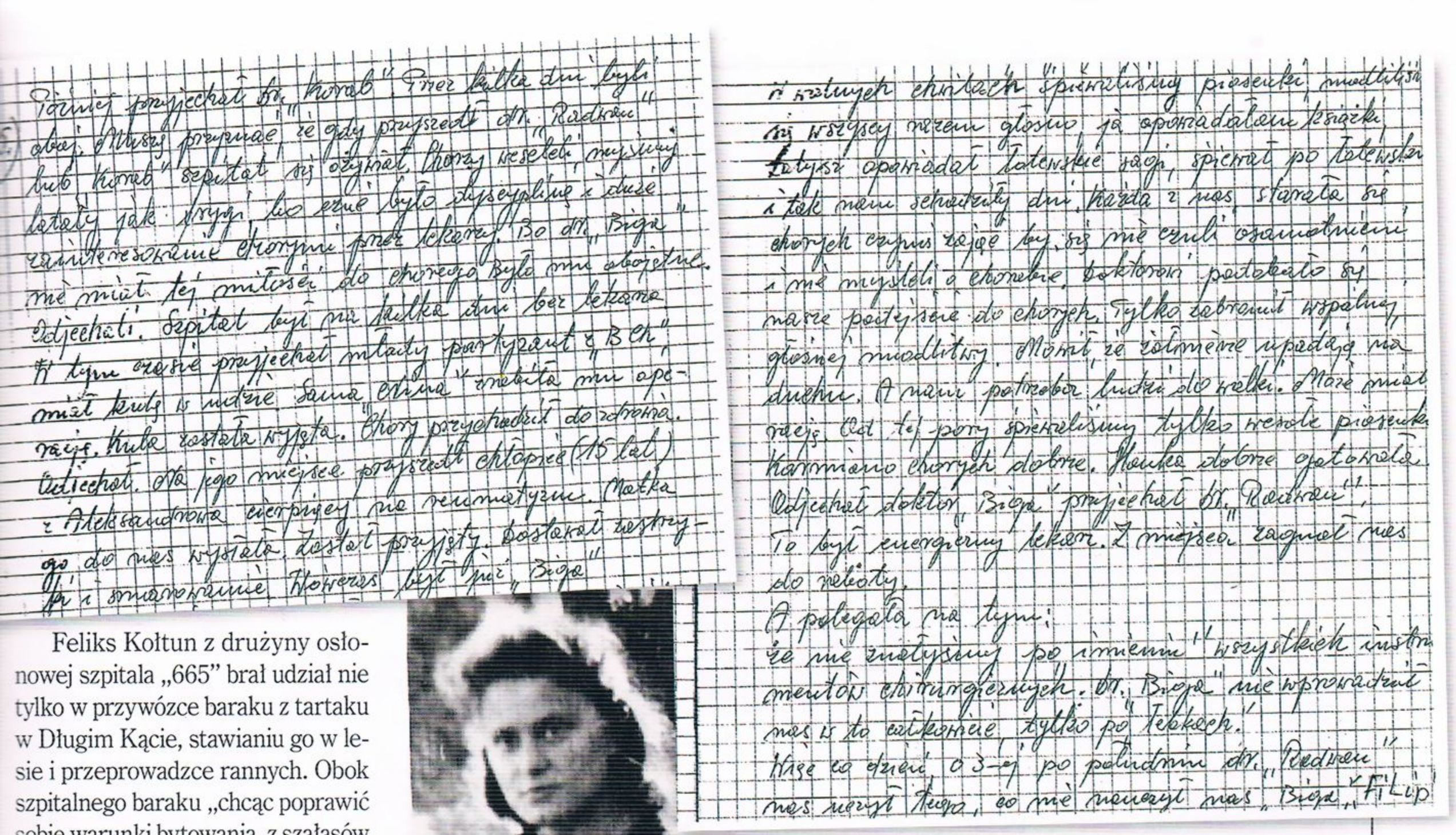

Feliks Kołtun z drużyny osłonowej szpitala „665” brał udział nie tylko w przywózce baraku z tartaku w Długim Kącie, stawianiu go w lesie i przeprowadzce rannych. Obok szpitalnego baraku „chcąc poprawić sobie warunki bytowania, z szałasów z gałęzi przenieśliśmy się do takich bud. Chroniły od wilgoci, bo teren był bagnisty. Porobiliśmy takie nary na podwyższeniu. Teraz już woda nie podchodziła w czasie opadów. Jedynym mankamentem były chmary komarów. Postawiliśmy kuchnię, która gotowała strawę dla rannych i naszego oddziału. W kuchni pracowały dwie kobiety Anna Sobczak i Stanisława Podolak” – zapamiętał Kołtun.

Otwarcie szpitala

Miało miejsce w drugi dzień Zielonych Świątek 29 maja 1944 roku. Przebiegało bardzo uroczyście z mszą świętą, odprawioną przez ks. Jana Świsia i poświęceniem obiektu, co na licznych, odnajdywanych nawet po latach fotografiach, udokumentował swoim obiektywem Edward Buczek, zaprzysiężony fotograf Obwodu Biłgorajskiego AK. Atmosferę tego dnia najlepiej oddaje sam komendant szpitala: „Od samego rana poczęli ściągać ze wszystkich stron zaproszeni goście. Można było zobaczyć przedstawicieli całej Polski Podziemnej z tego terenu. A więc komendant obwodu »Orsza« ze swoim zastępcą »Trojdanem«, »Beskid« z WSOP'u [Wojskowa Służba Ochrony Powstania] i »Maka« z WSK [Wojskowa Służba Kobiet], »Szyszka« i »Ksantypa«, a dalej dowódcy i delegaci oddziałów »Wir”, »Cord«, »Kula«, »Bej«, »Zagłoba«, »Rzut«, dowódcy placówek i wielu, wielu innych. W odpowiedzialnej roli organizatora i gościnnego gospodarza pomagali mi niestrudzenie »Korab«, »Mały« i »Huk«. »Nina« z pomocą kilku niewiast i chłopców z drużyny »Żbika« urządziła ołtarz, który ozdobiony skrzyżowanymi karabinami z prostym brzozowym krzyżem w środku i figurką Matki Boskiej, przykryty śnieżnobiałym obrusem, upiększony masą zieleni i kwiecia doskonale harmonizował z tłem i panującym nastrojem. Obok wśród wysmukłych jodeł i sosen na maszcie powiewała biało-czerwona flaga, świadcząca że las do nas należy. Odległy o kilkanaście metrów szpital z widniejącym znakiem Czerwonego Krzyża ograniczał plac nabożeństwa. Około godz. 11 przybył kapelan i odprawił mszę polową, zakończoną błagalnym hymnem: »Boże coś Polskę... Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!« Poświęcenie budynku i krótkie przemówienie kapelana zamknęło część oficjalną uroczystości. Skromny, żołnierski obiad, obficie zakropiony zdobyczną wódką i piwem zmienił nastrój z uroczyste-

Stefania Nowakówna „Sarna” była sanitariuszką w szpitalu „665”. Zachowały się jej notatki, w których scharakteryzowała pracę szpitala i swoich przełożonych.

go na wesoły. Przemówienie i toasty dawały obraz naszych myśli i bojowego nastawienia. Około godz. 18 goście zaczęli rozchodzić się do swych »domów« – obozów i kwater.”

W 1995 roku kombatanci z pobliskiego Aleksandrowa postawili skromny pomniczek w miejscu, gdzie znajdował się leśny szpital. Antoni Cielica, właściciel kawałka lasu w Puszczy Solskiej, który bez wahania zgodził się na upamiętnienie tego miejsca przez GRH „Wir”, pokazuje pień po jodle, na której widział wycięty w korze napis „RADWAN”. Obecnie GRH „Wir” planuje ustawienie tu tablic informacyjnych i ściany fasadowej szpitalnego baraku. Od szosy nr 853 Biłgoraj – Józefów skręcając w las przy kapliczce św. Trójcy trafić można do schronu „Wira”. Obecnie oznakowanie przedłużono dalej, aż do miejsca, gdzie znajdował się leśny szpital „665”.

W następnym numerze – Partyzanckie obiekty Puszczy Solskiej (cz. III). Szpital leśny „665” – likwidacja. Pozostałe obozy.

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy”, autor kilku książek i licznych artykułów o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku. W latach 1986-87 jego przełożonym był opisywany w tekście „Radwan” (Lucjan Kopeć).
Kontakt loginfo@go2.pl

1

2

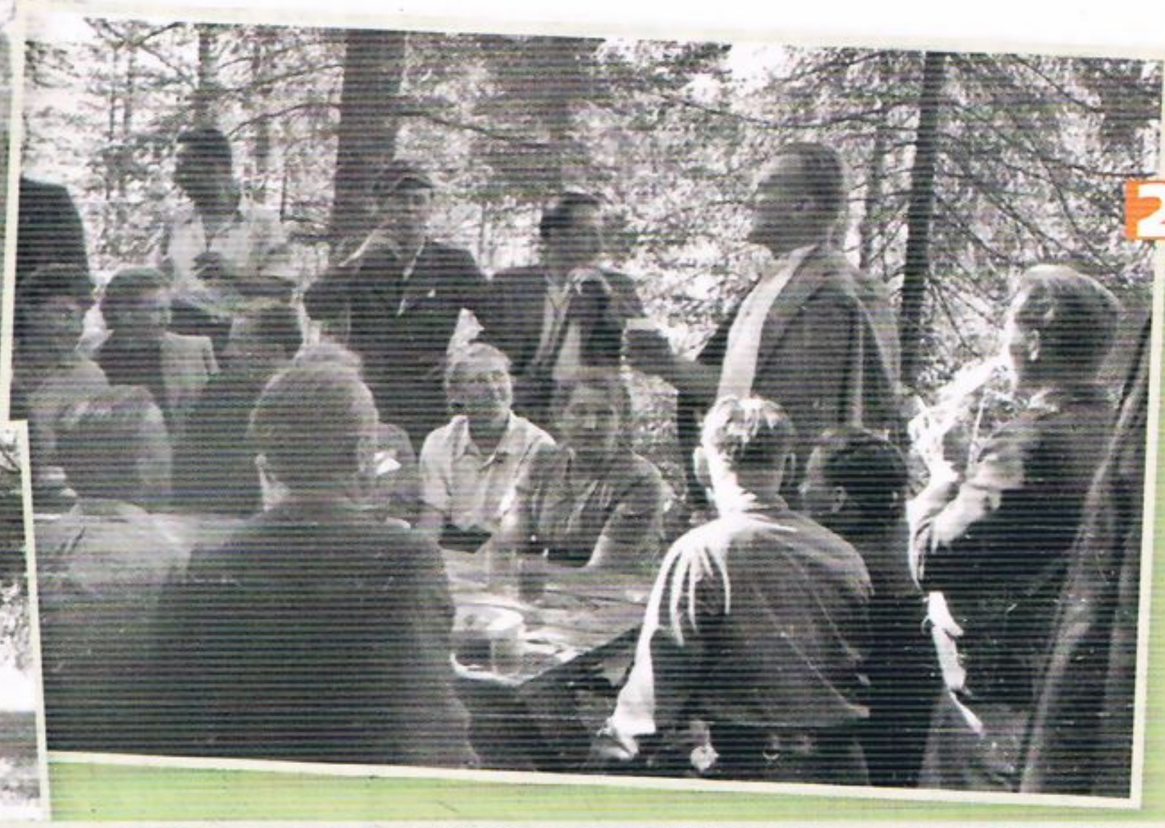

3

5

6

7

8

Ze wspomnień „Radwana": „Od samego rana poczęli ściągać ze wszystkich stron zaproszeni goście. Można było zobaczyć przedstawicieli całej Polski Podziemnej z tego terenu. A więc komendant obwodu »Orsza« ze swoim zastępcą »Trojdanem", »Beskid" z WSOP'u i »Maka« z WSK, »Szyszka« i »Ksantypa«, a dalej dowódcy i delegaci oddziałów »Wir«, „Cord", »Kula«, »Bej«, „Zagłoba«, »Rzut«, dowódcy placówek i wielu, wielu innych".

SZKIC SYTUACYJNY Z OTWARCIA SZPITALA POLOWEGO "655" BILGORAJSKIEGO OBWODU AK

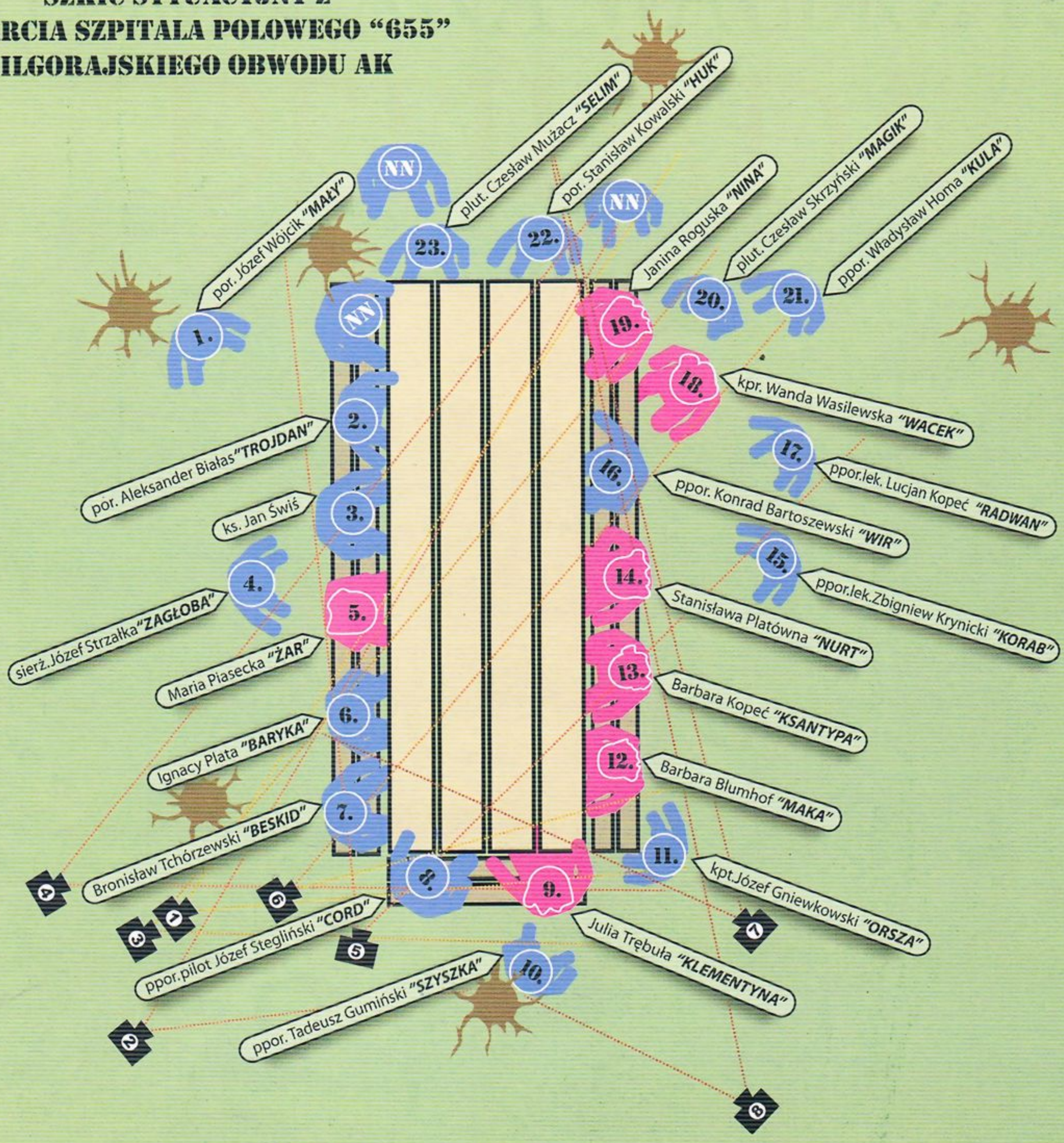

Kolor czerwony – mężczyźni, kolor niebieski – mężczyźni

Analiza i opracowanie graficzne © Marek Skrzyński 2016

fot. E.Buczek, ze zb. P.Bartoszewskiego 1,2,3,5,7 L.Kopcia 4, WBP w Lublinie 8 oraz ze str. 41

Przybyli goście w osobliwy sposób podziękowali za utworzenie szpitala leśnego „665", podrzucając w górę komendanta szpitala ppor. „Radwana" (Lucjana Kopcia) i szefową pielęgniarkę „Ninę" (Janinę Roguską).

www.odkrywca.pl

ZAPOMNIANA WAŁBRZYSKA DEFILADA

RADOSŁAW SZEWCZYK

Z tej parady nie opublikowano żadnej fotografii.

22 maja 1960 roku w tym ówczesnym górniczym mieście odbyła się defilada wojskowa. Ulicami miasta przejechali: „zwiadowcy na motocyklach, piechota na samochodach, artylerzyści ze swym sprzętem – działami nadziemnymi [pisownia oryginalna – przyp. autora] i przeciwlotniczymi oraz wyrzutniami rakietowymi – słynnymi katiuszami, saperzy, łącznościowcy i żołnierze kwatermistrzostwa, przemarsz zamykała kolumna czołgów" – jak napisała lokalna prasa. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że cała dywizja przyjechała do miasta specjalnie, pokonując kilkaset kilometrów w obie strony.

Co to za parada?

Na dwóch amatorskich zdjęciach widać jadące aleją Wyzwolenia: czołg średni T-34-85 oraz wóz zabezpieczenia technicznego przerobiony z działa samobieżnego ISU-152.

Na kilku czarno-białych profesjonalnych fotografiach dużego formatu uwieczniono inne pojazdy biorące udział w paradzie. Widać na nich samobieżne działo przeciwlotnicze ZSU-57-2, transportery opancerzone BTR-40, transportery opancerzone BTR-152, samochody ciężarowe Lublin-51, samochody terenowe GAZ-69 oraz transportery pływające K-61 przewożące armaty przeciwpancerne ZIS-2 kalibru 57 mm. Te ostatnie zdjęcia zostały prawdopodobne wykonane przez fotoreportera wojskowego. Niestety nie znamy jego nazwiska. >>>

Czołg T-34-85 na wałbrzyskiej ulicy.

Kolumna transporterów opancerzonych BTR-152 jadąca aleją Wyzwolenia w stronę placu Tuwima.

fot. zbiory R. Szewczyka

www.odkrywca.pl

>>> Niełatwo było również ustalić, kiedy odbyła się owa parada. Starsi mieszkańcy Wałbrzycha wspominali, że jakaś defilada miała miejsce w 1968 r. i, w zależności od rozmówcy, odbyła się albo przed inwazją na Czechosłowację lub też po jej zakończeniu. W prasie lokalnej znalazło się kilka informacji na temat tego wydarzenia. W ówczesnym tygodniku „Trybuna Wałbrzyska", Organie KM i KP Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w jednym z numerów z lata 1968 r. opisano wizytę dziennikarza u polskich żołnierzy w Czechosłowacji. Padło tam znamienne dla naszych poszukiwań zdanie: „mamy jeszcze w pamięci defiladę na XV-lecie PRL, która odbyła się Wałbrzychu". Rocznica ta miała miejsce 22 lipca 1960 r., a więc 8 lat wcześniej. Przy okazji okazało się, że parada po powrocie z operacji „Dunaj" w istocie miała miejsce, ale jesienią 1968 r. Gazeta zamieściła w związku z tym krótką notatkę i zdjęcie transportera opancerzonego SKOT z białym pasem rozpoznawczym jadącego tą samą aleją Wyzwolenia, ale w kierunku przeciwnym niż pojazdy na fotografiach. Tak więc w Wałbrzychu odbyła się jeszcze jedna defilada, ale to już inna historia. W numerach „Trybuny Wałbrzyskiej" z lipca 1960 r. nie ma żadnej, nawet najdrobniejszej wzmianki o przejeździe wojska ulicami miasta. Po przejrzeniu wcześniejszych wydań okazało się, że odbyła się ona nie 22 lipca, tylko kilka tygodni wcześniej.

„Spotkania »Mieszczuchów« z żołnierzami WP końcowym akordem »Dni Wałbrzycha«" – informował tytuł na pierwszej stronie „Trybuny Wałbrzyskiej" – w numerze 20 (306) z datą 18 V – 24 V 1960 r. Pod nim czytamy: „Czeka nas nie lada gratka, która powinna stać się wspaniałym końcowym akordem tegorocznych, po raz pierwszy w naszym mieście obchodzonych »DNI WAŁBRZYCHA«. Będzie nią kilkudniowa wizyta delegacji Śląskiego Okręgu Wojskowego".

Na tej samej stronie czytamy dalej m.in.: „W sobotę bowiem o godzinie 20.30 ulicami miasta przejdzie capstrzyk z udziałem orkiestr, pocztów sztandarowych i kompanii honorowych WP. Orkiestry wyjdą jednocześnie z dwóch punktów miasta – z Dworca na Starym Zdroju oraz ze skweru przy rogu ulicy Niepodległości i Piotra Skargi. Spotkają się przed Pomnikiem Bohaterów, gdzie odbędzie się uroczysty Apel Poległych i u stóp pomnika złożone zostaną wieńce. Będą też naturalnie salwy honorowe i... pokazy pirotechniczne". W notce pt. „Z ostatniej chwili" na stronie 6 znajduje się jeszcze informacja:

PODODDZIAŁY BIORĄCE PRAWDOPODOBNIE UDZIAŁ W DEFILADZIE W WAŁBRZYCHU 22 MAJA 1960 R.

NA PODSTAWIE ROZKAZU Z 2 PAŹDZIERNIKA 1958 R. W SKŁAD 11 DYWIZJI ZMECHANIZOWANEJ WCHODZIŁY:

Dowództwo 11 Dzmech w Żaganiu, 46 kompania sztabowa (bn) w Żaganiu, 29 Pułk Zmechanizowany w Żaganiu, 38 Pułk Zmechanizowany w Kożuchowie, 42 Pułk Zmechanizowany w Żarach, 8 Pułk Czołgów i Artylerii Pancernej w Żaganiu, 33 Pułk Artylerii Haubic w Żarach, 10 Dywizjon Artylerii Rakietowej Żary, 19 Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczej Zgorzelec, 34 Batalion Łączności w Żaganiu, 16 Batalion Saperów w Żarach, 9 Batalion Rozpoznawczy w Żarach , 76 Batalion Samochodowo-Transportowy, 17 kompania obrony przeciwchemicznej.

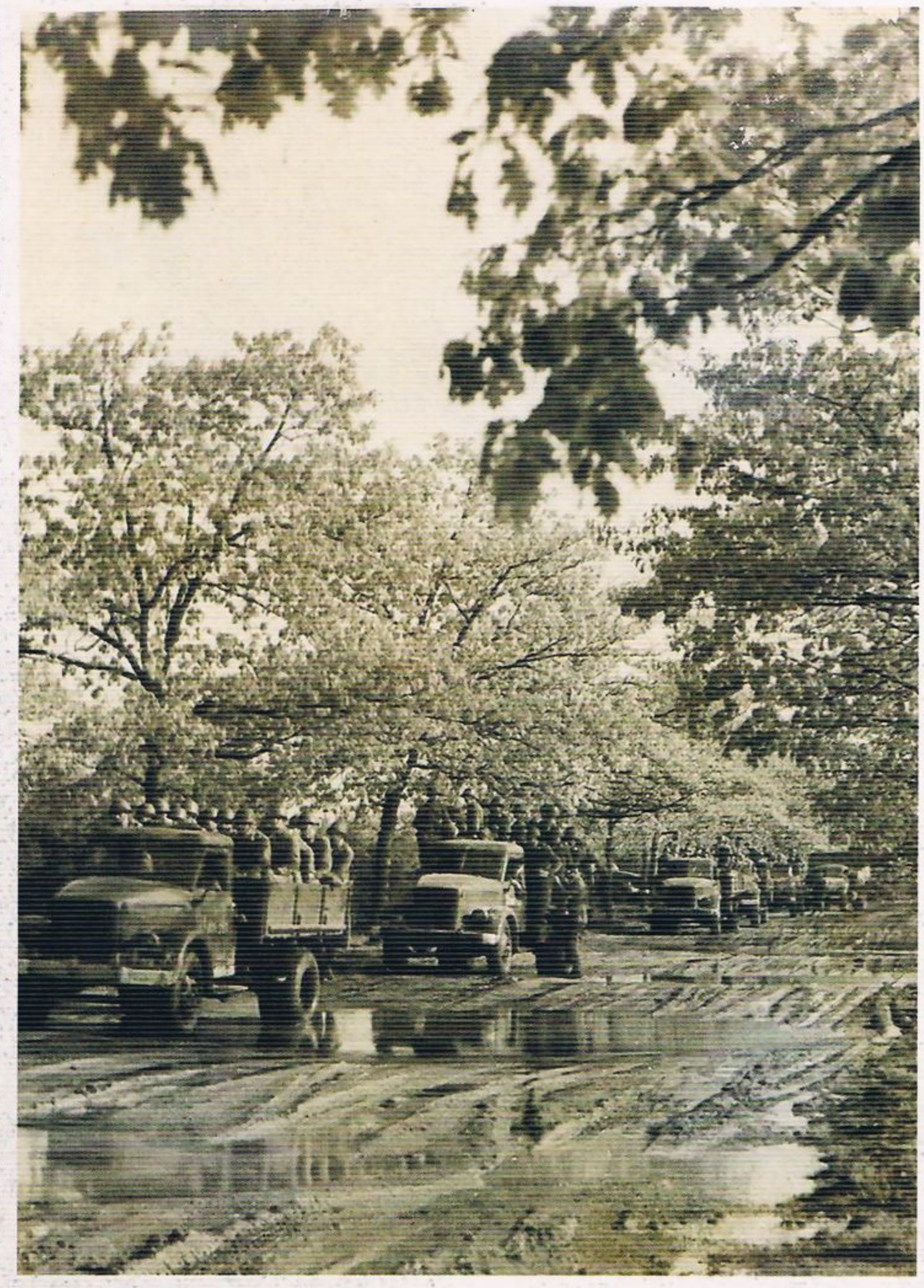

Kolumna samochodów ciężarowych Lublin-51 wioząca piechotę gdzieś pod Wałbrzychem.

www.odkrywca.pl

„Jak się dowiadujemy, w niedzielę, dnia 22 maja br. o godzinie 11 nastąpi uroczysty przemarsz goszczących w Wałbrzychu jednostek Wojska Polskiego przez miasto. Przemarsz nastąpi ulicami Wrocławską, Czerwonej Armii [obecnie Armii Krajowej – przyp. autora], Placem Grunwaldzkim, Aleją Wyzwolenia do Placu Tuwima i stąd dwiema ulicami: ul. Świerczewskiego [obecna ul. Piłsudskiego – przyp. autora], 22 Lipca [obecna ul. 11 Listopada – przyp. autora] do Czerwonej Armii oraz Mickiewicza, Niepodległości do Świdnickiej. W związku z przemarszem zwracamy się do wszystkich wałbrzyszan, którzy zgromadzą się wzdłuż trasy przejazdu wojsk, a zwłaszcza do matek i ojców: Zachowajcie porządek. Nie przechodźcie przez sznury wzdłuż jezdni. Nie pozwalajcie dzieciom przebiegać przez ulicę, pamiętajcie, że może to się skończyć tragicznym wypadkiem!”.

W następnym numerze z datą 25 V – 2 VI 1960 r. gazeta lokalna donosi: „Najpierw sobotni capstrzyk. Kompanie honorowe ze sztandarami, wojskowe orkiestry, uroczysty Apel Poległych i atrakcyjne dla wszystkich od dzieci do starszych światła rakiet i naturalnie artyleryjski salut honorowy. Chyba około 20 tysięcy wałbrzyszan zgromadziło się wówczas w Alei Wyzwolenia i tuż przy Pomniku Bohaterów.(...) Następnego dnia w piękną słoneczną niedzielę, przemarsz wojska ulicami miasta: Wrocławską, Czerwonej Armii, Bolesława Chrobrego, Aleją Wyzwolenia, Mickiewicza i Niepodległości. (...) jechali najpierw zwiadowcy na motocyklach, piechota na samochodach, artylerzyści ze swym sprzętem – działami nadziemnymi i przeciwlotniczymi oraz wyrzutniami rakietowymi – słynnymi katiuszami, saperzy, łącznościowcy i żołnierze kwatermistrzostwa, przemarsz zamykała kolumna czołgów” – czytamy w relacji.

Wóz zabezpieczenia technicznego powstały z przebudowania działa samobieżnego ISU-152 w Alei Wyzwolenia na wysokości obecnego Zespołu Szkół nr 2 (po prawej).

Fałszywe zdjęcie

Na pierwszej stronie tego samego wydania „Trybuny Wałbrzyskiej” zamieszono m.in. zdjęcie z defilady przedstawiające jadące czołgi T-54, tylko że wykonane zostało ono w 1958 roku... w Łodzi (sic!) podczas defilady na ul. Piotrkowskiej z okazji 22 lipca. Z Wałbrzyskiej parady nie ukazało się żadna fotografia. W jednym z kolejnych numerów zamieszczono cztery zdjęcia z wizyty wojska, ale żadne nie pokazuje przemarszu ulicami miasta. Tymczasem na fotografiach, które nie wiemy, czy były kiedykolwiek publiko- >>>

Fot. zbiory R. Szewczyka

www.odkrywca.pl

>>> wane, widać jadące aleją Wyzwolenia różnego rodzaju wozy bojowe. Są to pojazdy następujących typów: czołg średni T-34-85, wóz zabezpieczenia technicznego przerobiony z działa samobieżnego ISU-152, samobieżne działo przeciwlotnicze ZSU-57-2, transporter pływający K-61 przewożący armatę przeciwpancerną ZIS-2 kalibru 57 mm, a także transportery opancerzone BTR-40, transportery opancerzone BTR-152, samochody ciężarowe Lublin-51 oraz samochody terenowe GAZ-69. Czy zdjęcie z Łodzi zamieszczono przez pomyłkę podczas składania gazety i posiłkowano się materiałem z agencji prasowej? A może wmieszała się cenzura wojskowa? Wszak w defiladzie brały udział m.in. samobieżne działa przeciwlotnicze ZSU-57-2, które zaledwie rok wcześniej dostarczone z ZSRR weszły na uzbrojenie naszej armii. Czy to one były tak „tajne"? Nie wiadomo, czy uda się kiedykolwiek wyjaśnić tę zagadkę. Zastanawiające jest również to, jak tak liczne oddziały ze sprzętem znalazły się w Wałbrzychu. Skąd przyjechały? Wszak w pobliżu nie stacjonowała żadna jednostka, najbliższe garnizony w tym czasie to Kłodzko i Strzegom. Koło Wałbrzycha nie ma również żadnego poligonu. Okazuje się, że armia wybrała się w ten rejon Dolnego Śląska specjalnie. W lokalnej gazecie mimochodem wspomina się o „przemarszu z ćwiczeń ulicami (...) miasta".

Transportery opancerzone BTR-152 na ul. Armii Czerwonej (obecna ul. Armii Krajowej) na wysokości Dworca Kolejowego Wałbrzych Miasto. W tle widoczny budynek nieczynnego już Zakładu Porcelany Stołowej „Wałbrzych".

W książce pt. „11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej im. Króla Jana III Sobieskiego. Zarys Dziejów" autorstwa Wiesława Chłopka wydanej w Żaganiu w 2005 r. można znaleźć informację że: „W maju [1960 r. – przyp. autora] podległe pułki uczestniczyły w zajęciach dywizyjnych ze strzelaniem amunicją bojową z czołgów na poligonie żagańsko-bolesławieckim. Ćwiczenia zakończyły się w okolicach Wałbrzycha. Żołnierze spotkali się z załogami zakładów pracy, a następnie przemaszerowali ulicami miasta". Tak więc ówczesna 11 Dywizja Zmechanizowana z Żagania, bo to o nią chodzi, nadłożyła dobre kilkaset kilometrów (licząc w obie strony), żeby odwiedzić górnicze miasto.

www.odkrywca.pl

Było to na pewno duże przedsięwzięcie transportowo-logistyczne. Sprzęt kołowy dojechał z poligonu drogami, pojazdy gąsienicowe musiano przewieźć koleją. W tamtym czasie w centrum Wałbrzychu istniała jeszcze stacja kolejowa Wałbrzych Towarowy (koło dzisiejszej hali OSiR), na której to prawdopodobnie rozładowany został sprzęt gąsienicowy. Stamtąd przez ul. Wysockiego musiał on tylko kilkaset metrów przejechać do alei Wyzwolenia.

Defilada odniosła na pewno zamierzony efekt propagandowy. Wszak chodziło o: „zadokumentowanie swej siły bojowej podczas przemarszu z ćwiczeń ulicami naszego miasta", jak określił w liście zamieszczonym w „Trybunie Wałbrzyskiej" wspomniany już „Miejski i Powiatowy Komitet Obchodu XV-lecia". Ale również jakby na to nie patrzeć, było to prawdziwe wydarzenie w dziejach miasta, o czym świadczą uwiecznione na zdjęciach odświętnie ubrane tłumy ludzi na trasie przemarszu wojska.

Stylistyka cytatów pozostała niezmieniona. <

Radosław Szewczyk

Historyk, podróżnik i dziennikarz zajmujący się historią wojskowości. Współautor książek: Prinz Eugen The Story of 7. SS-Freiwilligen-Gebirgs Division 1942-1945 (2014); 9. Panzerdivision 1940-1943 (2011) i 11. Panzerdivision w akcji; 1941 (2007).

Fot. zbiory R. Szewczyka

Samobieżne działo przeciwlotnicze ZSU-57-2 w alei Wyzwolenia. Być może z powodu tej nowej broni „utajniono" defiladę, nie publikując z niej zdjęć. Widoczna rozpięta nad ulicą istniejąca wówczas trakcja trolejbusowa.

LITERATURA:

CHŁOPEK W., **11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej im. Króla Jana III Sobieskiego Zarys Dziejów**, Żagań 2005

Pojazdy Ludowego Wojska Polskiego, Tomasz Szczerbicki.

Na imponującej ilości 740 stron w formacie A4, z pomocą ponad 1000 archiwalnych fotografii, zostały przedstawione wszystkie pojazdy – od motocykli do najcięższych czołgów – jakie były używane przez Ludowe Wojsko Polskie, armię przez ponad 45 lat występującą pod biało-czerwoną flagą z białym orłem na czapkach i hełmach.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

BOMBARDOWANIA STETTINA

LESZEK ADAMCZEWSKI

Szczecinowi było daleko do Drezna
czy Hamburga, a jednak z miast leżących
dzisiaj w granicach Polski był on
podczas wojny bombardowany najczęściej.

Ktokolwiek dziś, w roku 1944, podróżował po Rzeszy i w jakim nie bądź celu to czynił, ten swoje sprawozdanie będzie musiał rozpoczynać od nalotów i zakończyć nalotami" – pisał w swym sprawozdaniu „Niemcy w piątym roku wojny" Alfred Przybój-Jarecki. Ten działacz lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej był podczas drugiej wojny światowej oficerem Polskiej Armii Ludowej (nie mylić z komunistyczną Armią Ludową) i kilkakrotnie wyjeżdżał do Niemiec, zbierając informacje o nastrojach wśród ludności niemieckiej i robotników cudzoziemskich, głównie Polaków, przebywających na robotach przymusowych.

Tak rankiem po nocnych nalotach wyglądał wojenny Stettin.

Leżące przede mną sprawozdanie Przybój-Jareckiego dotyczy podróży po Niemczech od 15 stycznia do 3 lutego 1944 roku, a więc w okresie jeszcze przed najbardziej niszczycielskimi nalotami alianckimi na miasta Rzeszy. Przybój-Jarecki opisuje specyficzne zwyczaje, które ukształtowały się w miastach najbardziej narażonych na bombardowania: „Z nastaniem zmroku zaczyna szerzyć się panika: przed pancernymi wrotami wszelkich schronów publicznych narastają szybko kolejki postaci o sinych twarzach, z tobołami i walizkami w rękach, z wózkami dziecięcymi i zmiętoszoną pościelą. Z jakąś zakrzepniętą wściekłością stoją godzinami w ponurym milczeniu, ze wzrokiem wlepionym pożądliwie w zamknięte drzwi, które mają się otworzyć na znak alarmu lotniczego...".

Autor sprawozdania kwestionuje krążące wówczas pogłoski, będące raczej pobożnym życzeniem, o słabej odporności psychicznej Niemców. „Raczej przeciwnie: cechy niemieckiego charakteru, jak mała pobudliwość, tępa odwaga i skłonność do trupiego posłuszeństwa, pomagają raczej znosić ciężkie przeżycia wojenne. Jeżeli mimo to naloty pozostawiają po sobie takie wrażenie na psychice Niemca, to daje pewne pojęcie o strasznej sile, jaką sprzymierzeni wkładają w ten odcinek walki" – napisał Alfred Przybój-Jarecki.

Z okazji urodzin Hitlera

Niebezpieczeństwo bombardowań alianckich i konieczność chronienia mieszkańców władze prowincji pomorskiej Trzeciej Rzeszy oraz samorządowe władze Stettina zrozumiały późno, bo dopiero po pierwszych, raczej nękających niż niszczycielskich nalotach na miasto, przeprowadzonych przez lotnictwo brytyjskie latem 1940 roku. Szczecin był wtedy nie tylko ważnym portem morskim, ale także dużym ośrodkiem przemysłowym i węzłem kolejowym w tej części Rzeszy. W granicach miasta znajdowało się wówczas dawne miasteczko Pölitz (obecnie Police są znowu samodzielnym miastem) z niezmiernie ważnymi dla niemieckiej gospodarki wojennej zakładami produkującymi benzynę syntetyczną – Hydrierwerke Pölitz AG.

Wprawdzie pierwszy nieprzyjacielski samolot pojawił się nad miastem w nocy z 7 na 8 czerwca tegoż roku, ale był to bombowiec francuskiego lotnictwa morskiego, samotnie zmierzający w odwetowym locie bojowym na Berlin, zorganizowanym naprędce po zbombardowaniu Paryża przez Luftwaffe. Trzy dni później Brytyjczycy przeprowadzili pierwszy nocny nalot na Szczecin. Zrzucone nań bomby spadły na pola. Do trzech kolejnych nalotów doszło w sierpniu: z 3 na 4, z 13 na 14 oraz 25 na 26. Zwłaszcza ten ostatni nalot wywołał szok wśród mieszkańców Stettina. I skutkował tym, że podjęto decyzję o natychmiastowej budowie schronów przeciwlotniczych, rezerwując na ten cel pieniądze i deficytowe materiały budowlane.

Naloty na Stettin w latach 1940-1942 nie wyrządziły większych szkód, chociaż pociągnęły za sobą pierwsze ofiary. Żarty – jeśli tak to można nazwać – skończyły się w nocy z 20 na 21 kwietnia 1943 roku, gdy „z okazji" 54. rocznicy urodzin Adolfa Hitlera nad Stettin nadleciało >>>

16 sierpnia 1944 roku. Polscy piloci z 300. Dywizjonu imienia Ziemi Mazowieckiej z bazy Faldingworth w Szkocji stanowili część ogromnego zgrupowania Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii liczącego 461 czterosilnikowych bombowców Lancaster, które zbombardowało Szczecin.

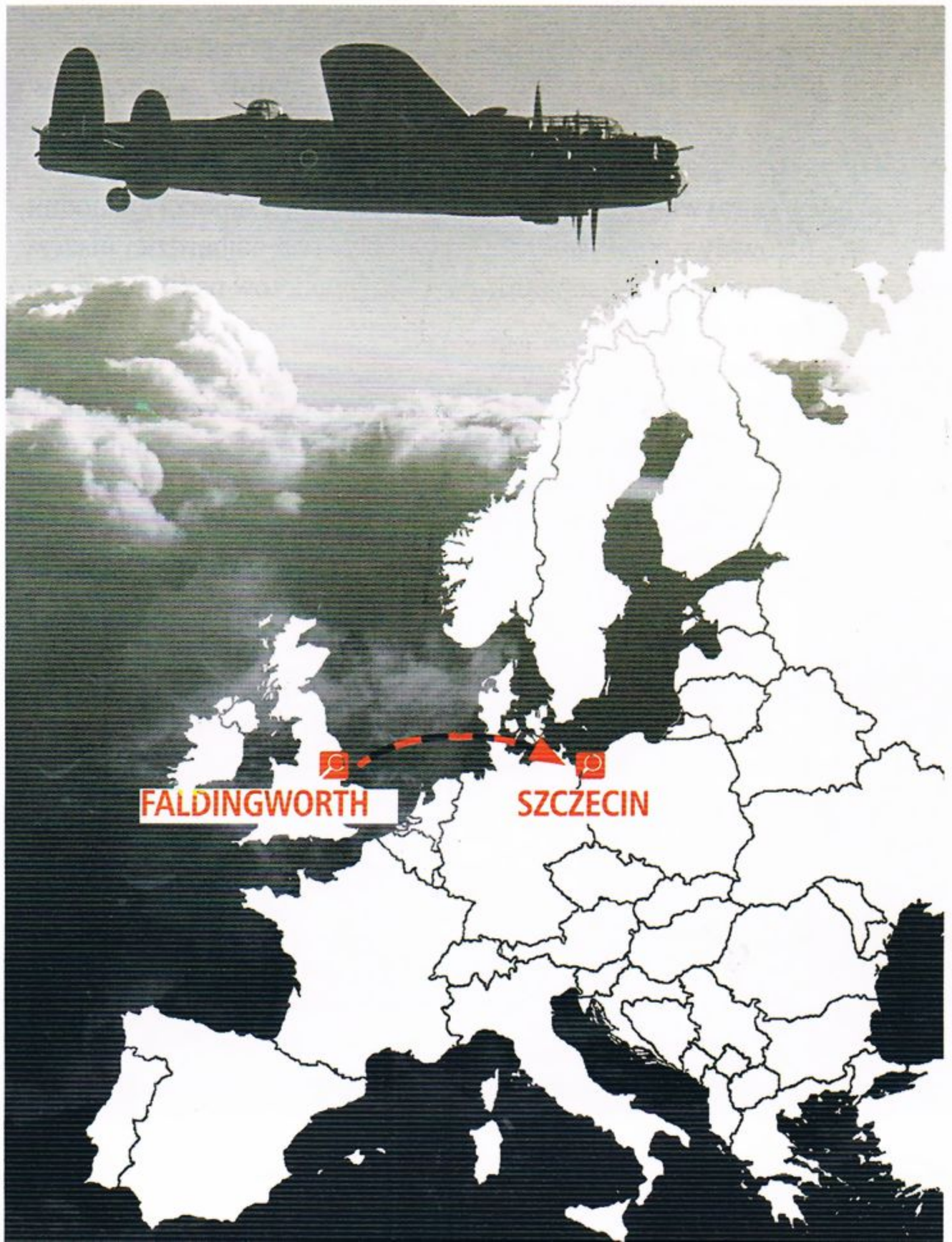

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

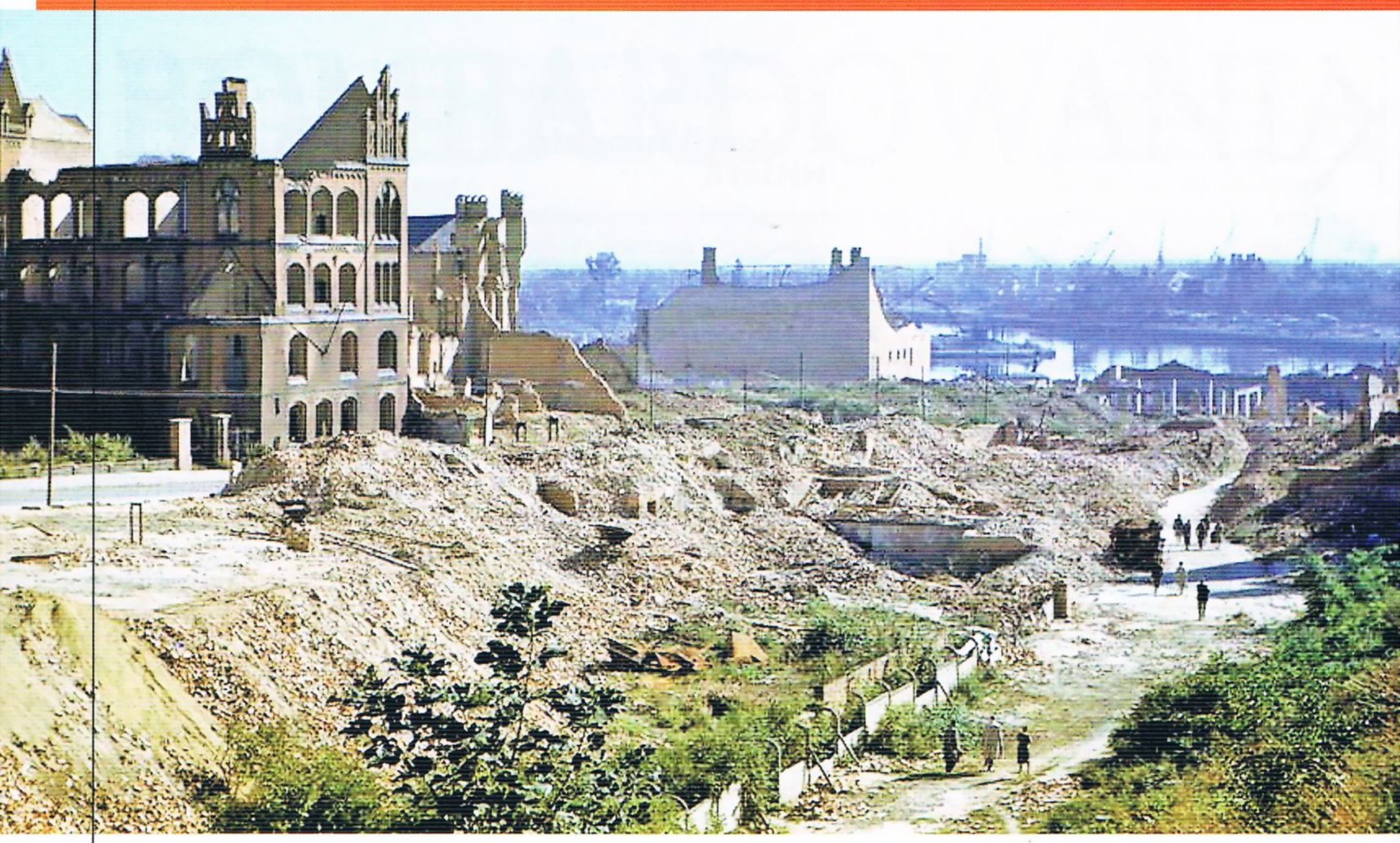

Ruiny szczecińskiego Starego Miasta na wykonanym tuż po wojnie kolorowym zdjęciu amerykańskiego fotografa Henry'ego N. Cobba.

>>> 339 bombowców RAF. Przez 45 minut na miasto spadały ciężkie bomby kruszące i zapalające. Zginęło 586 osób, do których trzeba doliczyć około 300 zaginionych. Kilka dni później na Skagerrakplatz (na obecnym placu Mickiewicza) władze nazistowskie zorganizowały żałobną uroczystość. Setki trumien ze szczątkami ofiar tego bombardowania przykryto – jak widać na zdjęciu wykonanym przez fotoreportera dziennika „Pommersche Zeitung" – czerwonymi flagami z czarną swastyką w białym kole. Wstrząsające wrażenie robią zwłaszcza małe trumienki. A tamtej kwietniowej nocy w Stettinie miało zginąć 89 dzieci...

Po nocnym nalocie Brytyjczyków z 5 na 6 stycznia 1944 roku, w którym zginęły 244 osoby, 11 kwietnia tegoż roku doszło do pierwszego dziennego nalotu na Stettin. Wzięły w nim udział te bombowce 8. Armii Lotniczej USA, które bombardowały zakłady lotnicze Focke-Wulf Flugzeugbau GmbH między innymi w Sorau (Żarach). Duże zachmurzenie nad Sorau sprawiło, że niektóre maszyny skierowano na cel zapasowy. Był nim Stettin. W różnych częściach miasta zginęło wówczas ponad sto osób.

Oba te naloty – styczniowy i kwietniowy z 1944 roku – zapoczątkowały serię wielkich bombardowań stolicy Pomorza Zachodniego. Do dwóch najbardziej niszczycielskich nalotów na Stettin doszło w sierpniu 1944 roku.

Na początku tegoż roku, a więc jeszcze przed niszczycielskimi nalotami na Stettin z sierpnia, cytowany wyżej Alfred Przybój-Jarecki w swym sprawozdaniu zauważył, że „po dłuższej podróży po Niemczech zachodnich i środkowych wyjazd do prowincji wschodnich jest rzeczywiście wypoczynkiem. Wprawdzie i tam nierzadko sięga zbrojne ramię sprzymierzonych, lecz między takimi występami leży przerwa trwająca tygodnie i miesiące. Z miast leżących na wschód od Berlina najwięcej ucierpiał Szczecin; zniszczenie sięga 20 procent budynków. Panika wśród mieszkańców jest duża. Większość ludności jest związana więzami rodzinnymi z prowincją i wsią pomezańską, toteż samorzutna ewakuacja do krewnych na wsi trwa. W ogóle Pomerania jest prowincją najgęściej przez ewakuantów zalewana. Nie można powiedzieć, żeby krajowcy byli tym zachwyceni, przeciwnie, obecność intruzów uważają wszyscy za ciężki dopust".

Schron-gigant koło Stettin Hauptbahnhof

Dzisiaj, grubo ponad 70 lat po drugiej wojnie światowej, wiele zbudowanych wtedy schronów przeciwlotniczych już nie istnieje. Niektóre zburzono, inne zasypano lub wejścia doń zamurowano. Z jeszcze innych uczyniono rezerwaty nietoperzy. Gdy jednak uda się wejść do tych jeszcze istniejących i otwartych, gdy omiatając światłem latarek ich ściany czytamy mniej lub bardziej wulgarne napisy, nie potrafimy sobie nawet w minimalnym stopniu wyobrazić tego, co działo się tutaj podczas alianckich bombardowań. Strach, paniczny strach. I okrzyki przerażenia, gdy wskutek eksplodującej w pobli-

Wśród zachowanych zdjęć z bombardowań Stettina znajduje się i to przedstawiające narożnik Apfelallee i Ottostrasse (obecna ulica Milczańska).

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

www.odkrywca.pl

żu bomby trzęsły się ściany schronu.

W wojennym Szczecinie miejsc w schronach nie starczało dla wszystkich. Większość kryła się zatem w piwnicach, których około 17 000 w budynkach mieszkalnych zaadaptowano na prowizoryczne schrony, ich zewnętrzne ściany wzmacniając warstwą betonu.

„To było w 1944 roku. [...] Poszliśmy do piwnicy. Ale to już raz, dwa i nasz dom się palił. Musieliśmy uciekać. Cała Feldstrasse [obecna ulica Świętych Cyryla i Metodego – przyp. autora] się paliła. I każdy uciekał w inną stronę. Dopiero rano zaczęliśmy się szukać. Gdzie mama? Gdzie tata?".

„Pamiętam, że mama złapała nas, futro i fartuch. I tak polecieliśmy do piwnicy. W naszym domu paliło się czwarte piętro".

Te dwie wypowiedzi przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Szczecinie spisałem ze ścieżki dźwiękowej telewizyjnego filmu dokumentalnego z 1997 roku „Jestem ze Szczecina – Ich bin Stettiner". Osoby wspominające bombardowania miasta mówili tylko o piwnicach. Nierzadko spędzali w nich całe noce.

Po pierwszych nalotach hitlerowskie władze Stettina zdały sobie sprawę z konieczności budowy także schronów żelbetowych lub krytych szczelin przeciwlotniczych. Zaczęto skromnie od sześciu obiektów dla w sumie 650 osób. Były one gotowe w kwietniu 1941 roku, a budowa kolejnych już trwała, w tym schronu dla kilka tysięcy osób koło głównego dworca kolejowego Stettin Hauptbahnhof.

Budując ów obiekt w 1941 roku, Niemcy maksymalnie wykorzystali osiemnasto- i dziewiętnastowieczne tunele dawnej twierdzy szczecińskiej, po której w mieście nie zostało wiele śladów. Ale właśnie na Dworcu Głównym PKP można zobaczyć spory fragment starych fortecznych murów, które od lat służą jako mur >>>

>>> oporowy podtrzymujący potężną skarpę nad stacyjnymi torami i peronami. Za tym wiekowym murem kryje się labirynt żelbetowych tuneli schronu, który został tak zaprojektowany, że przez wejście usytuowane na obecnym placu Zawiszy Czarnego w przypadku ogłoszenia alarmu lotniczego wchodzili mieszkańcy okolicznych budynków z kilku sąsiadujących ze sobą ulic, a przez wejście znajdujące się na końcu tunelu pod peronami podróżni czekający na dworcu na pociągi. Łączna długość podziemnych korytarzy przekracza 400 metrów, a całkowita powierzchnia schronu wynosi 2500 metrów kwadratowych, w tym powierzchnia użytkowa – 1900 metrów kwadratowych. Uzyskano ją głównie poprzez podzielenie wysokich na pięć metrów niektórych odcinków starych fortecznych tuneli żelbetowym stropem. I tak powstały dwa poziomy schronu, którego ściany i strop otrzymały solidną obudowę żelbetową o grubości od 2 do 3 metrów.

Schron ten, mogący pomieścić co najmniej 2500 osób, wyposażono w najnowocześniejsze na tamte czasy urządzenia wentylacyjne, podłogi wyłożono wykładziną korkową, a w pomieszczeniu dla matek z małymi dziećmi zamontowano grzejniki elektryczne. Ponadto ściany schronu pomalowano fosforyzującą farbą, co w przypadku awarii oświetlenia elektrycznego pozwalało poruszać się po tym podziemnym labiryncie w całkowitych ciemnościach.

Nur für Deutsche?

Z pierwszych lat powojennych przetrwała w Szczecinie opowieść o kilkulatku z miejscowej rodziny o polskich korzeniach, którego alarm przeciwlotniczy zastał podczas zabawy z rówieśnikami. Ich wpuszczono do dworcowego schronu, jego – jako Polaka – nie. Chłopiec zaśpiewał więc niemiecką piosenkę, która otwarła mu drzwi do tego podziemnego labiryntu.

Jest to – na co wszystko wskazuje – historia zmyślona. Szczecińscy Polacy byli obywatelami Rzeszy i tak ich przynajmniej oficjalnie traktowano. Po wtóre, Stettin był najczęściej bombardowany nocami, a wtedy dzieci nie bawiły się na ulicach. No i ktoś, kto zmyślił te historię, zapomniał, że w chwili ogłoszenia alarmu przeciwlotniczego nie było ani czasu, ani możliwości sprawdzania dokumentów spanikowa-

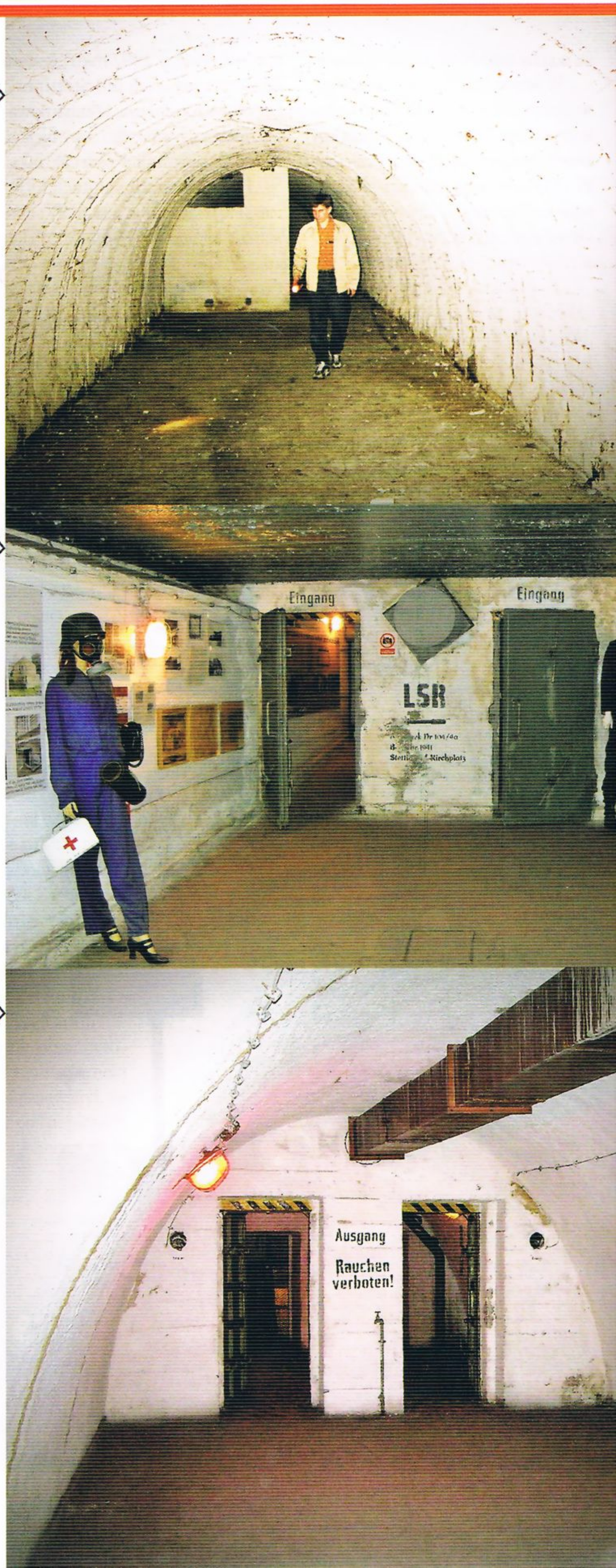

W tym i stojących obok schronach podczas nalotów chronili się robotnicy przymusowi i więźniowie zatrudnieni w Hydrierwerke Pölitz AG.

Jedno z wejść do schronu przeciwlotniczego zbudowanego przez Niemców koło dworca kolejowego Stettin Hauptbahnhof.

W schronie koło dworca Szczecin Główny zachowały się nawet napisy z lat wojny.

nym ludziom chcącym się ukryć przed bombami, nie mówiąc już o słuchaniu piosenki...

Stąd też nieprawdziwa jest informacja, że w schronie koło dworca Stettin Hauptbahnhof mogli przebywać tylko Niemcy. Trudno sobie wyobrazić, że w czasie alarmu lotniczego nie wpuszczono doń przebywających w wojennym Stettinie obywateli państw sojuszniczych czy neutralnych, choćby Włochów, Japończyków lub Szwedów.

Mniej więcej trzy kilometry na północny wschód od Dworca Głównego PKP natrafimy na jeszcze większy schron przeciwlotniczy z czasów hitlerowskich. Niemcy zbudowali go w latach 1941-1943 pod stocznią Vulcan AG, jednym z największych zakładów produkcyjnych wojennego Stettina.

W sumie w latach 1941-1944 zbudowano w wojennym Szczecinie 788 schronów dysponujących 107 734 miejscami. Gdy zważy się, że w ówczesnym Stettinie mieszkało ponad 380 000 osób, to zaledwie prawie co czwarty z nich mógł skorzystać ze schronu. Dla pozostałych były lepiej lub gorzej zaadaptowane na schrony piwnice, a ponadto trzeba pamiętać o wielotysięcznej rzeszy cudzoziemskich robotników przymusowych. Dla niemieckiej gospodarki wojennej stanowili oni często niezastąpioną, bo wykwalifikowaną siłę roboczą, której podczas nalotów też trzeba było zapewnić schronienie.

Podana wyżej liczba mieszkańców dotyczy tak zwanego Wielkiego Szczecina (Grosse Stettin), który powstał jesienią 1939 roku po przyłączeniu doń wielu znacznie nawet oddalonych od miasta gmin z trzech okolicznych powiatów. Faktycznie w samym mieście w znaczeniu urbanistycznym mieszkało niespełna 270 000 osób. Liczbę 269 000 podaje na przykład „Taschenbuch Grossdeutschland" na rok 1942, czyli kompendium wiedzy o Niemczech i świecie, które w formie kieszonkowej książeczki wręczano wszystkim oficerom Wehrmachtu.

Schron pod szpitalem

W 1937 roku Urząd Nadzoru Budowlanego w Stettinie wydał zgodę na postawienie przy Am Deutschen Berg (obecnej ulicy Unii Lubelskiej na Pogodnie) kompleksu budynków szpitalnych dla Wehrmachtu. Wkrótce zbudowano tu szpital wyposażony w nowoczesne sale operacyjne i laboratoria. Urządzono w nim między innymi gabinety światłolecznictwa i hydroterapii, a także – jak twierdzą znawcy wojennych dziejów Szczecina – zamontowano klimatyzację. Podczas wojny pod zespołem budynków szpitalnych rozpoczęto również budowę dużego schronu przeciwlotniczego. Miano do niego ewakuować pacjentów w czasie alarmów lotniczych, a w pilnych przypadkach podczas bombardowania przeprowadzać nawet pod ziemią operacje i tym podobne zabiegi.

Gdy w 2004 roku zwiedzałem te podziemia, trudno było stwierdzić jednoznacznie, czy budowę tego schronu ukończono. Można do niego było się dostać dawnym wyjściem ewakuacyjnym i zobaczyć zachowane w niezłym stanie obetonowane tunele aż do miejsca, gdzie tunel wchodził pod teren Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 1 imienia profesora Tadeusza Sokołowskiego Pomorskiej Akademii Medycznej. Dalszą drogę przegradzał mur, z którego poszukiwacze skarbów wyjęli kilka cegieł i przez tę dziurę można było zobaczyć drobny fragment szpitalnej części podziemi. W oczy rzucały się resztki instalacji elektrycznej z oprawą lampy, ale z tej perspektywy trudno było stwierdzić, czy instalacja ta pochodziła z czasów niemieckich, czy – co bardziej prawdopodobne – już powojennych. >>>

Paradeplatz w centrum Stettina na kolorowej pocztówce z około 1940 roku.

Wojenny Stettin jeszcze przed pierwszymi niszczycielskimi nalotami. W pobliżu Hakenterrasse (obecnych Wałów Chrobrego) zacumował statek szpitalny „Wilhelm Gustloff".

www.odkrywca.pl

>>> W „oko byka"

Wystartowali w środowy wieczór, 16 sierpnia 1944 roku. Polscy piloci z 300. Dywizjonu imienia Ziemi Mazowieckiej z bazy Faldingworth w Szkocji stanowili część ogromnego zgrupowania Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii liczącego 461 czterosilnikowych bombowców lancaster.

Marian Adamaszek, nawigator jednej z polskich maszyn, w latach 80. minionego wieku tak wspominał tamtą sierpniową noc: „Wystartowaliśmy z opóźnieniem jedenastu minut z powodów technicznych. Lecieliśmy tuż nad morzem, głaszcząc niemal fale. Pilot, Józef Nalepa, zwiększył szybkość ponad optimum eksploatacyjne, by dogonić inne maszyny. Gdy zaczęło się ściemniać, samolot nabrał wysokości. Przekraczając zachodni brzeg Danii, wiedziałem, że byliśmy na wyznaczonej trasie i że nadrobiliśmy już sześć minut opóźnienia. Lecąc dalej na wschód, znaleźliśmy się nad płaskimi chmurami cirrocumulusowymi. Następnie, gdy według moich obliczeń znaleźliśmy się u brzegów wyspy Rugia, podałem pilotowi ostatni kurs na Szczecin".

W tę sierpniową noc bombowce RAF zamieniły szczecińskie obiekty portowe, dzielnicę portową i Stare Miasto w morze gruzów. Runęła wówczas iglica wieży staromiejskiego kościoła świętego Jakuba (obecnej katolickiej katedry diecezji szczecińsko-kamieńskiej). Bomby poważnie uszkodziły też pobliski zamek, w Polsce nazwany Zamkiem Książąt Pomorskich. Tej nocy bombardowano też obiekty zakładów Hydrierwerke Pölitz AG.

„Gdy po kilku dniach pokazano nam mapę zrzutu ładunku, sporządzoną na podstawie fotografii wykonanych przez aparaty znajdujące się w komorze bombowej każdego samolotu, okazało się, że nasz zrzut trafił w sam środek celu, czyli w »oko byka« – bull's eye. Poinformowano nas też, że jedna trzecia maszyn została zwabiona przez Niemców na cel fałszywy" – wspominał Marian Adamaszek. Owym „okiem byka" dla jego załogi była portowa Łasztownia, która wówczas była dzielnicą stosunkowo gęsto zaludnioną.

A więc bombardowanie trzeba było powtórzyć. Czego nie zniszczono w nocy z 16 na 17 sierpnia, to dokończono niespełna dwa tygodnie później – w nocy z 29 na 30 tegoż miesiąca. Brytyjskie bomby raziły przede wszystkim port i obie stocznie, dzielnicę portową i Stare Miasto. W mieście wybuchły burze ogniowe, zasysające tlen z powietrza i w kształcie ogromnej kuli ognia pędzące z ogromną prędkością, wciągając weń wszystkich i wszystko znajdujące się w pobliżu. Palił się nie tylko bruk ulic, ale także... Odra i kanały portowe, na które spadły bomby benzolowe. Ten drugi sierpniowy nalot spustoszył do końca Stare Miasto i część śródmieścia. Tej nocy w Szczecinie zginęło 2430 osób.

Gdy wczesnym rankiem 30 sierpnia 1944 roku mieszkańcy po nieprzespanej nocy spieszyli do pracy, Stare Miasto ciągle płonęło. Tramwaje nie kursowały, a ludzi uwięzionych w piwnicach zawalonych domów nikt nie próbował nawet ratować. Fachowcy od obrony przeciwlotniczej twierdzili, że udusili się oni już w nocy z braku tlenu. Tak też mieli zginąć ci, którzy przebywali w zaadaptowanych na schron głębokich piwnicach pod nadal płonącym Zamkiem.

Koniec Hydrierwerke Pölitz AG

Szczecińskie zakłady produkujące paliwa syntetyczne Hydrierwerke Pölitz AG bombardowane były wielokrotnie. Po nalocie z marca 1943 roku kierownictwo zakładów poleciło zbudować schrony przeciwlotnicze dla załogi, której sporą część stanowili cudzoziemscy robotnicy przymusowi i więźniowie polickiej filii obozu koncentracyjnego Stutthof. Były to schrony nietypowe, bo ze względu na wysoki poziom wód gruntowych zostały zbudowane na powierzchni, a ich główna zaleta kryła się w opływowym kształcie. Po żelbetowych ścianach bomby się po prostu ześlizgiwały i eksplodowały na ziemi. Energia temu towarzysząca nie powinna była skruszyć żelbetowych ścian, ale w praktyce różnie to wyglądało.

Więzień polickiej filii KL Stutthof Czesław Gołowacz wspominał: „Pewnego dnia przekonaliśmy się o wytrzymałości bunkrów, które zbudowaliśmy. Było to po obiedzie, w miesiącu sierpniu [1943 roku]. Będąc w fabryce usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk. Fliegeralarm! Zapędzili nas do pierwszego bunkra. Wejście i wyjście było w bunkrze z dwu stron, przy wejściach siedzieli esesmani. Samoloty rzucały bomby po całym terenie fabryki. W czasie bombardowania bunkier cały chwiał się, jedni więźniowie modlili się, a drudzy przeklinali tych, co się modlą...".

Te schrony uratowały życie tysiącom ludzi podczas najbardziej niszczycielskich bombardowań Hydrierwerke Pölitz AG, do których doszło wiosną 1944 roku: w nocy z 12 na 13 maja i w samo południe drugiego dnia Zielonych Świątek, czyli 29 maja. Zakłady dające gospodarce (głównie armii) Rzeszy 20 procent syntetycznych materiałów pędnych zostały na kilka miesięcy wyłączone z produkcji, a po ich odbudowie w listopadzie 1944 roku kolejna seria nalotów w grudniu (w tym w wigilię Bożego Narodzenia) i styczniu 1945 roku unicestwiła na dobre tę szczecińską fabrykę. <

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W 2016 roku ukazała się „Klęska gaulaitera. Sensacje z Kraju Warty". Wkrótce ukaże się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

Podziemny Szczecin Część 1.
Andrzej Kraśnicki, Michał Rembas, Izabela Rosa.

Od autorów: „Od lat penetrujemy podziemny Szczecin. Książka, którą przedstawiamy, jest zaledwie częścią zebranego przez nas materiału. Nie ma w niej fikcji, nierealnych teorii. Opisaliśmy i pokazaliśmy na zdjęciach oraz planach te miejsca, które istnieją, i te, które widzieliśmy.

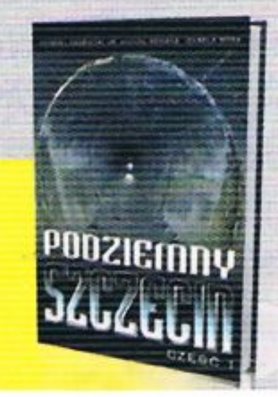

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

PRENUMERUJ I KORZYSTAJ!

JEŚLI JESZCZE NIE PRENUMERUJESZ „ODKRYWCY", ZRÓB TO TERAZ! GWARANTUJEMY:

→ STAŁĄ CENĘ przez cały okres prenumeraty;
→ SZYBKĄ DOSTAWĘ pod wskazany adres – możesz komuś zrobić miły prezent;
→ OTRZYMANIE specjalnych UPOMINKÓW I DODATKÓW jedynie dla prenumeratorów;
→ dla tych, którzy wykupią roczną prenumeratę, mamy GRATIS W POSTACI 12 DOWOLNYCH DOSTĘPNYCH NUMERÓW ARCHIWALNYCH, które ukazały się do końca 2015 roku.

JEŚLI JUŻ PRENUMERUJESZ „ODKRYWCĘ", NIE ZAPOMNIJ JEJ PRZEDŁUŻYĆ!

W PRZYPADKU PRENUMERATY KRAJOWEJ:
→ 12 wydań w cenie 147 zł (2 egz. gratis – płacisz za 10, a otrzymujesz 12 egz.)
→ 6 wydań w cenie 73,50 zł (1 egz. gratis – płacisz za 5, a otrzymujesz 6 egz.)

I ZAGRANICZNEJ (DROŻSZA OD KRAJOWEJ O RÓŻNICĘ CENY WYSYŁKI):
→ półroczna list zwykły – 123,90 zł (w tym przesyłka 50,40 zł)
→ półroczna list priorytetowy – 141,90 zł (w tym przesyłka 68,40 zł)
→ roczna list zwykły – 247,80 zł (w tym przesyłka 100,80 zł)
→ roczna list priorytetowy – 283,80 zł (w tym przesyłka 136,80 zł)

PAMIĘTAJ! – TYLKO PRENUMERATORZY: *)

→ mogą otrzymać w ciągu rocznej prenumeraty 12 BEZPŁATNYCH NUMERÓW ARCHIWALNYCH „ODKRYWCY", zamawiając co kwartał, pół roku lub rocznie dowolne numery z dostępnych jeszcze wydań, które ukazały się do końca 2015 roku. Zamówienie można złożyć mailem na adres **prenumerata@odkrywca.pl lub telefonicznie 71 329 71 71**
→ mają prawo do 5% UPUSTU przy zakupach artykułów z kolekcji „Odkrywcy"

*)
– nie dotyczy prenumerat zamawianych u pośredników,
– zagraniczni prenumeratorzy powinni dopłacić różnicę wynikającą z kosztów wysyłki w Polsce a poza granice kraju (kwotę podamy po złożeniu zamówienia).

Dane adresowe naszego wydawnictwa

Numer konta bankowego naszego wydawnictwa

Kwota zgodna z warunkami prenumeraty podanymi wyżej

Numer konta wpłacającego lub kwota słownie

Pełny adres pocztowy wraz z imieniem, nazwiskiem (i/lub ewentualnie nazwą firmy bądź instytucji)

Określenie prenumeraty, na okres od … do …; osoby prywatne chcące otrzymać fakturę VAT prosimy o dopisanie „Proszę o FVAT" (firmy i instytucje prosimy o podanie NIP)

PRENUMERATĘ ZAMAWIAMY:

NAJPROŚCIEJ
→ dokonując wpłaty (wzór obok)
Dla wpłacających z zagranicy **BIC / SWIFT – ALBPPLPW** numer **PL98249000050000452061532533**

NAJWYGODNIEJ
→ wysyłając SMS o treści PREN na numer **501 675 126.** Oddzwonimy i przyjmiemy zamówienie (koszt smsa wg Twojej taryfy).

A NAWET
→ zamawiając za pomocą telefonu, e-maila, faksu lub listu

ON-LINE
→ pod adresem **http://instytut.odkrywca.pl**

DZIAŁ PRENUMERATY WYDAWNICTWA IBHiK
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel. 71 329 71 71, faks 71 328 83 71, e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 20

WŚRÓD MORDERCZEGO ZIMNA

TOMASZ BIENEK

„Świt przyniósł jeszcze większy mróz. Wełniane rękawice, które pobraliśmy przed wyjazdem, były już do niczego. Zawijaliśmy piekące od mrozu ręce w jakieś gałgany albo zapasowe skarpety".

Prowadzenie działań wojennych w zimowych warunkach skupia niczym w soczewce wszelkie zawiłości wojskowej logistyki i aprowizacji. Potrzeby walczących oddziałów gwałtownie zwiększają się o ciepłą odzież, większą ilość gorących posiłków, opał, odpowiednie smary i inne zimowe akcesoria w postaci np. łańcuchów na opony samochodów i nakładek przeciwpoślizgowych na gąsienice pojazdów pancernych. Dodatkowo mróz i opady śniegu paraliżują transport, którym to właśnie docierać ma życiodajne zaopatrzenie. Nakładający się na te problemy brak ciepłych kwater i temperatura skutkująca chorobami i odmrożeniami, a więc większą ilością koniecznych do ewakuacji ludzi tworzą makabryczny splot zazębiających się związków przyczynowo-skutkowych.

W ekstremalnych warunkach atmosferycznych już samo przeżycie we wrogim klimacie jest problematyczne, o starciu z przeciwnikiem nie wspominając. Obie wojny światowe pozostawiły po sobie wiele materialnych pamiątek z dziedziny żołnierskiego ekwipunku, związanych z desperacką walką toczoną z bezlitosnymi wrogami każdego żołnierza – mrozem, śniegiem i lodowatym wiatrem. Przedmioty te są dziś nie tylko cennymi reliktami militarnymi, ale też świadectwem pomysłowości i woli przetrwania ludzi rzuconych w skrajnie nieprzyjazne środowisko.

Para włoskich zimowych rękawic.

Tego typu ochraniacze na uszy popularne były w Wehrmachcie do pierwszej rosyjskiej zimy. Przy mrozie sięgającym minus trzydzieści stopni stawały się kwintesencją nieprzydatności, a większą ochronę uszu przed mrozem dawał jakikolwiek kawałek szmaty obwiązany wokół głowy.

Frontowe lodowe piekło

Choć entuzjastom historii współczesnej wojenne „problemy z zimą" kojarzą się głównie z bitwą o Stalingrad, gdzie mróz zebrał wyjątkowo mordercze żniwo, należy pamiętać, że niemal każda kampania prowadzona w zimie napotykała na

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

www.odkrywca.pl

Podczas mrozów szczególnie narażone były dłonie. Para niemieckich rękawic widoczna na zdjęciu to jedna z wielu wersji dostarczanych na front.

Chyba żadne z drugowojennych nakryć głowy nie zrobiło takiej kariery jak radziecka uszanka. Choć sami Rosjanie skopiowali tę czapkę od Finów, stała się ona symbolem zimowego wizerunku radzieckiego żołnierza. Sowiecką uszankę szybko skopiowali też Niemcy. Po wojnie takich czapek używały wszystkie armie bloku wschodniego. Dziś oderwana od tragicznego wojennego kontekstu uszanka jest nadal modnym zimowym nakryciem głowy, lansowanym przez wielu producentów odzieży, którzy rzecz jasna nie wyjaśniają genezy charakterystycznej czapki ze spuszczanymi uszami. Prezentowany na zdjęciu egzemplarz to wersja dla szeregowca, wykonany ze sztucznego futra. Czapka została odnaleziona w latach 90. w jednej z nielicznych istniejących wciąż wsi w Beskidzie Niskim.

ogromne trudności. Armia Radziecka poniosła niewyobrażalne straty w walkach z Finami podczas Wojny Zimowej 1939-40, a śnieg i mróz dały się we znaki ostatniej wojennej zimy nawet świetnie wyposażonym Amerykanom, choć aura w Ardenach w niczym nie przypominała arktycznych mrozów frontu wschodniego. Należy też podkreślić, że tereny południowej Polski to kolejne miejsce, gdzie zima przyczyniła się do śmierci tysięcy żołnierzy – tym razem podczas kampanii 1914-1915 roku, a więc austriacko-rosyjskich walk w Karpatach. To właśnie z okopów Bieszczad i Beskidu Niskiego pochodzą przerażające relacje o całych oddziałach, które zamarzły na śmierć tej samej nocy, o żołnierzach, którzy zamarzli, stojąc oparci o drzewa, a ich zamrożone na kamień zwłoki stały niczym posągi całymi miesiącami i były odnajdywane dopiero wiosną oraz wiele innych przerażających historii.

Prawdziwym lodowym piekłem były jednak dwie pierwsze zimy na froncie wschodnim podczas drugiej wojny światowej. Straty ponoszone przez obie strony w wyniku zimna były porównywalne – a nieraz większe od tych odniesionych w wyniku działań bojowych. Relacje żołnierzy, którzy przetrwali zimę w Rosji potrafią dosłownie przyprawić o gęsią skórkę.

„W listopadzie 1941 roku, tuż po tym, jak zajęliśmy nowe schrony, zaczęliśmy doświadczać wielkich mrozów, do minus czterdziestu stopni Celsjusza " – wspomina William Lubbeck, żołnierz Wehrmachtu walczący na północnym odcinku frontu wschodniego. „Temperatura spadła tak bardzo, że zamarzał smar w karabinach, jeśli regularnie nie zabezpieczaliśmy ich przed mrozem. Inni żołnierze mówili mi, że widzieli jak mróz ścinał smar i unieruchamiał całe lokomotywy. Problemy z pogodą co pewien czas powodowały przerwy w dostawach zaopatrzenia, co niekiedy skutkowało obcięciem racji żywnościowych do pół bochenka chleba dziennie. Chociaż takie wyżywienie pozwalało nam ledwie przeżyć, wiedzieliśmy, że było to znacznie więcej, niż wydawano ludności odciętego Leningradu".

Rosyjska zima powodowała, że broń przestawała strzelać, pojazdy przestawały jeździć, a śnieżne zamiecie unieruchamiały samoloty na zasypanych śniegiem lotniskach. Najprostsze zabiegi higieniczne były niemożliwe do przeprowadzenia, o myciu się nie było mowy. Lista trapiących zimą problemów była długa, ale najgroźniejszy był mróz.

„Odmrożeń i hipotermii baliśmy się równie mocno co sowieckiej broni" – dodaje William Lubbeck, który służył w kompanii broni ciężkiej. „Poruszanie się na nartach między schronem na tyłach a frontem minimalizowało narażenie na bardzo niskie temperatury, mimo to nadal ryzykowało się odmrożeniami. Gdy pewnego dnia wróciłem do schronu, zorientowałem się, że straciłem czucie w palcach u nóg. Po zdjęciu butów odkryłem, że moje paluchy stały się białe i całkowicie nieczułe. Chociaż żołnierzy ostrzegano przed leczeniem odmrożeń wodą, uznałem, że bezpiecznie mogę zastosować zimną wodę. Wyszedłem na zewnątrz, i powoli lałem zimną wodę na stopę, jednocześnie masując palce. Ból był przeszywający, jednak krążenie krwi po około dwudziestu minutach powoli zaczęło wracać. Wielu mniej szczęśliwych żołnierzy straciło od odmrożeń palce u rąk i nóg. Świadomość, że jeszcze kilka godzin na mrozie i groziła by mi amputacja, dała mi wiele do myślenia". >>>

www.odkrywca.pl

>>> Kłopoty z transportem

Częstą przyczyną cierpień żołnierzy podczas zimy był brak odpowiednio ciepłych mundurów. Te, które posiadano, były albo niewystarczająco ciepłe, albo w ogóle nie nadające się do warunków zimowych. Nie oznacza to jednak, iż takowe nie istniały – zwykle żołnierze nie mieli ich, bo zawodziło zaopatrzenie. Często odpowiednie ilości ciepłej i wygodnej odzieży znajdowały się co prawda w posiadaniu wojska, ale marnowały się w magazynach, podczas gdy ludzie na pierwszej linii padali jak muchy z zimna. Wywołany zimą paraliż transportu zarówno kolejowego, jak i samochodowego uniemożliwiał dostarczenie tych cennych materiałów dla najbardziej potrzebujących odbiorców. W wielu wspomnieniach weteranów znaleźć można opisy tych kontrastujących ze sobą skrajności – magazyny przeładowane po brzegi wszelkiego rodzaju dobrami oraz drastyczny brak tych towarów wśród walczących oddziałów, skutkujący strasznymi stratami. Tak opisuje to zjawisko Guy Sajer, żołnierz służb zaopatrzenia:

„W Mińsku, Kownie i Kijowie widzieliśmy ogromne sterty koców, specjalnej odzieży z baraniej skóry, wysokich butów o grubych izolujących podeszwach, których cholewy przypominające filc wykonane były ponoć z włosia. Ogromne magazyny pełne były rękawic, różnego rodzaju nakryć głowy podbitych kocią skórą, piecyków na benzynę, mazut lub suchy spirytus; piętrzyły się kartony żywności przeznaczonej na walkę z mrozem i tysiące innych rzeczy. W Mińsku mieliśmy pod dostatkiem wszystkiego. Na nas, konwojentach wojskowych, ciążył obowiązek dostarczania sprzętu i żywności aż do najbardziej wysuniętych placówek, gdzie nieszczęśni żołnierze rozpaczliwie wyglądali zaopatrzenia".

Z braku możliwości dostarczenia ciepłych mundurów w należytej ilości kwatermistrzostwo przesyłało instrukcje pouczające żołnierzy jak mają radzić sobie na własną rękę. Podczas walk o Stalingrad żołnierze Wehrmachtu otrzymywali tego typu instrukcje: „Pomocnicze sposoby ochrony przed zimnem. Wyścielić hełm od wewnątrz filcem – najlepiej górną częścią starego filcowego kapelusza – w ostateczności użyć chusteczki lub zmiętego gazetowego papieru. Rzemyków nie zapinać, aby nie utrudniać krążenia krwi. Papier gazetowy ułożony w kilku warstwach zapewnia doskonałą izolację przed zimnem. Dlatego warto zawsze mieć go pod dostatkiem. Ponadto, jako pomocnicze środki ochrony przed zimnem, przekazuje się oddziałom w dostatecznej ilości: papierowe czapki, papierowe kamizelki, papierowe onuce, papierowe wkładki do butów, papierowe śpiwory (umieszczać między bielizną a odzieżą wierzchnią), papierowe podkładki".

W innej instrukcji pouczano żołnierzy, aby w chwilach odczuwania zimna nie koncentrować myśli na tym doznaniu, a zamiast tego myśleć o czymś przyjemnym. Można jedynie domyślać się, jaką irytację frontowców musiała wywoływać lektura takich opracowań. Treść tego rodzaju zaleceń wyśmiewała też radziecka propaganda, rozpowszechniając ulotki i karykatury niemieckich żołnierzy dygoczących z zimna i otulonych w stare gazety, a rysunki te uzupełnione były podpisami „nowe niemieckie umundurowanie zimowe" i podobnymi. Sam Guy Sajer, który na własne oczy oglądał prze-

Wärmebeutel – hitlerowskie antidotum na rosyjski mróz. Pakiety grzewcze mieściły się do kieszeni munduru, można więc było teoretycznie wypchać nimi odzież, która ogrzewała ciało. Ilość dostarczonych na front pakietów była jednak kroplą w morzu potrzeb.

Brytyjska armia używała indywidualnych termosów. Używali ich m.in. komandosi, w tym Polacy, działający w nieprzyjaznych warunkach.

www.odkrywca.pl

ładowane magazyny, sam niedługo po tym doświadczył braku ciepłej odzieży na własnej skórze:

„Świt przyniósł jeszcze większy mróz. Wełniane rękawice, które pobraliśmy przed wyjazdem, były już do niczego. Zawijaliśmy piekące od mrozu ręce w jakieś gałgany albo zapasowe skarpety. Pomimo machania łopatą ziąb był nie do wytrzymania. Uderzaliśmy dłońmi o biodra i tupaliśmy nogami, aby pobudzić krążenie. Kapitan, litując się nad nami, polecił podgrzać lurowatą kawę. Gorący płyn podawano nam natychmiast do picia. Spotkało się to z pozytywną reakcją, gdyż na śniadanie jedliśmy tylko zamarznięty biały ser. Kapral z kantyny ogłosił właśnie, że zawieszony na zewnątrz jego ciężarówki termometr wskazuje trzydzieści jeden stopni mrozu".

Alkohol, ogień i ogrzewacze

Wobec niewystarczającej ochrony przed zimnem żołnierze szukali dodatkowych możliwości rozgrzania się. Pierwszym przychodzącym na myśl sposobem był dostępny na froncie alkohol, lecz choć dawał on krótkotrwałą i raczej iluzoryczną rozgrzewkę, w dalszej perspektywie jego spożywanie przynosiło skutki odwrotne do zamierzonych. Alkohol rozrzedza krew oraz rozszerza naczynia krwionośne i w efekcie szybciej doprowadza do wychłodzenia organizmu i zamarznięcia, zwłaszcza na otwartym terenie. Najprostszy sposób – ogrzanie się przy ognisku – było problematyczne z wielu powodów. Ogień, zwłaszcza w nocy – a więc wtedy gdy jest najzimniej, a pokusa rozpalenia ogniska największa – może zdradzić pozycje i ściągnąć ostrzał wroga. Jeszcze bardziej prozaiczną przeszkodą był brak opału. Na bezludnym stepie skutym lodem nie było nawet czego palić. Próbowano czasem rozgrzewać się przy płonącej benzynie, tu jednak rodziły się kolejne problemy. Paliwo bardzo szybko się wypala, w dodatku jego zapas zwykle zarezerwowany był dla zachowania mobilności nielicznych, wciąż działających pojazdów.

Środkiem zaradczym były różnego typu ogrzewacze wydawane żołnierzom. Podczas pierwszowojennych walk w Karpatach do austro-węgierskich oddziałów trafiły prymitywne ogrzewacze w postaci płaskich pojemników wykonanych z drucianej siatki, obciągniętych suknem. Do środka należało wrzucić nieco żaru z ogniska, a trzymany w dłoniach pojemnik pozwalał ogrzać przez pewien czas dłonie nawet z dala od ogniska, na wysuniętej placówce. Podczas drugiej wojny światowej do niemieckich oddziałów na froncie wschodnim trafiły chemiczne pakiety grzewcze, które miały postać papiero- >>>

O szczęściu mogli mówić ci z niemieckich żołnierzy, którzy przeżyli zimę w miastach. Zrobione gdzieś na froncie wschodnim zimowe zdjęcie pokazuje personel kuchni polowej umieszczonej w murowanym budynku. Zwracają uwagę zimowe buty żołnierzy.

Termosy Stabilotherm D.R.P. były niezłym wynalazkiem, jednak podobnie jak pakiety grzewcze, zbyt nielicznym. Próżno by szukać ich wśród mas marznącej na froncie wschodnim piechoty. Popularne były natomiast wśród załóg samolotów dalekiego zasięgu patrolujących północne morza w poszukiwaniu alianckich konwojów zmierzających do Związku Radzieckiego.

1

2

3

4

5

>>> wych torebek wypełnionych środkiem wydzielającym temperaturę w wyniku reakcji z wodą. Do saszetki należało dodać dwie łyżki stołowe wody lub trzy łyżki śniegu. Przed laty nienaruszone pakiety tego typu znajdowano w okolicach lotniska w Krośnie, skąd drogą lotniczą całe skrzynie tych produktów transportowano na front rosyjski.

Historyk Janusz Piekałkiewicz przytacza dalsze instrukcje hitlerowskiego kwatermistrzostwa: „Oprócz wroga, zimą największe zagrożenie dla życia i siły bojowej stanowi mróz, wilgoć oraz wiatr. Jeśli chcemy prawidłowo okryć się dwoma kocami, należy umieścić między nimi kilka gałęzi albo części garderoby lub cokolwiek innego, aby między kocami powstała wolna przestrzeń wypełniona powietrzem. Wtedy pod kocami jest znacznie cieplej. Wskazane jest też rozkładanie kocy nie na gładko, lecz pofałdowanych, ponieważ także wtedy tworzy się przestrzeń wypełniona powietrzem. Ciepło ciał można szczególnie dobrze wykorzystać, kiedy kładziemy się po kilka osób bardzo blisko siebie, wspólnie się przykrywając. Dla lepszej ochrony przed zimnem można wypychać osłony twarzy, kaptury i hełmy skarpetkami lub chustkami do nosa albo papierem. Dla ochrony nosa i policzków można obwiązać twarz wypchaną opaską z materiału, która ma pośrodku wybrzuszenie na nos jak karnawałowa maska".

Żywność zimą

Wraz z mrozem żołnierzy dziesiątkował głód. Brak pożywienia jest katastrofalny w każdych warunkach, ale właśnie w zimie osłabia on ludzki organizm o wiele bardziej niż w ciepłych miesiącach. Potwierdzają to oficjalne instrukcje dla służb tyłowych Wehrmachtu: „Wyżywienie zimą – uwagi ogólne. W okresie zimowym oddziały muszą częściej niż w lecie otrzymywać ciepłe pożywienie i gorące napoje. Należy dążyć do częstego wydawania gorących zup na śniadanie i kolację. Należy stale dysponować gorącą wodą do wydawania ciepłych napojów. Im większy mróz, tym większa powinna być zawartość tłuszczu w pożywieniu."

1 Zimowa aura w naturalny sposób owocowała licznymi przeziębieniami. Na zdjęciu butelka syropu Tussipect, sygnowana patentem Rzeszy – DRP.

2 Puszka szeroko reklamowanych w prasie Wehrmachtu cukierków na kaszel Wybert. Produkty takie żołnierze kupowali sami lub dostawali w paczkach z domu.

3 Przenośny piecyk okopowy na benzynę marki Katalyt, reklamowany przez producenta jako „słońce w zimie". Był niezbędnym elementem wyposażenia ziemianki na wschodzie.

Rzecz jasna, treść takich zaleceń była raczej myśleniem życzeniowym, zgoła dalekim od frontowych realiów. I znów, podobnie jak w przypadku ciepłych mundurów, problemem nie był fizyczny brak odpowiedniej żywności, lecz niemożność regularnego jej dostarczania do wszystkich oddziałów. Gdy żołnierze umierali z braku pożywienia, spore jego ilości marnowały się w oddalonych od frontu magazynach. Tak było m.in. podczas walk w Stalingradzie. W książce Janusza Piekałkiewicza „Stalingrad - anatomia bitwy" czytamy:

„Sytuacja zaopatrzeniowa 6 armii staje się natomiast coraz bardziej krytyczna. (...) Tymczasem składy pod Rostowem pękają od gigantycznych zapasów mąki pszennej i masła, których nie ma jak rozdzielić. Zamiast wysokokalorycznego pożywienia armia otrzymuje przeważnie zamarznięte na kość świeże mięso i tony konserw warzywnych".

Czasem jednak do niemieckich żołnierzy uśmiechał się los.

„Skierowaliśmy się do kuchni polowej, której dwa paleniska wyrzucały kłęby dymu" – opisuje Guy Sajer. „Pierwszych chętnych na menażkę zupy kucharz zatrudnił przy garach. Facetowi nic nie można było zarzucić. Jego umiejętności

fot. Tomasz Bienek

www.odkrywca.pl

kulinarne były na tyle wystarczające, że nie mogliśmy się skarżyć na kuchnię. Jedynym osobliwym zjawiskiem było to, że zawsze do każdego dania dodawał ten sam rodzaj sosu na bazie mąki".

Bez zbędnego usprawiedliwiania niemieckiej logistyki, należy więc dodać, że nie należy zawsze patrzeć na zimowe zaopatrzenie Wehrmachtu przez pryzmat bitwy o Stalingrad, która stanowi przykład ekstremalny. Wysiłki wojsk transportowych, by dostarczyć choćby minimalne ilości zaopatrzenia, były równie heroiczne co walka z bronią w ręku. Guy Sajer opisuje swój własny udział w konwoju pojazdów, który niczym okręt wśród arktycznych wód przemierza lodowy bezkres usiany jedynie wrakami rozbitych pojazdów.

„Sytuację pogarszał brak żywności. Jedzenie było ubogie w kalorie. Z Mińska, skąd wyruszyliśmy, aż do Kijowa, pierwszego etapu naszej trasy, było około czterystu kilometrów. Ze względu na rozmaite przeszkody, na jakie mogliśmy natrafić w podróży, wydano nam żywność na pięć dni. Dystans ten pokonaliśmy w przeciągu ośmiu dni, czyli byliśmy zmuszeni naruszyć zapasy żywności, jaką wieźliśmy dla walczących żołnierzy. W międzyczasie na trzydzieści osiem pojazdów naszej Rollbahngruppe 126 trzy miały awarie i musieliśmy z nich zrezygnować. Zniszczyliśmy je wraz z ładunkiem, aby nie wpadły w ręce partyzantów" – opisuje weteran.

Gdzie spać?

Kolejnym istotnym problemem był brak odpowiednich kwater, w których można by w miarę bezpiecznie przespać się po służbie, nie ryzykując zamarznięcia. Szczególnie trudna była sytuacja oddziałów dosłownie bytujących w polu. Żołnierz wojsk transportowych Guy Sajer wspomina, że często pojazdy stawały się podczas postoju jedynym bezpiecznym miejscem noclegu:

„We wnętrzu kabin, których szyby były kompletnie oszronione, dostrzegałem tu i ówdzie czerwonawy odblask palącej się fajki lub papierosa. Przeskoczyłem przez klapę swojej ciężarówki i zacząłem szukać w ciemnościach plecaka i menażki. Trzymając naczynie w zgrabiałych palcach, łapczywie połknąłem coś obrzydliwego, a na dodatek jeszcze lodowatego, co przypominało puree z soi. Było to tak ohydne, że wyrzuciłem resztę na śnieg. W zamian odpakowałem jedną rację żywnościową, którą pochłonąłem w oka mgnieniu".

William Lubbeck miał nieco więcej szczęścia. Na jego odcinku front zamarł na długie miesiące, wojsko miało więc czas na wybudowanie w miarę wygodnych ukryć. Weteran, przytaczając szczegóły konstrukcyjne schronów oraz procedurę ich budowania, stwierdza, że choć nie dawały one dużych szans przeżycia w przypadku bezpośredniego trafienia ciężkim pociskiem artyleryjskim, to zapewniały należytą ochronę przed znacznie większym i stale panującym niebezpieczeństwem – zabójczym mrozem.

„Z podłogą z ubitej ziemi, pryczami, stołem i piecykiem opalanym drewnem tyłowe schrony były prymitywne, jednak stanowiły wygodną kwaterę dla czterech lub sześciu żołnierzy" – czytamy w jego wspomnieniach „U bram Leningradu".

Niemieckie oddziały walczące na południu Rosji musiały radzić sobie w gorszej sytuacji. Wynikające z wojny manewrowej przemieszczanie się oddziałów skutkowało ciągłymi zmianami miejsca postoju, nie było więc czasu na należyte przygotowanie miejsca do odpoczynku.

„Czasem był to urządzony, przygotowany przez wojska inżynieryjne barak, czasem chata lub jakikolwiek dom – wspomina zimę 1942 roku Guy Sajer. – Nierzadko pięćdziesiąt chłopa gnieździło się w budynku przeznaczonym dla małżeństwa z dwojgiem dzieci. Nadal najlepszym rozwiązaniem okazywały się obszerne namioty przygotowane specjalnie na kampanię rosyjską. Były wysokie i spiczaste jak indiańskie wigwamy, a do tego nieprzemakalne. Każdy z nich był przeznaczony dla dziewięciu osób. Zazwyczaj mieściło się nas tam dwudziestu. W każdym razie mieliśmy ich zbyt mało. Na szczęście, kiedy było zimno, rzucaliśmy się na nasze racje żywnościowe, a dzięki wystarczającej ilości jedzenia jakoś udało nam się przetrwać. Myliśmy się tylko wtedy, kiedy było to możliwe, czyli rzadko. Niektórych kolegów oblazło robactwo i pierwszą rzeczą po powrocie do Mińska było przeprowadzenie dezynfekcji.

CDN. <

4 Zdjęcie wykonane gdzieś w Rosji podczas zimy, o czym świadczą sople obok szyldu. Gdyby nie tysiące takich – z pewnością sier-miężnych – placówek, straty wśród walczących oddziałów byłyby jeszcze wyższe. W takich miejscach żołnierz miał szansę zjeść gorący posiłek, umyć się, a czasem zaznać snu w komfortowych na miarę możliwości warunkach.

5 Puszka pastylek na przeziębienie Flavona Norgine, wyprodukowana w Protektoracie Czech i Moraw.

Alkohol jako środek rozgrzewający bardziej szkodził, niż pomagał, pomimo to zdesperowani żołnierze często korzystali z tej furtki zwłaszcza podczas I wojny światowej. Butelka austro-węgierskiej wódki przypomina zaciekłe zimowe boje w Karpatach, a idylliczny obrazek na etykiecie jest zgoła daleki od zapomnianej już dziś masakry zimowego frontu z lat 1914-1915.

Tomasz Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

LITERATURA I ŹRÓDŁA:

GUY SAJER **„Zapomniany żołnierz"**, Wydawnictwo L&L Gdańsk 2001

WILLIAM LUBBECK **„U bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza Grupy Armii Północ."** Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009

JANUSZ PIEKAŁKIEWICZ **„Stalingrad. Anatomia bitwy"** Agencja Wydawnicza Morex Warszawa 1995

TWIERDZA POZNAŃ
I POCZĄTKI MIOTACZY PŁOMIENI

ARTUR JACOLIK

Komendant poznańskiej straży pożarnej – dr Bernhardt Reddemann – postanowił wykorzystać ogień przy obronie fortu IV Twierdzy Poznań.

W sztuce wojennej ogień był wykorzystywany praktycznie od zawsze. Najczęściej stosowano go do niszczenia miast, urządzeń obronnych, oblężniczych czy też floty, ale także do eliminowania siły żywej.

Już w średniowieczu zaczęto doceniać jego wartość bojową. Szczególną sławę zyskał wtedy tzw. grecki ogień, zwany również bizantyjskim, morskim lub rzymskim. Jego autorstwo przypisuje się Kallinikosowi, inżynierowi z Heliopolis. Pierwszą wzmiankę o zastosowaniu bizantyjskiego ognia możemy znaleźć w dokumentach opisujących oblężenie Konstantynopola przez Arabów w 674 roku, jednak broń tę zapewne znano już wcześniej. Wówczas do niszczenia floty przeciwnika użyto płynnej mieszanki, rozlewanej za pomocą pomp i połączonych z nimi rurami. Pełny skład substancji do dzisiaj nie został odkryty, wiadomo natomiast, że bazę stanowiły m.in. ropa naftowa, siarka oraz saletra. W następnych wiekach technika walki ogniem była w powszechnym użyciu, ale samej koncepcji ognia greckiego nie rozwijano.

Fort IX. Pierwszy z wybudowanych obiektów twierdzy fortowej Poznań. W 1886 roku brał udział w ćwiczeniach zdobywania twierdzy, podobnie jak Fort IV w 1907 roku.

XX-wieczny „grecki ogień"

Jedną z postaci, która odegrała decydującą rolę w powstaniu nowoczesnego miotacza płomieni, był, niedoceniany dziś, niemiecki inżynier – Richard Fiedler. W 1901 roku zastrzegł patent pod tytułem „Verfahren zur Erzeugung grosser Flammenmassen" (Np. Patentschrift 42243, Schweizerischer Eidgenossenschaft), opierający się na >>>

rys. A. Jacolik

www.odkrywca.pl

SCHEMAT PODZIEMI FORTU IV.

Na czerwono zaznaczono możliwe
miejsca eksperymentu dr Reddemanna:
1 – blokhauz na placu broni;
2 – kaponiery barkowe;
3 – rewersowa kaponiera czołowa;
4 – koszary szyjowe.

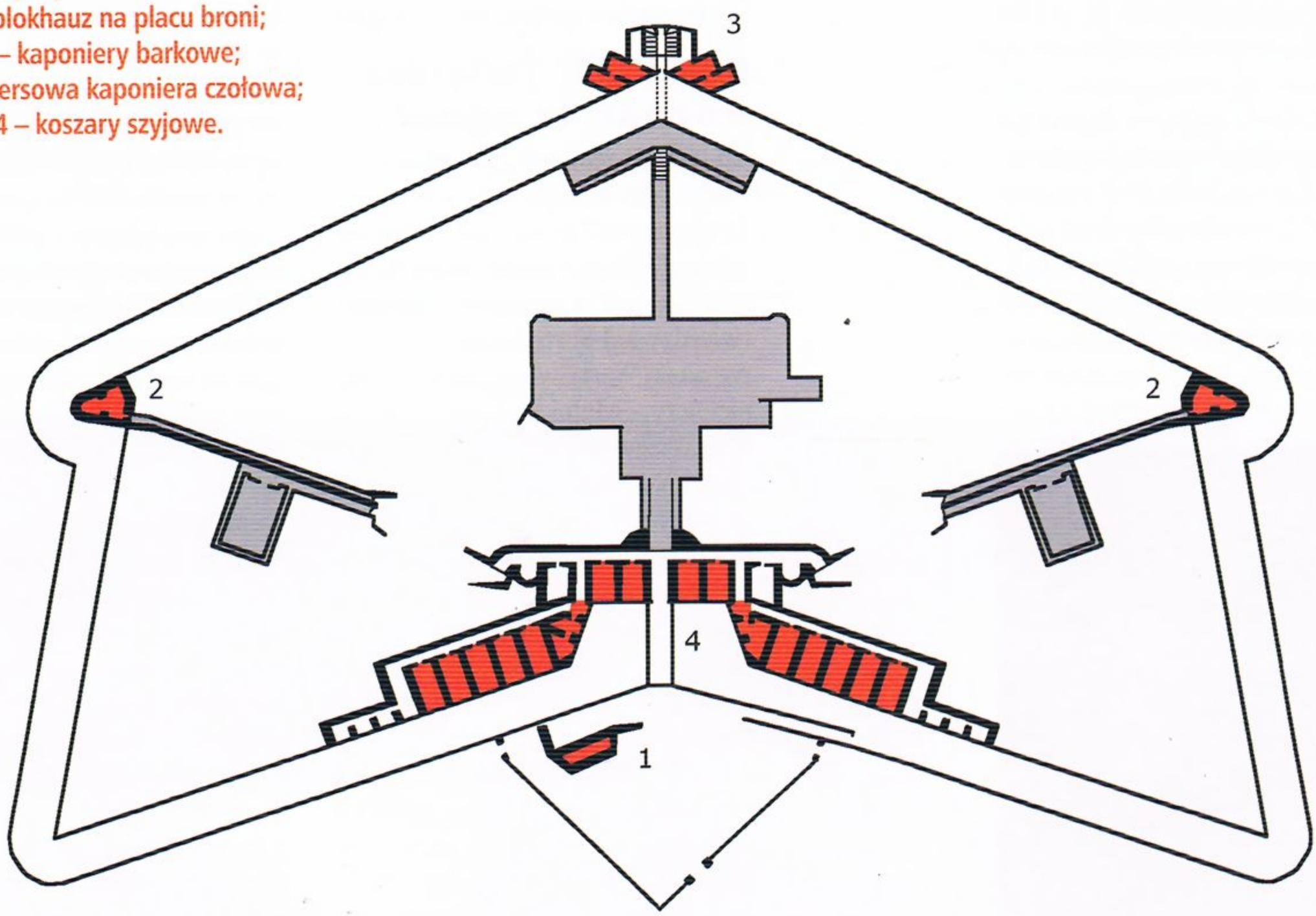

SCHEMAT FORTU IV – część naziemna.

Na czerwono oznaczono możliwe
miejsca eksperymentu dr Reddemanna:
kropki – stanowiska na wale artyleryjskim;
linia ciągła – wał piechoty.

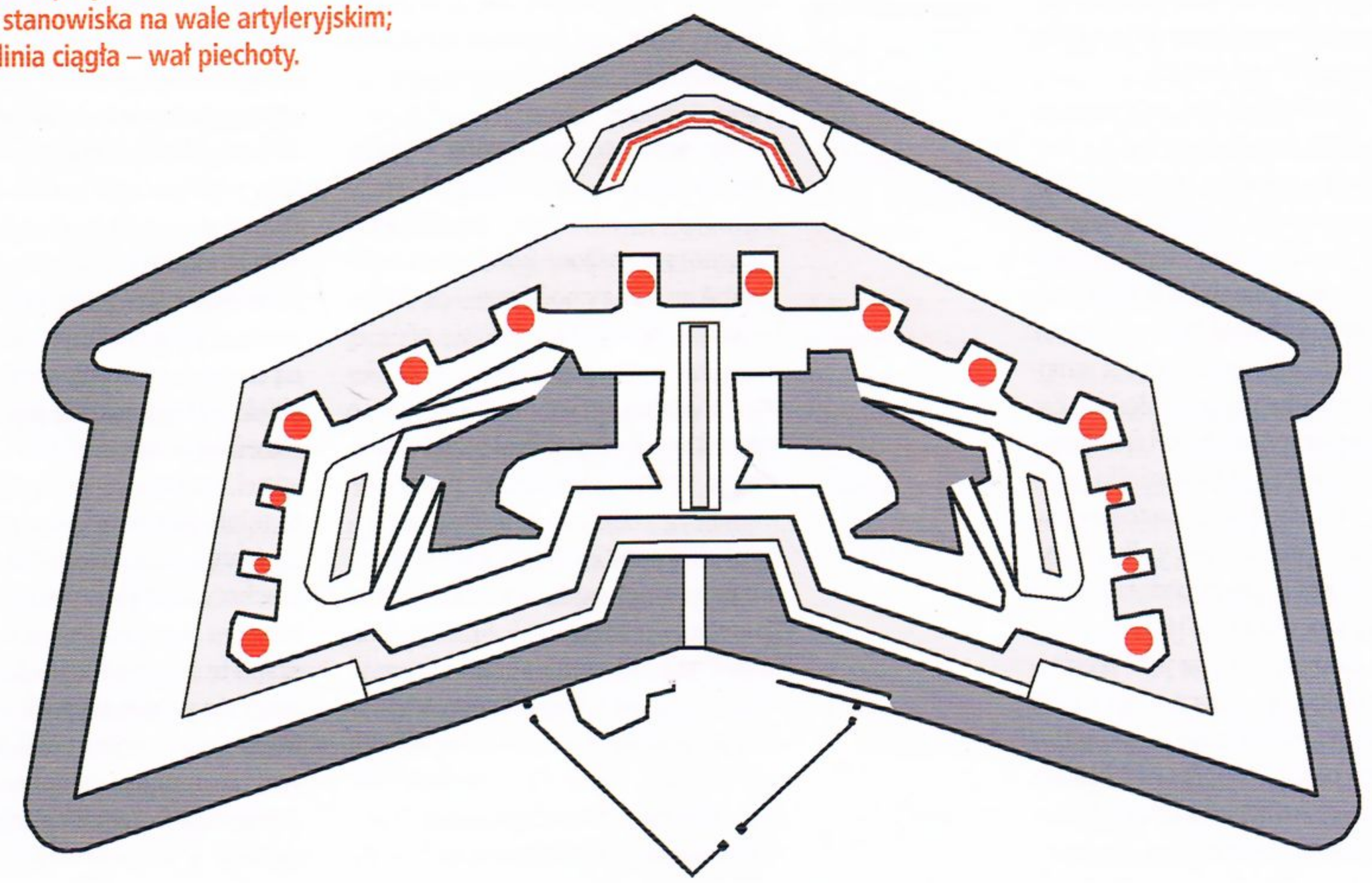

>>> pomyśle spryskiwania terenu materiałem łatwopalnym. Było to możliwe dzięki rozpyleniu pod ciśnieniem łatwopalnej cieczy, lżejszej od wody. U wylotu węża znajdował się zapłon, od którego zapalała się mieszanka. Dodatkowo Fiedler załączył do opracowania rysunek butli gazowej, podłączonej do pojemnika, przypominającego późniejsze duże, ciężkie miotacze ognia typu GROF. Według schematu, można było wypuszczać ciecz nawet pod wodą, gdyż będąc lżejszą, substancja miała wypływać na wierzch i zapalać się do-

Dr Bernhard Reddeman jako komendant poznańskiej straży pożarnej. Fragment zdjęcia z 1906 roku, zbiory Wielkopolskiego Muzeum Pożarnictwa w Rakoniewicach.

piero wówczas. Odkrycie Fidlera mogło okazać się przełomem, dzięki któremu piechota miałaby dodatkowy środek zdobywania punktów umocnionych piechoty.

W celu zdobycia należytego wsparcia dla swojej inicjatywy i z chęci dalszego rozwoju projektu, Fiedler zaprezentował swój wynalazek przed Pruskim Komitetem Inżynieryjnym w Berlinie w 1905 roku. Komitet ustosunkował się pozytywnie do pomysłu inżyniera, jednak wnioskował o usunięcie paru błędów. Zainteresowanie tematem i fakt przyspieszenia prac potwierdziło pojawienie się informacji o zastosowaniu płynnego ognia podczas walk o fortyfikacje Portu Arthura podczas wojny japońsko-rosyjskiej 1904-1905, gdzie użyto „granatów olejowych" po stronie rosyjskiej, a po stronie japońskiej prymitywnych, ręcznych pomp tłoczących olej („Reports of Military Observers Attached to the Armies in Manchuria during Russo-Japanese War, part III", s.192). W tym czasie na pierwszy plan wysunęła się Twierdza Poznań, jako miejsce związane z kolejnym etapem rozwoju miotacza ognia.

Rok 1907: Twierdza Poznań w ogniu

Od 15 do 21 września 1907 roku, w Poznaniu odbywały się wielkie ćwiczenia forteczne pod nazwą „Festungskriegsübung". Miały miejsce na północno-wschodnich przedpolach i rejonach twierdzy (od Fortu III na Białej Górze aż do Warty w rejonie strzelnicy piechoty – Małpiego Gaju). Wizytowali je najwyżsi rangą dowódcy wojskowi np. Szef Korpusu Inżynierów i Pionierów – gen. Beseler, Szef Sztabu Generalnego – gen v. Moltke, Szef Kwatermistrzostwa – gen. Scholtz; łącznie ponad 60 generałów oraz oficerów wyższego szczebla. Przybył także Cesarz Wilhelm III, który miał odwiedzić Fort III oraz IV. Ćwiczono zdolności operacyjno-taktyczne i techniczne, ale także zdobywanie umocnień tego odcinka, a także symulowano obronę z udziałem stacjonującego w Poznaniu V Korpusu Armii. W dniu 19 września, w związku z systematycznym cofaniem się obrońców z przedpola twierdzy, napastnicy osiągnęli bezpośredni rejon linii fortów (E. Wolbe, „Alexander von Kluck – Lebensbild", s. 85). Przystąpiono do jego szturmu.

Do przygotowań obrony jednego z fortów tego odcinka – Fortu IV Hake (określanego jako Fort Glowno/ Fort Gluwno) zaproszono komendanta poznańskiej straży pożarnej – dr Bernhardta Reddemanna. Jak się później okazało – był to pierwszy krok w kierunku udanej kariery wojskowej tego strażaka. Jak wspomniał sam Reddemann, został poproszony przez dowodzącego obroną, gen. Issendorfa, tymi słowami: „w ciągu najbliższych dni napastnicy będą szturmować fort [Glowno – przyp. Aut.]. Musi go Pan bronić tak, aby atak został odparty! Musi teraz Pan coś nowego wymyślić, żeby szturm się nie powiódł. Jak to Pan zrobi, to już Pana sprawa" (B. Reddemann, „Geschichte der deutschen Flammenwerfertruppe", s. 9). Pomijając to, w jaki sposób rzeczywiście został wezwany Reddemann do przejęcia kontroli nad obroną, faktem jest, że został zaangażowany w działania.

Sam fort był pięciokątnym fortem artyleryjskim, stworzonym na przełomie lat 70. i 80. XIX wieku (z powodu wysadzenia obiektu trudno oszacować lata budowy – można jedynie orientacyjnie wskazać skrajne daty: 1878-1883). Głównym elementem był wał artyleryjski, który posiadał 13 stanowisk, przedzielonych trawersami (niektóre skazamatowane). Do fortu można było dotrzeć, wjeżdżając na trójkątny plac broni, broniony przez blokhauz, a następnie pomostem nad fosą do koszar w szyji obiektu. Tutaj łącznie w 28 pomieszczeniach (na dwóch piętrach) mieściły się izby koszarowe, telegraf, kuchnia czy też piekarnia forteczna. Stąd można było dotrzeć poterną do obszernej podwalni, w której mieściły się pomieszczenia, gdzie przygotowywano m.in. pociski artyleryjskie. Z podwalni prowadziły wyjścia na dwa majdany, skąd można było się udać na otaczające je wał artyleryjski, bądź wejść do potern do kaponier i prochowni w barkach fortu. Obiekt wielokrotnie modernizowano, dodając w przedniej części fortu niewielki wał piechoty, dodano pancerne stanowiska obserwacyjne – W.T.90 (Wachtturm 90 – obserwatora piechoty) oraz jedno P.B.St 87 (Panzerbeobachtungsstand 87 – obserwatora artylerii) czy też przebudowano kaponierę skarpową na rewersową, w przeciwskarpie (uwzględnioną na planie). Na północny zachód od obiektu znajdował się plac ćwiczeń, określany czasami także jako plac strzelań artyleryjskich. Załogę fortu miała pierwotnie stanowić obsada w wysokości około 700 żołnierzy piechoty i artylerzystów. W miarę rozwoju metod pola walki, zmniejszano tę liczbę i rozśrodkowywano artylerię na międzypola. Podczas II wojny światowej fort pełnił rolę magazynu amunicji, natomiast w latach powojennych został całkowicie wysadzony oraz rozebrany i dziś trud-

fot. A. Jacolik

www.odkrywca.pl

no rozpoznać poszczególne części dzieła obronnego.

Reddemann będąc strażakiem, zaznajomionym z żywiołem ognia, postanowił wykorzystać go przy obronie powierzonego mu dzieła fortecznego, na co uzyskał zgodę Dowódcy Twierdzy. Jako dyrektor straży pożarnej zatrudnił strażaków, którzy sprowadzili na fort pompę parową; tę wprowadzono do jednego z pomieszczeń. W pobliskiej izbie ustawiono także beczkę – pojemnik z benzyną. Niestety, Reddemann nie okre-

płyny zapalne, na co zwrócił uwagę także Reddemann, zaznaczając, iż są one bardzo lekkie. Przeprowadzono jeszcze doświadczenia z innymi mieszankami łatwopalnymi, jednak Reddemann nie wskazuje ani ich nazwy ani składników.

Ponieważ parę dni później odbywał się zapowiedziany szturm samego fortu, zakazano wówczas używania czy to ognia, czy też samych strumieni wodnych. Obawiano się, że nieprzygotowani żołnierze piechoty, dostający się niespodziewanie

wielkości: Grof i Kleif (F. Koch, „Flammenwerfer des deutschen Heeres bis 1945", Waffenarsenal, nr 154, s. 5), które na zawsze już ukierunkowały rozwój tej broni i wkroczyły na arenę I wojny światowej jako jedne z najokrutniejszych broni ludzkości. Gdy wybuchła „oczekiwana" Wielka Wojna, dr Bernhard Reddemann przebywał w Dreźnie, gdzie był komendantem tamtejszej straży pożarnej. Nie przeszkodziło mu to jednak zostać dowódcą 2. Kompanii 29. Poznańskiego Bata-

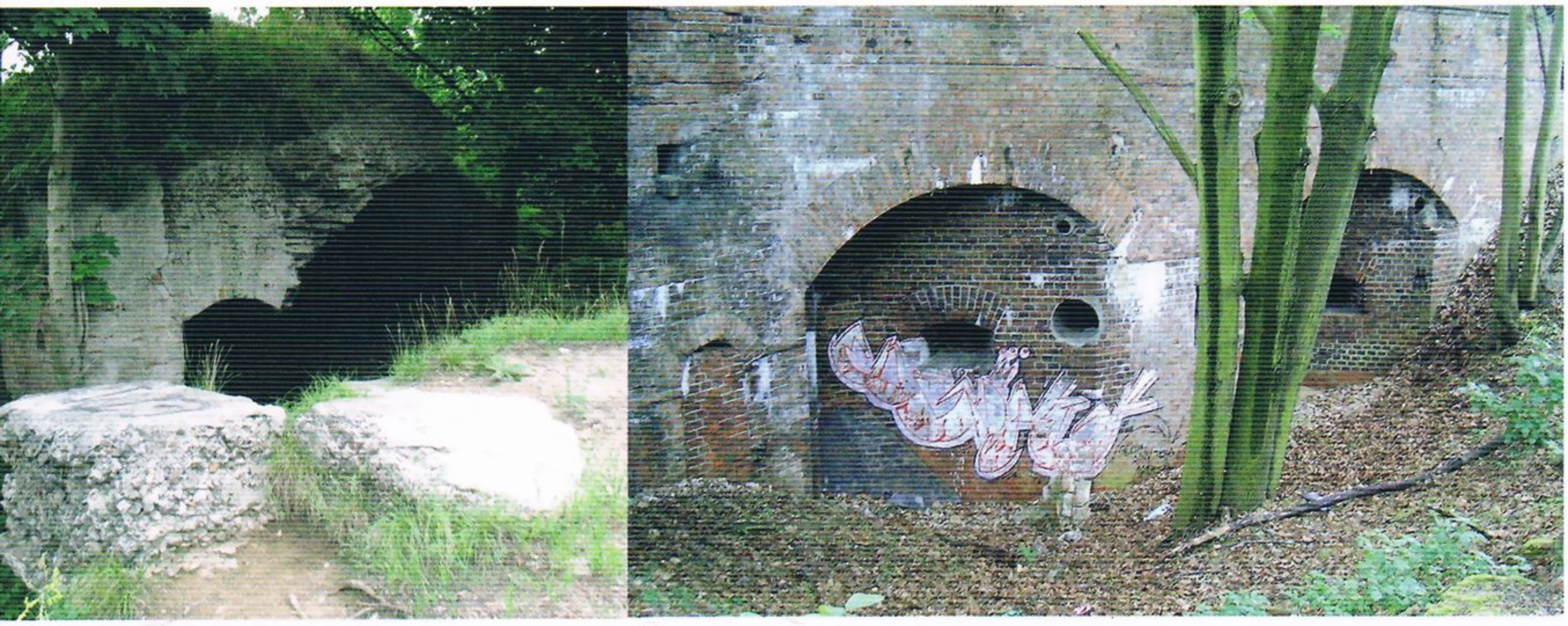

śla dokładniej lokalizacji urządzenia, jednak mogły to być pomieszczenia przydatne przy bezpośredniej obronie fortu: kaponiera czołowa (położona w przeciwskarpie), kaponiery barkowe bądź koszary szyjowe (z których łatwiej flankować pomost do wjazdu głównego fortu).

Doświadczenie miało przebiec prawidłowo, co wyraźnie podkreślił Reddemann w swoich wspomnieniach (B. Reddemann, „Geschichte der"..., s. 9). Uzyskano odpowiedni promień płonącej mieszanki, wydostającej się z węża. Następnie przeprowadzono kolejne próby. Wykonano pozycje polowe, wykopane w wale fortu, oraz nakryte cegłami stanowiska „strzeleckie" przeznaczone dla operatora-strażaka. Następnie puszczono promień wodny, który, przelatując nad fosą obiektu, sięgnął drogi krytej fortu. Warto jednak zauważyć, że woda posiada inną gęstość niż

pod strumień wody, mogą ze strachu uciekać zbyt gwałtownie i połamać nogi (patrząc na skutki pierwszej bitwy z użyciem miotacza, opinia ta nie była wcale przesadna).

Co ciekawe, prowadzono doświadczenia tylko w ramach obrony fortyfikacji. Nie podjęto natomiast prób (bądź brak na ten temat informacji) w zakresie zdobywania umocnień. Jak się potem okaże, używano miotaczy płomieni jedynie jako broni czysto defensywnej, przy zdobywaniu umocnień polowych oraz fortyfikacji stałych (np. Fort Vaux w Verdun).

Rok później doszło do spotkania Fiedlera z Reddemannem, które zaowocowało współpracą nad nowoczesnym miotaczem ognia. Niestety sława pioniera w tej dziedzinie przypadnie w udziale jedynie Reddemannowi.

W latach 1912-1913 pojawiły się pierwsze modele miotaczy dwóch

Nieliczne czytelne pozostałości Fortu IV – schron pogotowia na wale głównym.

Kaponiera czołowa Fortu IV – jeden z niewielu ocalałych elementów obiektu.

lionu Pionierów po zmarłym Hptm Schinku (A. Leipold, H. Trobst, „Das Posnensche Pionier – Bataillon Nr 29 und seine Kriegsformationen", s. 437, 501). Znajdował się także w sztabie I Batalionu (obie funkcje pełnił od września do początku listopada 1914). Notabene, w tym samym Batalionie służył również Leutnant von Schaewen, który w późniejszym „Ehrenbuch der deutschen Pioniere" („Księga pamiątkowa niemieckich pionierów") – już jako Hauptmann – napisze podrozdział pt. „Der erste Flammenwerferangriff" („Pierwszy atak miotaczy płomieni").

Pod koniec roku 1914, (formalnie powołana w Berlinie 18 stycznia 1915 r. – F. Koch, „Flammenwerfer...", s. 8), powstała specjalna komórka nazwana „Die Flammenwerferabteilung Reddemann" („Oddział miotaczy płomieni Reddemann") – w ramach grupy 5. Armii. >>>

www.odkrywca.pl

>>> Było to możliwe dzięki zdobyciu patronatu głównodowodzącego Sztabem 5. Armii – następcy tronu, księcia Wilhelma. Do Flammenwerferabteilung należało 48 osób: strażaków oraz chętnych do służby. Reddemann szczególnie podkreślał wagę tych pierwszych, wskazując na ich doświadczenie w pracy z ogniem. Początkowo Sztab Generalny był niechętny użyciu tego typu broni, jednak po ostatecznym sformowaniu oddziału i skierowaniu go na front, pozostawało jedynie oczekiwać na odbycie egzaminu bojowego. Doszło do niego dnia 26 lutego 1915 roku, koło Malancourt, na północ od Verdun (D. von Schaewen, „Der Erste Flammenwerferangriff, Ehrenbuch der deutschen Pioniere", s. 525).

Czas miotaczy płomieni

Do ataku pod Malancourt użyto w sumie 12 miotaczy płomieni, w tym 2 dużych, stacjonarnych rozpryskiwaczy autorstwa Fiedlera, ze 100-litrowym pojemnikiem gazowym, oraz 10 mniejszych miotaczy – mobilnych wersji, produkowanych przez Zakłady Przyrządów Pożarniczych Gustava Ewalda w Kostrzynie nad Odrą (b.a., „Feuer als Waffe – Teil 2: Der Flammenwerfer oder Ein Branddirektor prevertiert Feuerwehrtechnik", Museums – Depeche, nr 13, s. 18.).

Miotacze rozstawiono na odcinku 700 metrów w odstępach od 50 do 60 metrów. Okopy alianckie, leżące w odległości od około kilkunastu do 50 metrów od stanowisk niemieckich, były dobrym celem do ataku przy użyciu nowej broni, której zasięg sięgał średnio do 30 metrów. O godzinie 12.00 przystąpiono do ataku, korzystając ze wszystkich dostępnych na miejscu 12 urządzeń. Po jego zakończeniu, w okopach przeciwnika zostali jedynie polegli i ranni oraz spalone, porzucone w trakcie odwrotu elementy wyposażenia. Reszta żołnierzy uciekła w popłochu – przypuszczalnie w liczbie dwóch batalionów piechoty. Atak ogniem był na tyle skuteczny, że zajęto teren o głębokości około 600 m i szerokości do 2200 metrów, co w realiach wojny pozycyjnej było ogromnym sukcesem.

Pozytywny wynik egzaminu bojowego przełożył się na wzmocnienie oddziału m.in. o Oberleutnanta Wolfa (ze straży pożarnej w Lipsku) oraz kolejnych 20 ludzi. Krótko po tym, niewątpliwym sukcesie, odniesiono kolejne zwycięstwo przy pomocy miotaczy ognia – choć w nieco mniejszym zakresie. Walka toczyła się wówczas w Vauquois na północny-zachód od Verdun (B. Reddemann, „Geschichte der deutsche...", s. 14). 15 marca 1915 roku, po udanych próbach nowej broni, Reddemann otrzymał rozkaz z Naczelnego Dowództwa (Oberste Heeresleitung – dalej OHL) o przekształceniu z Oddziału Miotaczy Płomieni (Flammenwerferabteilung) w Batalion (Flammenwerferbataillon). Nowoutworzona jednostka otrzymała nazwę „III Garde-Pionier Bataillon" i podlegała bezpośrednio OHL, której musiała składać raporty z działań bojowych oraz postępów w udoskonalaniu sprzętu. Sam Bernhard Reddemann został dowodzącym w stopniu Hauptmajora i zobowiązany do raportowania wyników. Po roku, w kwietniu 1916 roku jednostka ta zostaje przekształcona już w pułk pionierów („Garde-Reserve-Pionier-Regiment"), który wkrótce będzie posiadał na stanie 3 bataliony po 4 kompanie pionierów, kompanię próbną oraz kompanię szkoleniową. Każdą z 4 kompanii wyposażono w około 30-40 mniejszych miotaczy oraz 12-15 dużych, wraz z niezbędnymi zapasami. Sprzęt ten przewożono na specjalnych wozach. Kompania próbna miała za zadanie prowadzić ciągłe badania nad ulepszeniami w poszczególnych modelach miotaczy. Wykonywała także prace czysto „warsztatowe" np. naprawy wyposażenia. Z czasem we Francji, przy sztabie pułku, powstał nawet warsztat produkujący nowe modele miotaczy ognia. Oprócz samych miotaczy płomieni, na wyposażeniu jednostek znajdowała się także broń ręczna, granaty ręczne, moździerze czy lekkie karabiny maszynowe.

28 lipca 1916 roku, w dowód uznania, z rozkazu Cesarza pułkowi został nadany charakterystyczny znak jednostki – trupia czaszka ze skrzyżowanymi kośćmi pod spodem. Odtąd żołnierze służący w kompaniach ogniowych mieli obowiązek nosić oznaczenie na lewym rękawie, co zresztą często widać na zdjęciach z okresu I wojny światowej. Dzięki niemu można nieraz określić datę robienia poszczególnych fotografii. >>>

Sikawka parowa z 1894 r. – tego typu maszyny użyto podczas ćwiczeń. Zbiory Centralnego Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.

www.odkrywca.pl

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

NIEMIECKIE MODELE MIOTACZY PŁOMIENI W OKRESIE I WOJNY ŚWIATOWEJ

GROF

W 1912/1913 – W POZNAŃSKICH WARSZTATACH STRAŻACKICH (F. KOCH, FLAMMENWERFER..., S. 5) – powstały pierwsze modele miotacza płomieni o dużej pojemności zbiornika – zwanego GROF M.1912 (skrót od Grosse Flammenwerfer) wzorowanego na projekcie Richarda Fiedlera. Z racji swojej pojemności – stu litrów płynnej mieszanki palnej – był przeznaczony do obrony własnych pozycji z pierwszej linii, a także do ataku na obiekty znajdujące się w dalszej odległości. Mógł wypuścić mieszankę pod większym ciśnieniem, w związku z czym posiadał większy zasięg – nawet do 40 metrów w czasie do 45 sekund. Częstą praktyką było łączenie poszczególnych zbiorników w celu uzyskania większego zasięgu płomienia. Początkowo na wyposażenie kompanii trafiało od 12 do 20 tego typu urządzeń, które cały czas unowocześniano. Z racji wielkości oraz ciężaru nie były zbyt poręczne, przez co nie nadawały się do walki w każdym terenie.

LEICHTGROF

W ROKU 1916, DZIĘKI DOWÓDCY KOMPANII DOŚWIADCZALNEJ – OBERLEUTNANTA LINDNERA – skonstruowano mniejszy model miotacza płomieni, który był lżejszy niż GROF i mógł być przenoszony przez dwie osoby. Posiadał taką samą formę jak poprzednik, jednak jego zbiornik miał niewielką pojemność.

KLEIF

JESZCZE MNIEJSZYM, BARDZIEJ MOBILNYM ODPOWIEDNIKIEM, BYŁ KLEIF (SKRÓT OD „KLEIN FLEMMENWERFER"), PRZEZNACZONY DO NOSZENIA NA PLECACH. Mimo małych gabarytów na jeden tego typu miotacz przypadała para żołnierzy, z których pierwszy był „tragarzem", a drugi operatorem węża. KLEIFy były o wiele lżejsze od GROFów – posiadały jedynie 10 litrów substancji łatwopalnej, przy czym wypuszczały łatwopalną mieszankę na dystans około 20 metrów w czasie do 20 sekund. Pierwotne miotacze posiadały kształt walca, do którego podłączano wąż. Z czasem były udoskonalane, dzięki czemu powstawały kolejne wersje KLEIFów: M.1914, M.1915, M.1916. Zmiany wprowadzano bardzo szybko, jako że kompania doświadczalna nieustannie modernizowała sprzęt.

WEX

CIĘŻAR KLEIFA (OKOŁO 40 KG) PRZYCZYNIŁ SIĘ DO SKONSTRUOWANIA W 1917 ROKU, NOWEGO TYPU MIOTACZA PŁOMIENI. WEX (Wechselsapparat) był znacznie lżejszy od swojego starszego odpowiednika (jego waga była porównywalna w stosunku do normalnego wyposażenia żołnierza, zawierał natomiast do 12 litrów mieszanki). Przypominał okrągły plecak, obsługiwany nadal przez dwie osoby („tragarza" i celowniczego). Składał się z dwóch części – półkolistej wewnętrznej oraz zewnętrznego pierścienia. Środkowy pojemnik zawierał azot, który dzięki rozprężaniu wypychał mieszankę na odległość do 25 metrów w czasie do 10 sekund. Zewnętrzny pierścień zawierał mieszankę palną. Na podstawie tego modelu rozwijano niemieckie modele miotaczy w okresie międzywojennym.

Znaczenie i rola miotaczy płomieni

O rosnącej popularności Flammenwerfer świadczy również fakt, że znalazły one swoje miejsce w nowoutworzonej formacji batalionu szturmowego słynnego Hauptmanna Will'ego Rohr'a (na początku również jako Sturmabteilung – oddział szturmowy, potem dopiero Sturmbataillon) już w 1915 roku, w czasie ich powstania. Oddelegowano wówczas pluton miotaczy ognia do tej jednostki.

Już podczas pierwszej wojny światowej doceniono miotacze ognia ze względu na dwa aspekty. Po pierwsze, bardzo dobrze i skutecznie eliminowały siłę żywą oraz urządzenia przeciwnika. Po drugie, ważniejsze, oddziaływały na psychikę atakowanych żołnierzy. Wytwarzany ogień i towarzyszący mu dym potęgowały lęk przed odniesieniem poważnych ran oraz świadomość powolnej śmierci, w cierpieniu. Ponadto ta sama broń motywowała i umacniała morale niemieckich żołnierzy, co podkreślał także Reddemann.

Warto jednak zaznaczyć, że broń ta nie zrewolucjonizowała pola walki. Jej użycie gwarantowało sukces w skali taktycznej, natomiast niekoniecznie w strategicznej. Siła oddziaływania w poszczególnych bitwach była duża, jednak nie wpłynęła znacząco na losy I wojny światowej, co jednak nie oznacza, że nie była to broń skuteczna. Przy 653 atakach z użyciem miotacza ognia – 82% zakończyło się powodzeniem. Trzeba również wziąć pod uwagę, że na szerszą skalę zaczęto używać tej broni dopiero w 1916. Rok wcześniej przeprowadzono zaledwie 15 tego typu ataków, w 1916 – już 160, 1917 – 165, a w 1918 – 296 (i to przez niecałe 11 miesięcy!). Doszło do nich na wszystkich frontach I wojny światowej w Europie (na zachodzie – najbardziej znany w Verdun na Forcie Vaux, na wschodzie – koło Baranowicz, na Bałkanach – Paralowo (Macedonia), także w Tyrolu (Monte Piano).

O tym, że była to broń przerażająca, świadczy zapis artykułu 171 Traktatu Wersalskiego:

„Ponieważ posługiwanie się gazami duszącemi, trującemi, lub tym podobnemi, jako też wszelkimi płynami, materiałami lub podobnemi sposobami jest zakazane, przeto fabrykacja ich w Niemczech i przywóz ich do Niemiec są surowo wzbronione" (Dz. U. 1920, nr 35, poz 200, http://isap.sejm.gov.pl/, data dostępu: 10 kwietnia 2016 r.)

Postanowienia Traktatu nie zakończyły jednak ery miotaczy płomieni. Były one bowiem używane zarówno podczas II wojny światowej, jak i po niej, przez niemal wszystkie armie świata. Prawdziwym chichotem historii jest fakt, że w szturmach na niektóre z fortów podczas oblężenia Poznania w 1945 roku przez Armię Czerwoną użyto właśnie miotaczy płomieni, w twierdzy, gdzie prowadzono pierwsze doświadczenia w obronie z użyciem Flammenwerfer...

Podziękowanie:

Chciałbym szczególnie podziękować p. Witoldowi Rewersowi, Wielkopolskiemu Muzeum Pożarnictwa w Rakoniewicach oraz Centralnemu Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach za pomoc w poszukiwaniu i udostępnieniu materiałów archiwalnych.

Artur Jacolik

Z zawodu historyk wojskowości, pasjonat fortyfikacji, w szczególności Twierdzy Poznań XIX i XX wieku jak i polskich umocnień międzywojennych.

www.odkrywca.pl

kolekcja ODKRYWCY

MASKA PRZECIWGAZOWA „SŁOŃ"
Model MUA używany w latach 70./80. XX wieku. Maski pochodzą z demobilu i nie mają atestu. Zestaw kompletny razem z oryginalną torbą. Dostępne w rozmiarach od 0 do 4.

15,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Poradnik bogato ilustrowany podpowiada wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych starych i zniszczonych wyrobów metalowych, w tym do tych wydobytych z ziemi.

35,50

Niezwykle elegancki PENDRIVE USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

36,-

Oryginalna SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

6,-

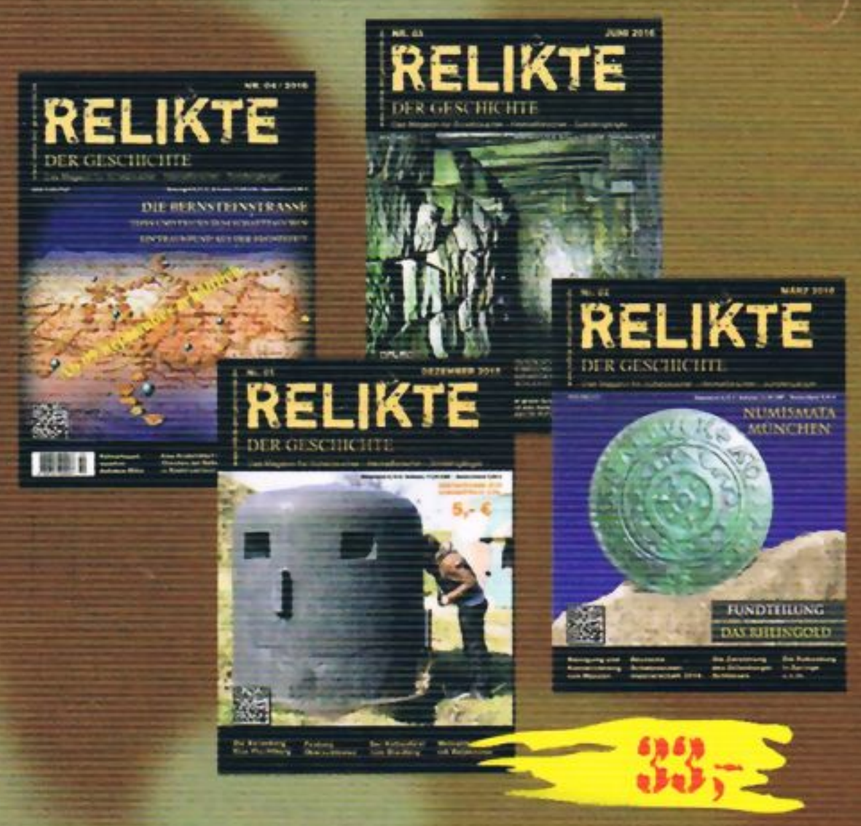

„RELIKTE DER GESCHICHTE"
- niemieckojęzyczny magazyn poświęcony eksploracji i archeologii amatorskiej przeznaczony dla wszystkich miłośników tajemnic i poszukiwań skarbów. Prezentowane artykuły dotyczą krajów europejskich a szczególnie Niemiec, Szwajcarii i Austrii.
W każdym numerze również temat z Polski.
Cena egzemplarza – 33,00 zł plus koszty wysyłki. Przy zamówieniu kompletu 4 numerów rabat w wysokości 12 zł.

33,-

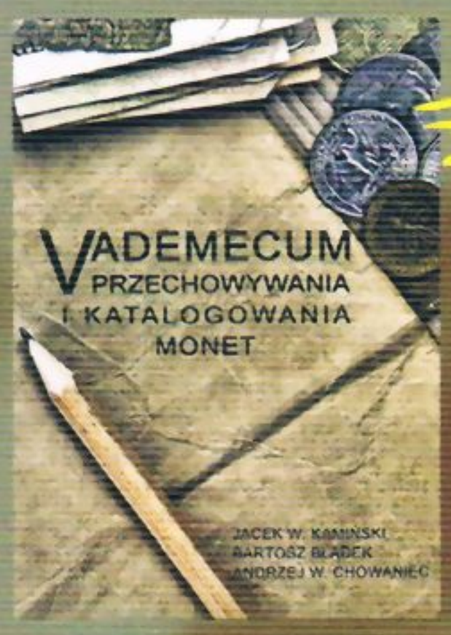

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET"
Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

39,50

Metalowy KUBEK TERMICZNY z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

20,-

KOSZULKI „ODKRYWCY" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy. Dostępne rozmiary: S, M, L. XL, XXL. Logotypy „Odkrywcy" – duży z tyłu i mały z przodu.

tył

przód

20,-

Oferta dostępna aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 01/216

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

ZWIERZYNA ŁOWNA

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. PROWADZĄCY PROGRAM „POSZUKIWACZE HISTORII". KIM BĘDZIE JUTRO, NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Od jakiegoś czasu z różnych stron dochodzą głosy, że poszukiwacze stali się zwierzyną łowną. Poluje policja, straż miejska, urzędy konserwatorskie, archeolodzy… Właściwie każdy, z obywatelskiej troski, może powiadomić oficjalne organa o podejrzeniu popełnienia przestępstwa (np. o prowadzonych nielegalnie poszukiwaniach), i owe organa powinny rzecz sprawdzić.

Wielu poszukiwaczy to skromni ludzie niepragnący rozgłosu ani dociekliwych pytań. Chcą poszukać monetek na polu czy militariów w lesie, w ciszy i spokoju, nie niepokojeni wścibskimi spojrzeniami. Na pewno posiadają zgody i działają legalnie, ale traktując poszukiwania jako swoiste misterium, które warto chronić przed zakłóceniami z zewnątrz, wychodzą na pola i pałętają się po lasach, dopiero gdy zapadnie zmrok lub całkowita noc okryje skrzydłem kruka świat. Romantycznie. Przy księżycowym blasku sam na sam z przyrodą. Zdarzyć się jednak może, że owa samotność po zmroku ma charakter pozorny. Ktoś w tym czasie może uczestniczyć w innym misterium – polowaniu. I chociaż nie ma zamiaru odstrzelić poszukiwacza, to co będzie jeśli na polu pomyli odzianego w maskujące, zielone ciuchy kolesia z buchtującym dzikiem? Nieszczęście gotowe, a miłośnik historii, który dostanie kulkę i będzie miał szczęście przeżyć, do końca życia może nosić niezbyt zacny przydomek: „jeleń".

W środowisku poszukiwaczy temat odstrzelenia przez myśliwego zyskał na aktualności z dwóch powodów – zmiany w przepisach dotyczących polowań, które rozszerzają uprawnienia myśliwych w kwestii terenów łowieckich, oraz nieszczęśliwego wypadku, którego ofiarą padł rowerzysta trafiony w czasie polowania prowadzonego w okolicach Wągrowca, w województwie wielkopolskim. Pojawiły się różne głosy: że myśliwy nie ma szans rozpoznać do czego strzela, że każdy może się pomylić, że lepiej kopać w dzień i potencjalnie się tłumaczyć niż ryzykować etc. Przyznaję, że opinie były tak różne, że sam się zakręciłem, a że również lubię nocne kontakty z przyrodą, w trosce o własne cztery litery postanowiłem dopytać u źródła. Szkopuł w tym, że nie znam myśliwych, a dzwonić po kołach łowieckich z pytaniem, czy wiedzą do czego strzelają, to jak pytać rzecznika policji, czy zatrzymany może dostać po łbie od mundurowego. Na szczęście są kumple po szpadlu, którzy myśliwych znają i podrzucili mi swoje kontakty.

Kwestie formalne, czyli rozporządzenie Ministra Środowiska „w sprawie szczegółowych zasad i warunków wykonywania polowań oraz obowiązku znakowania" jest jednoznaczne. Rozdział 3 § 13.1 mówi, że: „Celowanie do zwierzyny i oddanie strzału jest dopuszczalne dopiero po osobistym dokładnym rozpoznaniu zwierzyny oraz w warunkach gwarantujących skuteczność strzału i możliwość podniesienia strzelonej zwierzyny oraz bezpieczeństwo otoczenia". Niczego innego nie można się było spodziewać, ale to, że pieszy ma pierwszeństwo na pasach nie zmienia faktu, że co rusz któryś z pieszych ląduje na tych pasach pod kołami samochodu. Potrzebny był punkt widzenia myśliwego, co to niejeden raz przez optykę swojego sztucera celował. Dużo się nasłuchałem, w specyficznym slangu myśliwych. Generalnie nie ma opcji, żeby ryjący na czworakach poszukiwacz został wzięty za dzika. Doświadczony myśliwy z odległości stu metrów, w zapadającym zmierzchu nie tylko jest w stanie rozpoznać do czego strzela, ale zdiagnozuje czy mierzy do lochy, czy do odyńca. Chyba, że któryś z łowców jest młody i wyrywny…

Kamień spadł mi z serca. Świat znów stał się przejrzysty i uporządkowany. Można kopać i myśliwy się nie pomyli. Tylko taka kwestia mnie nurtuje – co będzie jeśli przypadkiem podejdę pod lufę „młodego i wyrywnego" lub kłusownika, który cytowanym rozporządzeniem zwykł się podcierać? Może zamiast deliberacji – odróżni, czy nie – lepiej zainwestować w mrugającą na czerwono co pewien czas latarkę? <

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Bartosz Zakrzewski „18 Dywizja Piechoty Wojska Polskiego w wojnie polsko-sowieckiej 1919-1921", opr. miękka, str. 622, wyd. Neriton. Cena: 49 zł.

Publikacja dotyczy 18 „żelaznej", białostockiej Dywizji Piechoty, jednej z najlepszych dywizji Wojska Polskiego w czasie wojny polsko-sowieckiej 1919–1921 r. Jej szlak bojowy biegł przez Podole, Wołyń, Północne Mazowsze, ponownie Wołyń i Polesie. W pracy odtworzono dzieje 18 DP: jej rodowód, skład, struktury organizacyjne, scharakteryzowano dowódców, opisano bitwy stoczone z oddziałami sowieckimi. Ta merytoryczna i metodologiczna praca wnosi nowe pierwiastki poznawcze w zakresie działania 18 DP w obszarze strategicznym, operacyjnym i taktycznym oraz wypełnia lukę w polskim piśmiennictwie wojskowym. W książce po raz pierwszy zaprezentowano też życiorysy zapomnianych dowódców dywizji: pogromcy Budionnego – gen. Franciszka Kraličkа-Krajowskiego, gen. Franciszka Adama Arciszewskiego i innych dowódców niższych szczebli.

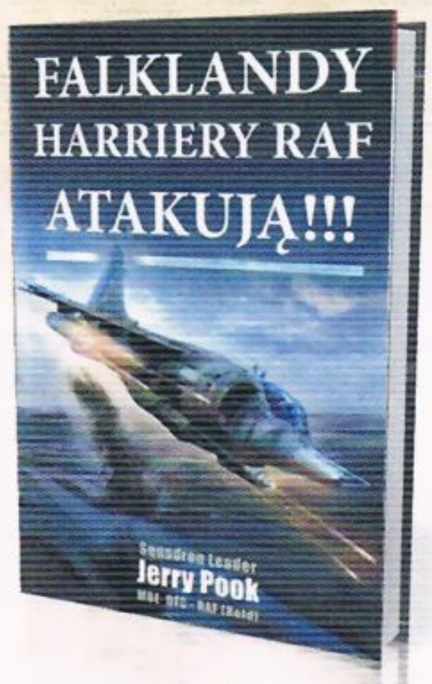

Jerry Pook „Falklandy. Harriery RAF atakują!!!", opr. miękka, str. 410, wyd. Foto System. Cena: 38,20 zł.

W czasie operacji Corporate, będącej brytyjską odpowiedzą na argentyńską inwazję na Wyspy Falklandzkie w kwietniu 1982 roku Squadron Leader Jerry Pook, pilot dywizjonu 1 (F) brytyjskiego RAF, wykonał kilkadziesiąt misji uderzeniowych, bliskiego wsparcia i rozpoznawczych nad zajętym przez nieprzyjaciela archipelagiem. Na swoim koncie zapisał między innymi zniszczenie argentyńskich śmigłowców, skuteczne bombardowania lotnisk i zgrupowań nieprzyjaciela, a wszystko to wykonane w lotach na minimalnej wysokości – raptem kilku metrów. W czasie jednego z nich uszkodzenia w jego Harrierze GR3 zmusiły go do katapultowania się. Trudy życia na lotniskowcu, problemy organizacyjne i zaopatrzeniowe, niebezpieczeństwo misji wykonawczych nad silnie nasyconymi bronią przeciwlotniczą Falklandami były przez 26 dni chlebem powszednim garstki pilotów brytyjskich RAF.

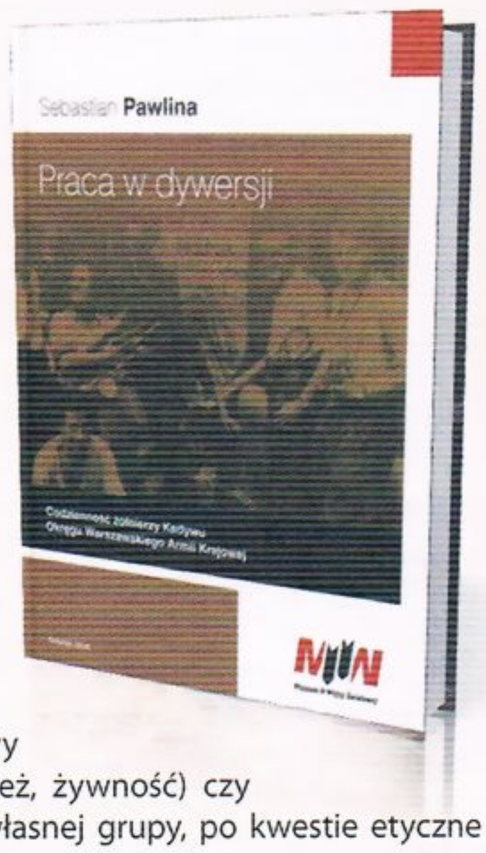

Sebastian Pawlina „Praca w dywersji", opr. twarda, str. 400, wyd. Muzeum II Wojny Światowej. Cena: 44 zł.

Wydana przez Muzeum II Wojny Światowej książka opisuje codzienność żołnierzy Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej. Fragment recenzji prof. dr hab. Jerzego Kochanowskiego: „Jest to bezsprzecznie jedyna znana mi praca w polskiej historiografii, traktująca tak bogato o różnorodnych problemach związanych z codziennością konspiracyjną – od uwarunkowań przyłączania się do podziemia, przez szeroko ujęte sprawy bytowe (pieniądze, mieszkanie, odzież, żywność) czy relacje z dowództwem i wewnątrz własnej grupy, po kwestie etyczne i stres (...)".

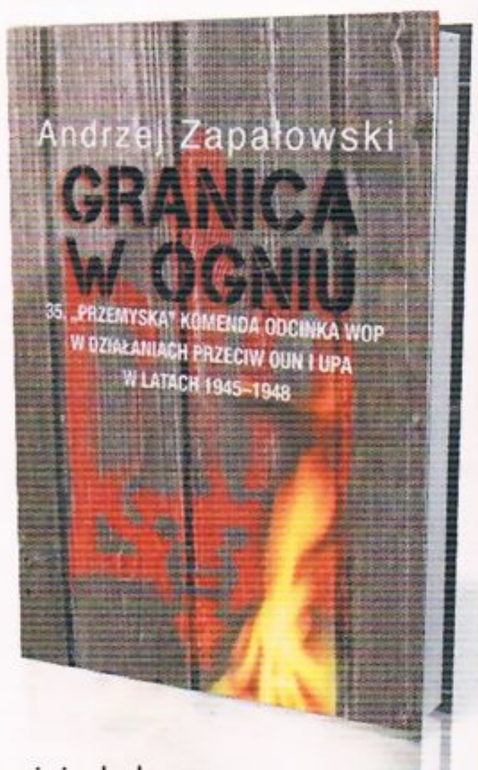

Andrzej Zapałowski „Granica w ogniu", opr. miękka, str. 338, wyd. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR. Cena: 49,99 zł.

Tematem książki jest 35. Przemyska Komenda Odcinka WOP w działaniach przeciw OUN i UPA w latach 1945-1948. Fragment recenzji Zbigniewa Moszumańskiego: „W polskiej historiografii nie ma bowiem tak szczegółowego, naukowego opracowania traktującego o walkach z Ukraińską Powstańczą Armią w powiatach jarosławskim i przemyskim województwa podkarpackiego. (...). Autor wykorzystał liczne materiały źródłowe zgromadzone głównie w zbiorach Archiwum Państwowego w Przemyślu, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie, Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie, byłego Archiwum Wojskowego Biura Badań Historycznych i Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie oraz w zbiorach prywatnych. Wyzyskał również niezbędną literaturę przedmiotu".

Stanisław Fryc „Piloci Pomorza", opr. twarda, str. 372, wyd. Krośnieńska Oficyna Wydawnicza. Cena: 55 zł.

Książka „Piloci Pomorza" przedstawia sylwetki związanych z regionem, zasłużonych dla niego pilotów. W książce przedstawieni są m.in.: Stanisław Akerman, Bogumił Jerzy Bierawski, Marcin Adam Bierawski, Lechosław Grzegorz Bierawski, Alojzy Błażyński, Zenon Chwaliszewski, Kazimierz Domrazek, Walenty Bolesław Hardt, Tadeusz Hardt, Ludwik Idzikowski, Jan Robert Kieżun, Leszek Knyszewski, Andrzej Korzeniowski, Krzysztof Kurkiewicz, Bronisław Malinowski, Krystyna Bożena Mędrzycka, Tadeusz Nowak, Konrad Olszewski, Olgierd Olszewski, Maria Olszewska-Popiołek, Radosław Olszewski, Artur Olszewski, Dominik Olszewski, Edmund Piotrzkowski, Marian Pisarek, Bolesław Radomski, Zbigniew Rauch, Andrzej Rogóyski, Tadeusz Henryk Rolski, Andrzej Ruciński, Stanisław Skalski, Irena Kempówna-Zabiełło i Adam Juliusz Zaleski.

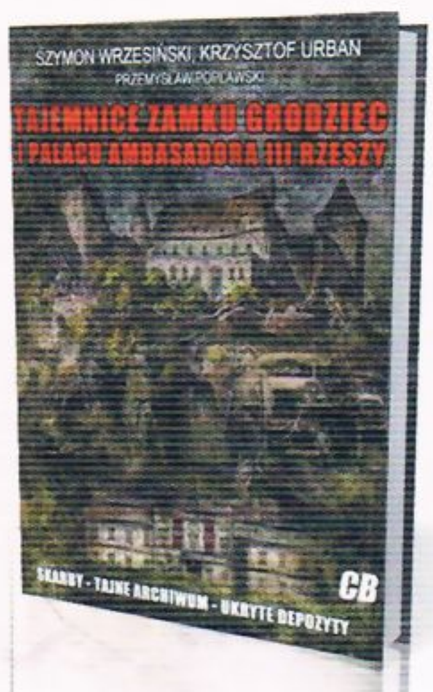

Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban, Przemysław Popławski „Tajemnice zamku Grodziec i pałacu ambasadora III Rzeszy", opr. miękka, str. 254, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł.

Prezentowana książka to pierwsza publikacja, która poświęca tak wiele miejsca historii pałacu, będącego siedzibą jednego z najważniejszych niemieckich polityków lat 30. XX wieku – Herberta von Dirksena. Całość została uzupełniona przeszło dwustoma ilustracjami, z których większość nigdy wcześniej nie była publikowana. Ponadto autorzy dotarli do szeregu nieznanych dotąd informacji, które odnaleźli w archiwach oraz niemieckojęzycznych publikacjach: jednymi z najciekawszych są wspomnienia dolnośląskiego konserwatora zabytków Gunthera Grundmanna, który kilkakrotnie spotkał się z ambasadorem von Dirksenem w jego dolnośląskiej posiadłości.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

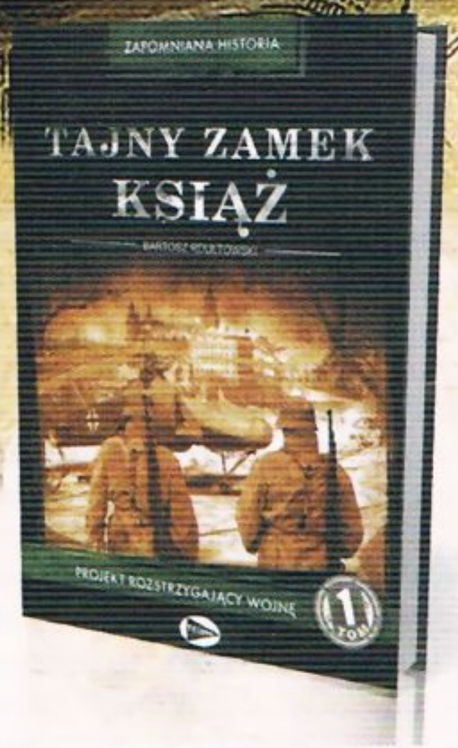

Bartosz Rdułtowski „Tajny zamek Książ", tom 1, opr. miękka, str. 272, wyd. Technol. Cena: 34 zł.
Wśród badaczy związanych z tajnym niemieckim projektem „Riese" od lat rozważana jest hipoteza, jakoby przynajmniej jeden w całości wykończony podziemny obiekt został w maju 1945 roku przez opuszczających Dolny Śląsk Niemców zamaskowany i zabezpieczony. Jedni lokalizują go w Górach Sowich, inni pod zamkiem Książ. Czy pod koniec II wojny światowej Niemcy faktycznie pracowali w rejonie Książa oraz w pobliskich Górach Sowich nad bronią, która miała dać Hitlerowi zwycięstwo? Czy świadkami testów owej Wunderwaffe byli okoliczni mieszkańcy i więźniowie pracujący przy budowie podziemi? Czy to właśnie w celu zabezpieczenia tego supertajnego projektu Niemcy ukryli go w zamaskowanych podziemiach? Jakie tajemnice kryje zamek Książ i pobliski Stary Książ? Czy pod ziemią wciąż spoczywają sekrety Trzeciej Rzeszy, które mogły odmienić losy wojny?

„Wozy bojowe świata: T-90", nr 7/2016, opr. miękka, str. 98, wyd. Libri Militari. Cena: 19,99 zł.
Siódmy numer „Wozów Bojowych Świata" poświęcony jest współczesnemu, rosyjskiemu czołgowi T-90. Jest to jedna z rozlicznych wersji rozwojowych legendarnego T-72. W publikacji zawarto historię konstrukcji, opis techniczny, warianty eksportowe i rozwojowe, omówiono eksport i zastosowanie bojowe oraz specjalne wozy bojowe związane z czołgiem T-90. W Księgarni Odkrywcy do kupienia są także poprzednie numery „Wozów Bojowych" poświęcone takim czołgom jak: Panzerkampfwagen VI Tiger I, Leopard 2 A4-A7, IS-2, Merkawa, Panther Ausf. D, Tiger II.

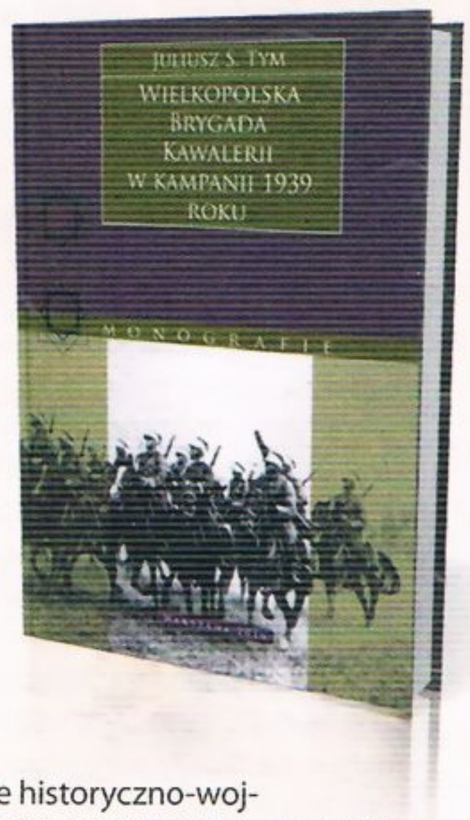

Juliusz S. Tym „Wielkopolska Brygada Kawalerii w kampanii 1939 roku", opr. twarda, str. 404, wyd. Tetragon. Cena: 79,80 zł.
Dzieje Brygady i detaliczny opis działań we wrześniu 1939 r. przedstawia w swojej najnowszej książce płk dr hab. Juliusz S. Tym. W swojej monografii wykorzystał obfitą bazę źródłową, dokumenty z CAW, IPMS czy National Archives w Londynie, relacje żołnierzy i oficerów oraz bogatą literaturę pamiętnikarską. Walorem tej książki jest nie tylko kronikarska dokładność, ale i spojrzenie przez pryzmat wiedzy zawodowego oficera. Stąd obszerne omówienie zasad mobilizacji wielkiej jednostki kawalerii i analiza jej możliwości bojowych. Stąd też – cenne i rzadkie w polskiej literaturze historyczno-wojskowej – podsumowanie każdego etapu działań Brygady i całości jej poczynań w kampanii pod kątem zastosowania zasad sztuki wojennej oraz taktyki i sztuki operacyjnej. Tekst ilustrowany jest blisko setką zdjęć oraz kilkunastoma szkicami.

Marek Dudziak „Zamek Czocha. Dzieje, tajemnice, legendy", opr. miękka, str. 148, wyd. Replika. Cena: 27,20 zł.
Czocha jest jedną z najbardziej intrygujących budowli Dolnego Śląska. Wzniesiono ją w XIII wieku, by strzegła ówczesnych granic. Od tego czasu przeszła wiele przebudów i była świadkiem dziejowych burz. Jednak historia obeszła się z nią łaskawie. Dlatego do dziś zachowuje unikatowy charakter, a jej monumentalna bryła stała się symbolem Pogórza Izerskiego. Zamek skrywa też wciąż wiele tajemnic. To właśnie o nich oraz o równie pasjonujących dziejach budowli pisze Marek Dudziak. Przedstawia historię Czochy, opisuje jej wygląd – wczoraj i dziś. Przybliża postaci najważniejszych i najbardziej intrygujących właścicieli.

Andrzej Olejko „Wilk i Wilczek", opr. miękka, str. 176, wyd. Inforteditions. Cena: 32,80 zł.
Publikacja należy do wydawanej przez Inforteditions serii „Bitwy/Taktyka". Książka opisuje najsłynniejszy korsarski rejs I wojny światowej. Autor prowadzi czytelników na „Morza Południowe", gdzie w końcowej fazie Wielkiej Wojny niemieckie okręty „Wilk" i „Wilczek" przez 444 dni siały zamęt i zniszczenie wśród okrętów flot aliantów. Na publikację składa się pięć rozdziałów: Hydroplany z czarnym krzyżem, czyli lotnictwo morskie Kaizera, Narodziny duetu „Wilk" i „Wilczek", „Morska wataha" rusza na łowy, Czarne krzyże nad Pacyfikiem, Ocena rejsu przez trzy oceany.

Michał Młotek „Zapiski Hansa Heinricha", opr. miękka, str. 168, wyd. Księgarnia Poszukiwacza Szekla Bis. Cena: 29,30 zł.
„Zapiski Hansa Heinricha" to kontynuacja „Nocy Patagonów" – pierwszej polskiej powieści o współczesnych poszukiwaczach skarbów i ich niezwykłej, porywającej, ale też tajemniczej i niebezpiecznej pasji. W „Zapiskach Hansa Heinricha" wątki poszukiwawcze połączone zostały z epizodami sięgającymi czasów wojen napoleońskich i końca II wojny światowej. Bohaterowie powieści rozwiążą tajemnicę zaginionego oddziału wojsk Napoleona, podążą też śladami niemieckiego żołnierza, który w styczniu 1945 roku ukrył w ziemi cenne kosztowności. Książka wzbogacona jest ponadto o wiele innych interesujących wątków – sięgają one i okresu starożytności, i czasów współczesnych.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Pierwszy na rynku wykrywacz z możliwością płynnego przestrajania częstotliwości
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Jedyny w swoim rodzaju

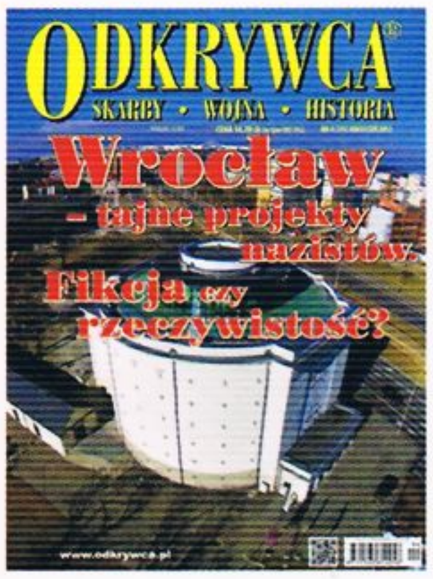

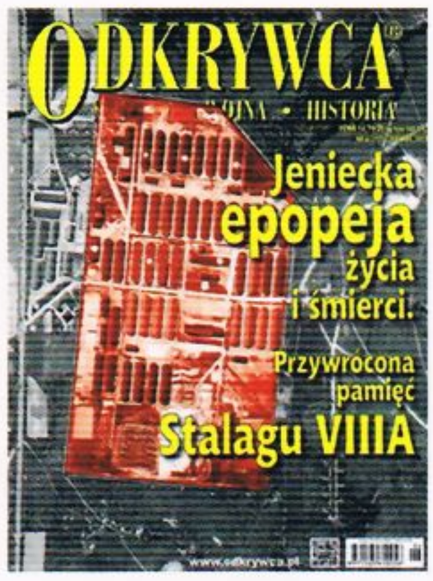

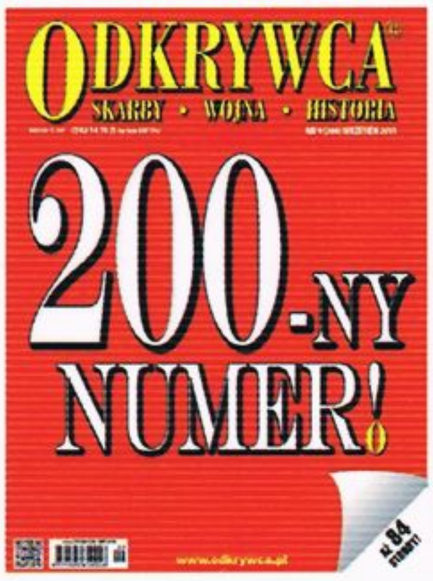

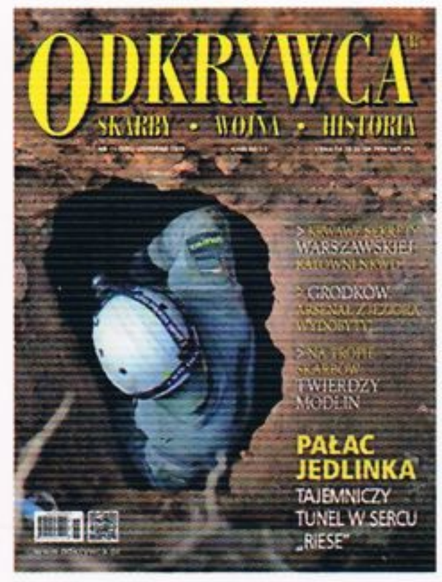

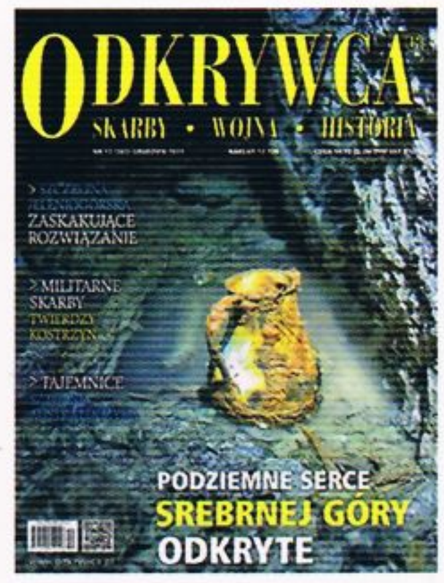

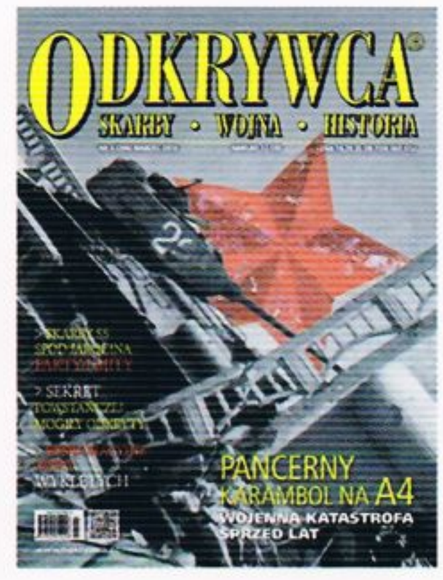

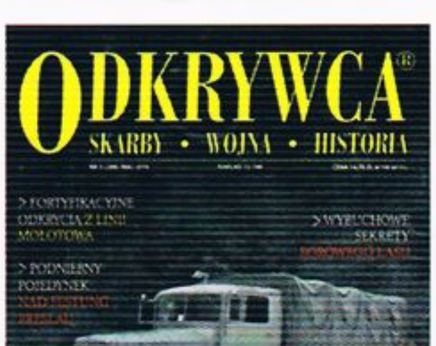

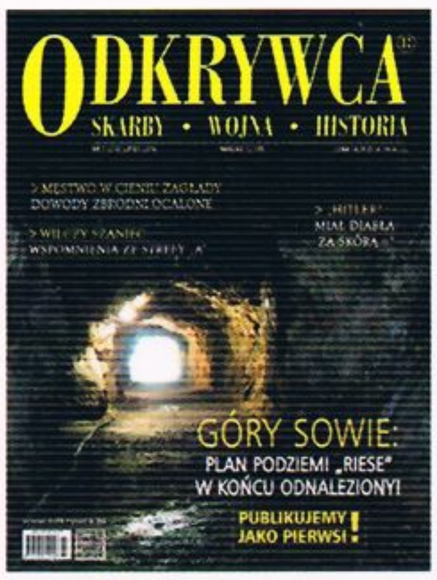

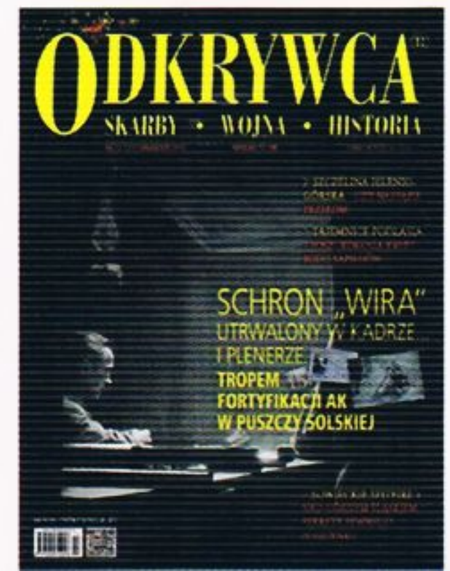

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne

- – rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- – rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- – roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
- – roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
- – rocznik 2012 – cena 96 zł
- – rocznik 2013 – cena 118 zł
- – rocznik 2014 – cena 120 zł

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71